

ANNA FRYCZKOWSKA WADOWINEK

Wszystko, co wiesz
o sobie, nie jest prawdą

Świat Książki

ANNA
FRYCZKOWSKA
WDOWINEK

Wydawca
Joanna Laprus-Mikulska

Redaktor prowadzący
Sylwia Ciuła

Korekta
Ewa Grabowska
Katarzyna Bielawska-Drzewek
Jadwiga Piller

Copyright © by Anna Fryczkowska, 2019
Copyright © for this edition by Dressler Dublin sp. z o.o.,

Warszawa 2019

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2
Warszawa 2019

Skład i łamanie
włoska robota

ISBN 978-83-813-9315-7

*Stała się nam nowina,
Pani pana zabiła,
W ogródku go schowała,
Ruty na nim posiała.
Rośnij rutko wysoko,
Jak pan leży głęboko,
Jak pan leży głęboko.*

z piosenki ludowej

• • •

Kiedy w Warszawie tęskniłam za wsią, chodziłam pod Pałac Kultury, bo trzecia postać po prawej od głównego wejścia wyglądała dokładnie jak moja matka. Niby mocarna, o szerokich ramionach, solidnej talii, ale z pochyloną głową, zgarbionymi plecami, stała, rozstawiwszy bezsilnie stopy. Prawą ręką, wielką, ale bez mocy, ścisnęła jakąś książkę, lewą przytrzymywała na plecach pusty worek. Spojrzenie błędziło gdzieś po ziemi, mina mówiła: wytrzymam wszystko.

Stałam więc jak głupia przed trawnikiem, za którym wtulała się w niszę ta rzeźba. Czasem ludzie przystawali i zaglądali mi przez ramię, co ja tam takiego wypatrzyłam, po chwili jednak znowu przyspieszali. Pod Pałacem zresztą wszyscy się spieszyli. A to wycieczki zmęczonych dzieciaków sunących do windy na ostatnie piętro, skąd miały podziwiać panoramę stolicy i płuć pod wiatr, a to spóźnieni kochankowie biegnący do Kinoteki, a to poszarzali pasażerowie usiłujący zdążyć do przystających na placu Defilad busów, które rozjeżdżały się do Łomży, Białegostoku, Sokołowa Podlaskiego.

Tak, w ciągu ostatnich dziesięciu lat stałam pod tą rzeźbą pewnie z kilkadziesiąt razy, natomiast ani razu nie widziałam matki. Teraz patrzę na nią. Wokół jej twarzy nadal układają się sztywne loki. Kiedyś miała warkocz, który – gdy przekroczyła trzydziestkę – zaczęła związać w staromodny obwarzanek. Ścięła go, gdy fryzjerka ze Świątkowic sprowadziła z Niemiec płyny do trwałej, bo dopiero te dały radę skrócić jej włosy, sztywne jak pierwszy pokos. Twarz pod lokami ogorzała, czoło zmarszczyło się jak poszwa z kory, pod oczami pojawiły się cienie, nieco napuchnięte. Moja matka wychudła, ramiona pochyliły się do przodu. Gdy widziałam ją po raz ostatni, miałam osiemnaście lat. Teraz jestem dorosła.

Kiedy na nią patrzę, staje mi przed oczami tamten poranek.

Nasz ostatni wspólny, po którym wrzuciłam co się dało do toreb z Biedronki i wyszłam, by nie pokazać się w domu przez kolejne dziesięć lat. Pewnie słyszeliście, że co siedem lat człowiek, komórka po komórce, cały wymienia się na nowego. Minęło dziesięć lat, więc jestem teraz zupełnie kimś innym niż wtedy, gdy stąd wyjeżdżałam, żadnej komórki mojej skóry nie dotykała matka ani ojciec, żadną komórką oczu nie patrzyłam na nich, żadną komórką strun głosowych się z nimi nie porozumiewałam.

– W tym chyba nie pójdziesz na pogrzeb – brzmia pierwsze słowa matki, gdy mnie widzi.

Udaję, że nie słyszę.

Włożyłam czarny, workowaty sweter, czarne, bardzo obcisłe dżinsy, żadne to poświęcenie, bo na co dzień chodzę w czerni, no, czasem robię wyjątek dla granatowego. Dredy schowałam pod wielką czapą, nie wystaje ani skrawek. Do tego gruby szal, gruby płaszcz i ciężkie buty. Tak się nie chodzi w Świątkowicach, nie tylko na pogrzeby, ale w ogóle, mnie to jednak nie interesuje. Od dziesięciu lat nie jestem stąd i nie mam zamiaru być stąd ani chwili dłużej, niż potrwa pogrzeb mojego brata.

Wpadłam tylko na chwilę, w związku z tym nie mam zamiaru rozglądać się jakoś specjalnie po naszej wiosce, przez miejscowych pewnie nadal zwanej miasteczkiem, bo skoro mamy stację kolejową, stację benzynową, kościół, szkołę zbiorczą i urząd gminy, to już na pewno nie jest wioska, moja droga. Kątem oka zauważam nowe chodniki z kostki Bauma przy urzędzie albo nowiuteńki placyk zabaw za apteką, z kolorowymi urządzeniami z drewna i lin, ogrodzony i zaopatrzony w przepełniony kosz na śmieci oraz dwie ławki, puste teraz, bo luty. Tęczowe tynki na szaroburych niegdyś budynkach po obu stronach drogi ze stacji do naszego domu też walą po oczach wszystkimi dostępnymi w katalogu budowlanym kolorami, od jajecznicowej żółci przez kisielkowaty róż aż do szczypiorkowej zieleni. Okna w starych, drewnianych domach pyszną się plastikiem i paskowanymi roletami dzień-noc. Ogrodzenie składu węgla przy stacji oklejono wielkoformatowymi reklamami, głoszącymi, że „Zajazd Magnolia – imprezy okolicznościowe, sala

bankietowa, parking” oraz „Stomatolog. Szybko, bezboleśnie, protezy”. Banery różnej wielkości wiszą zresztą wszędzie tam, gdzie udało się znaleźć wolny kawałek płotu lub muru. Stare Świątkowice starannie pokryte kolorowym kremem z tynku, a po wierzchu udekorowane barwną folią i plastikiem.

Stawiam rower na podwórku, nie mam nawet zamiaru rozpakowywać sakw, wyjmuję tylko Niuškę z koszyka, bo pewnie nie powinno się chodzić z psem na pogrzeb, chociaż z nią czułabym się dużo raźniej. Wdycham zapach psiego łebka, dotykam nosem gładkiej sierści, a potem wpycham Niuškę za drzwi domu, tak szybko, że w środku nawet nie zdążę nabrać powietrza.

– Zostań tu, zostań – mówię z progu. – Czeka. Niedługo wrócę i cię stąd zabiorę.

Suczka patrzy na mnie z wyrzutem. Mam ochotę ją przytulić i ona o tym wie. Ale się powstrzymuję.

– Zostań. Czeka.

Zrozumiała wreszcie. Uszy, które zazwyczaj sterczą radośnie, oklapły, a w dodatku podkuliła ogon, normalnie zawinięty do góry w kundlowaty grajcarek. Układa się zrezygnowana na szmacianym dywaniku w sieni, chowa pod siebie krótkie łapki. Poczeka.

Matka wyszła do mnie za próg. Posapuje, ale nie mówi, że miejsce psa jest na podwórku, choć doskonale wiem, że tak myśli. Nie przytulamy się, nawet rąk sobie nie podajemy. Ruszamy. Idziemy obok siebie, choć trudno powiedzieć, że idziemy razem. Milczymy.

Kościół jest pełen. W ławkach najbliższej ołtarza siedzi kilka kobiet. Przygarniają moją matkę, biorą ją między siebie. Matka nie płacze, twarz ma bladą, jak martwą. Siadam obok nich na skraju ławki. Rozglądam się w miarę dyskretnie. Wiele twarzy pamiętam. I oni mnie poznają, niektórzy nawet skinęli głowami. Pewnie aż tak się nie zmieniłam, tyle że dusza mi stwardniała. I łydki od jeżdżenia na rowerze. Czuję się tutaj zupełnie zbędna, do momentu gdy ciocia Bożena mnie przytula, do palta pachnącego pralnią chemiczną. Spoglądam przed siebie i dopiero

wtedy uświadamiam sobie, co tam stoi. Z błyszczącej trumny wystają koronki, obok dwa wielkie wieńce, mama się wykosztowała. A może rodzina mojej bratowej, nie wnika. Za wesele płacą rodzice młodej, tylko za wódkę rodzice młodego. A jak to jest z pogrzebem?

Zdjęcie oparte o trumnę pokazuje oficjalną twarz młodego człowieka z zakolami. Mój mały braciszek zdążył już nieco wyłysieć. Wiem, że gdzieś pod tym okrągłym obliczem kryją się szczupłe policzki mojego brata, za którym tak tęskniłam przez te dziesięć lat.

Ciągle nie rozumiem, dlaczego nie odezwał się do mnie ani razu. Nigdy nie odebrał telefonu. Nie odpowiedział na żaden list ani mejl. Zablokował mnie na Facebooku, gdy zaprosiłam go do znajomych. A przecież w Świątkowicach trzymaliśmy sztamę. Zawsze się wspieraliśmy, aż do tamtego ranka, kiedy, nie żegnając się z nim, odeszłam z domu. Od tamtej pory już się do mnie nie odezwał. Od tamtego dnia dojrzewał beze mnie, twarz mu okrągłała, podrywał dziewczyny, skończył szkołę, ożenił się, wyhodował zakola, może nawet polubił piwo i nauczył się rozpalać grilla.

Ksiądz, inny niż dziesięć lat temu, czeka przy ołtarzu z komunią. Mnie się nie doczeka. Zerwałam nie tylko z matką i Świątkowicami, zerwałam również z tymi rytuałami. Stały się dla mnie puste i niepotrzebne jak puszki po kukurydzy. Siedzę więc w ławce, samotna, wyprostowana, podczas gdy organista wznosi żałobne pienia, a ludzie kroczą do ołtarza, a potem wracają z natchnionymi minami, niektórzy obracają w ustach opłatek. Moja matka kroczy, jej koleżanki kroczą, tylko ja siedzę sztywno w wielkiej czapie i poprzecieranym na mankietach czarnym płaszczu.

Ziemia na cmentarzu jest zmarznięta. Ludzie szepczą, że grabarz musiał polewać płytę wrzątkiem, żeby można było ją podnieść. Idziemy gęsiego, ślizgając się po zlodowaciałych grudach. Jeszcze gdy mieszkaliśmy w Świątkowicach, mówiono, że przydałby się na cmentarzu chodnik, ale ułożono go tylko na głównej alejce, w bocznych nie zmieniło się nic, więc dalej zimą

grudy, a jesienią błoto. „Anielski orszak niech twą duszę przyjmie” i „Wieczne odpoczywanie”, wszystko szybkie, aż ksiądz połyka końcówki, wyraźnie chciałby już być gdzie indziej, może dlatego, że z mrozu uszy płoną mu soczystą czerwienią. Wymamrotał, co miał wymamrotać, więc już koniec jego szychty, tylko żałobnicy zostają i grabarze, zasypują grób, uklepują, układają wieńce i wiązanki. Obok grobu staje moja matka, a przy niej niska dziewczyna o bardzo szerokich biodrach, najwidoczniej żona mojego brata. Typ łatwiej przeskoczyć niż obejść, włosy farbowane na słomiano, do ramion, czarna czapka. Ściskam jej dłoń. Twarz ma spokojną, choć oczy czerwone.

– Najszczęśliwsze kondolencje – mamroczę.

Odpowiada mi tymi samymi słowami, więc pewnie wie, kim jestem, choć chyba nigdy przedtem się nie widziałyśmy. Nasze wsie dzieli ponad dwadzieścia kilometrów, z tego wynika, że chodziłyśmy do innych szkół, kąpałyśmy się na innych zakrętach rzeki, robiłyśmy zakupy w innych sklepach i na innych targach, pewnie nawet bawiłyśmy się na innych dyskotekach. Nigdy bym nie wpadła na to, że Sebastian, który wzdychał kiedyś do Magdaleny Cieleckiej, ożeni się z tą dziewczyną o puciołowatej, rumianej twarzy i słomianych włosach, która przyczepiła sobie, nie wiedzieć czemu, długie jak u lalki sztuczne rzęsy. Czy tobie właśnie takie się ostatnio podobały, braciszku?

Kolejka żałobników z kondolencjami kończy się wreszcie, obok mojej bratowej przystaje kobieta w średnim wieku z dzieckiem w wózku. Po chwili uświadamiam sobie, że musi to być teściowa Sebastiana, a dopiero potem zaczynam rozumieć, kto leży w wózek.

Moja matka wyciera nos, żona Sebastiana wyciera nos synkowi, potem wyciera go sobie, nie wiadomo, kto smarcze z płaczu, a kto z mrozu. Buja wózkami jak wściekła, cud, że się mały nie porzyga. Ciekawe, czy mój brat był szczęśliwy ze swoją żoną. Ciekawe, czy się cieszył, że urodziło im się dziecko. Kiedy stąd wyjeżdżałam, on sam był jeszcze dzieciakiem. Ciekawe, czy uda mi się nie rozpłakać.

Udaje się.

– Teraz będzie stypa – oznajmia ciotka Bożena. Podeszła do mnie przed chwilą, znowu uścisnęła krzepiąco ramię. Nie mam zamiaru iść na żadną stypę, nie mam zamiaru z nikim więcej gadać, na nikogo więcej patrzeć, zaraz wracam pod dom, dom matki, zabiorę psa, wsadzę go do rowerowego koszyka i pojedę na stację. Za dwie godziny będę znowu w Warszawie. Ze stacji Powiśle rowerem wzdłuż Traktu Królewskiego, fajnie się jedzie Ujazdowskimi przy Łazienkach, potem Belwederska, w tę stronę z górki, Sobieskiego i w końcu Stegny, gdzie skulę się pod kołdrą w swoim pokoju i może nawet popłaczę nad moim bratem, a Niuśka będzie mnie trącała pyskiem.

Zmarznięci na kość ślizgamy się rządkiem z powrotem do bramy cmentarza. Idę tuż za matką, która ze spuszczoną głową skupia się na tym, by bezpiecznie drobić po zmarzniętych grudach ziemi. Sama się trochę chwieję, trapery jednak lepiej dają radę niż matki niedzielne kozaki na słupku. A potem wszystko dzieje się błyskawicznie, nawet nie zdążę jej podtrzymać, gdy matka nagle traci równowagę. Wygląda to dramatycznie, bo przewraca się i uderza głową w płytę grobu pani Rumiankowej, a stopa wykrzywia się jej pod bardzo dziwnym kątem. Później jest zamieszanie, koc z plebanii i dzwonienie na pogotowie do Garwolina. Mama leży z zamkniętymi oczami akurat tyle czasu, żebym zdążyła się zastanowić, co jej śmierć zmieniłaby w moim życiu. Potem otwiera oczy i patrzy na mnie, patrzy do momentu, gdy zanoszą ją do karetki, a ja zdążę się jeszcze pokłócić z sanitariuszami, że koniecznie również muszę wsiąść. Dowiaduję się jednak, że wcale nie muszę.

Jedna z okrągłych przyjaciółek mojej matki, tak, poznaję pod futrzaną czapą regularne rysy i rumieńce cioci Agnieszki, proponuje, że mnie podrzuci do szpitala, żebyśmy się dowiedziały czegoś więcej. Co to zmieni w sytuacji mojej mamy, nie wyjaśnia, ale zmarznięty tłum już poszedł na stypę, a zmarzniętą mnie ciocia Agnieszka prowadzi do samochodu przy wtórze okrzyków:

– Ależ to żaden kłopot, kochanie!

Gdy tylko łądujemy w samochodzie, ciocia Agnieszka zaczyna mówić. Martwi się o stypę i o to, kto się zajmie gośćmi, ma nadzieję, że Danuśka da radę, bo to u niej w restauracji odbywa się ten obiad, a potem zaczyna ubolewać, że biedna Sylwia, czyli moja mama, ale co się dziwić, załamała się zupełnie po śmierci syna, wtedy całe ciało cierpi, nie tylko dusza, nie miała kobieta łatwego życia, a teraz coraz bardziej pod górkę, ciągle sama jak palec.

A potem milknie i włącza radio.

Dopiero po kilkunastu kilometrach odzywa się znowu:

– Myślałyśmy, że się nie pojawisz na pogrzebie. Na ich ślubie cię przecież nie było.

Bo nikt mnie nie zaprosił – mam ochotę krzyczeć. Ale ciocia Agnieszka dodaje:

– Wtedy wszyscy zrozumieliśmy, że ze złamaną nogą nie bardzo miałaś możliwość przyjechać. A oni przecież nie bardzo mogli zmienić termin.

Z jaką nogą?! W życiu nie miałam złamanej nogi. W życiu nie miałam niczego złamanego, poza paznokciem. Po chwili jednak już rozumiem: brat mnie nie zaprosił na swój ślub, ale nie chciał, żeby ludzie gadali, więc naściemniał, że nie mogę przyjechać.

Matka siedzi w szpitalnej poczekalni w fotelu inwalidzkim w kolejce do prześwietlenia. Dookoła hałas i tłum, ludzie ją mijają, trącają, przestawiają wózek. Jej mocne ciało wydaje się teraz zadziwiająco nikłe, stopy, prawa wykrzywiona pod dziwnym kątem, zupełnie pozbawione mocy. Na widok cioci Agnieszki na twarzy matki odmalowuje się ulga, ale potem zauważa mnie i znowu sztywnieje. Staję obok niej, milczę, o czym zresztą gadać w tym hałasie i zamieszaniu. Chłopska umiejętność czekania przyda się w tym szpitalu, to pewne. Trudno wytrzymać tyle czasu w czapce, ale się staram, bo matka i tak ma wystarczająco dużo zmartwień na dzisiaj. Przy odrobinie szczęścia nigdy nie zobaczy moich dredów, nigdy się na ich temat nie wypowie. Jednak po chwili zaczynam rozumieć, że to nie moja fryzura jest jej największym problemem. Wcale na mnie nie patrzy, mruży oczy, pojękuje. Agnieszka klepie ją po dłoni.

– To boli – jęczy moja matka. – Ta noga tak strasznie boli, jakby odpadała.

Rozglądam się: nigdzie ani śladu lekarza. Ani pielęgniarki. Ani nawet salowej. Tylko tłum, każdy ze swoim bólem, odrapane ściany, pozamykane drzwi gabinetów, kto wie, czy za którymkolwiek kryje się jakiś lekarz. Znikąd ratunku. Matka zaciska usta, żeby nie jęczeć głośniej, dłonie położyła bezwładnie na kolanach.

Wstaję więc, idę do dyżurki pielęgniarek, pukam, uchylam lekko drzwi, wyłuszczam miłym głosem, w czym problem. Potrafię mówić miłym głosem, naprawdę.

– Proszę poczekać na swoją kolej – nakazuje pielęgniarka, nawet na mnie nie patrząc. – Nie rozdwoję się.

Strużka potu spod czapki płynie mi po czole, zjeżdża na czubek nosa. Wycieram ją grzbietem dłoni.

– Ale...

– Zapewniam panią, tu naprawdę nie przychodzą zdrowi ludzie. Proszę czekać na swoją kolej.

Wracam do mamy. Wydaje się jeszcze bledsza, ma zamknięte oczy i zaciśnięte usta. Ciocia Agnieszka gładzi ją po karku. Wiem, wszyscy tu cierpią, nie tylko ona.

Idę za załom muru, zdejmuję czapkę. Dredy rozsypują się na ramiona, plecy. Sięgają do połowy łopatek. Stoszę je dłonią, zbieram w wysoki kucyk, dzięki temu wydaję się dużo wyższa niż te moje sto sześćdziesiąt centymetrów. Teraz rozsmaruję czarną kredkę dookoła oczu i robię minę, której tak nienawidzili moi pracodawcy, a która oznacza: Nie mam nic do stracenia, więc naprawdę mogę zrobić wszystko.

Wracam do pielęgniarek, otwieram z impetem drzwi, wchodzę do środka i niskim głosem zawłaszczam przestrzeń. Nieważne co mówię, wystarczy głupie dzień dobry, grunt, że głośno, za głośno, za agresywnie. Po czym pochylam się nad pielęgniarką, która siedzi najbliżej drzwi.

– Moja mama jęczy z bólu – moduluję głos, żeby był niski, mocny. – Ona się już wystarczająco w życiu nacierpiała. Dzisiaj pochowała syna.

Pielęgniarka odruchowo się uchyla, ale nie odpuszczam, znowu się przysuwam i podpowiadam jej wyjście z sytuacji:

– Proszę, żeby pani dała mojej matce coś na ból.

Pielęgniarka znowu odsuwa się ode mnie, zatrzymuje ją dopiero ściana. Opierając się o nią, wstaje z krzesła, próbuje trzymać jak najdalej ode mnie, podchodzi do szafki z lekami i przygotowuje zastrzyk. Opieram się o biurko, nadal cierpliwie naruszając jej przestrzeń, i czekam.

Jestem pojętną uczennicą – wszystkie te oznaki dominacji, cała ta przemoc symboliczna, zawłaszczanie przestrzeni są dla mnie chlebem powszednim. Bo przez ostatnie dziesięć lat niejeden bałwan z poczuciem wyższości, niejedna korporacyjna suka traktowali mnie w ten sposób. Cóż, nie miałam złudzeń, dlaczego akurat do mnie tak się zwracali, wiadomo przecież, że wyzywanie się na sprzątacze niczym nie grozi. Może tylko tym, że sprzątaczką w końcu przyswoi sobie te sztuczki.

Brdniemy więc przez korytarz, toruję pielęgniarce drogę przez tłum cierpiących. Wiem, nie pomoże od razu wszystkim. Ale niech pomoże chociaż mojej matce. Wpycha wózek z matką do gabinetu i tam robi jej zastrzyk przeciwbólowy. Matka w chwilę potem uśmiecha się do niej, uśmiecha się nawet do mnie, po czym odrobinę marszczy czoło, gdy zauważa, w jak groźną osobę zdążyłam się przeistoczyć. Pielęgniarka już chce uciekać, ale nie pozwolę na to. Zachodzę jej drogę, patrzę spode łba. Za sobą czuję czyjeś mocne ciało: to wspiera mnie ciocia Agnieszka.

– A prześwietlenie?

I nie odpuszczam, póki kobieta nie chwyci za poręczę wózka. Suniemy w kierunku gabinetu radiologa, skąd właśnie ktoś wychodzi. Pielęgniarka otwiera drzwi z trzaskiem, wtargnęliśmy bez kolejki, ale kto by się przejmował krzykami zza drzwi.

Tym sposobem wreszcie zyskujemy pewność: noga jest złamana, mama wylądowała w gipsie na długie tygodnie, musi być pod opieką, bo – przynajmniej na początku – nie będzie sobie radzić z życiem codziennym. Kule można wypożyczyć w szpitalu. Czy ma się kto nią zająć? Przy tym pytaniu i lekarz, i ciocia Agnieszka spoglądają na mnie. Dobry dzień, myślę. Po prostu,

kurwa, świetny. Pewnie mi się przy tym marszczy czoło, zawsze się marszczy, gdy myślę słowo „kurwa”. Gdy je wymawiam, ani drgnie. Ale tym razem nic nie mówię, żałuję tylko w cichości serca, że zamiast zatrzymać się dzisiaj pod warszawską palmą na rondzie de Gaulle’a, jak podpowiadała mi intuicja, nacisnęłam mocniej pedały, by zdążyć na pociąg na stacji Powiśle.

– Czy ma się kto w domu zająć pacjentką? Ktoś odpowiedzialny? – dorzuca jeszcze lekarz, bo już chyba zdążył mi się przyjrzeć.

Milczę.

– Sylwia na pewno nie będzie sama – obiecuje ciocia Agnieszka. No i dobrze. Niech matką się opiekują jej ukochane przyjaciółki, a ja wracam tam, gdzie moje życie, czyli do Warszawy, na Stegny. Co mnie podkusiło, żeby przyjeżdżać do cholernych Świątkowic, to już od lat nie moje miejsce. A matce nic nie jestem winna, przeciwnie.

Siedzi w tym swoim fotelu na kółkach i mimo oszołomienia lekami przeciwbólowymi coś szepcze z Agnieszką, coś ustalają. W holu już czeka na nas ciocia Danuśka, drobniutka, z cieniutkimi włosami jak tasiemki, z wielkimi oczami rusałki. Opowiada, co było na stypie, w ogóle nie chce mi się tego słuchać, kogo obchodzi rosół, gdy mój brat, Sebastian, nie żyje, kogo obchodzi schabowy, gdy wszyscy oczekują ode mnie, że się dam uwięzić przy matce w jej pustym domu, do którego już nigdy nie planowałam wchodzić.

Niuśka zaczyna szaleć, jeszcze zanim otworzę drzwi. Skacze, ujada, buczy z podniecenia, podobno zawsze, gdy pies rozstaje się z właścicielem, jest przekonany, że to na wieczność. Wróciłam, kochana, wróciłam! Kucam na ganku, Niuśka opiera się o moje kolana, liże mnie po twarzy. Przedłużam tę chwilę, bo Agnieszka i Danuśka pół wprowadzają, pół wnoszą do środka matkę opartą na kulach pożyczonych ze szpitala. Przyczajam się w progu gotowa do ucieczki, Niuśka też tylko czeka, żeby stąd prysnąć. Zaraz wezmę rower i tyle nas widzieli. Podnoszę się z kucek, odwracam i... staję twarzą w twarz z cicią Bożeną. Jest duża, więc całkowicie blokuje mi wyjście z ganku.

– Słyszałam, co się stało – mówi.

– To dobrze. Bo ona wymaga opieki. Przynajmniej sześć tygodni w gipsie.

– Zajmiemy się nią, wiadomo. Ale uważam, że ty też powinnaś zostać. Masz niepowtarzalną szansę, żeby dogadać się ze swoją matką.

– Ta szansa już dawno minęła – oznajmiam i przeciskam się obok cioci Bożeny na zewnątrz, na mróz i świeże powietrze. – Jakies dziesięć lat temu.

Niuśka skacze dookoła, lubi wyprawy i przygody, wie, że zaraz zaliczymy kolejne. Nawet pociąg wydaje się jej ciekawy, tylko na dworcu trochę się płoszy.

– Uwierz mi – mówi ciocia Bożena. – Kiedyś, za parę lat, możesz tego bardzo żałować. Tutaj naprawdę dużo się zmieniło.

Lubię ciocię Bożenę i jestem jej wdzięczna za mnóstwo rzeczy. Tylko dlatego przystaję w pół drogi do roweru zaparkowanego przy płocie.

Przed domem, przy ulicy, stoi latarnia. Kiedyś jej nie było. Dom, dawniej uczciwie drewniany, teraz został obity sidingiem. Podwórko, niegdyś błotniste, zyskało teraz dwa chodniczki z kostki Bauma: do bramy i do ogródka warzywnego. Drewniany płot ze sztachet zastąpiły betonowe odlewy, a ja jestem już na tyle warszawianką, że mogę powiedzieć: są ohydne, milion razy brzydsze niż sztachety. Tak, dużo się zmieniło.

– Zostań z nią chociaż kilka dni. Proszę.

Ciocia Bożena patrzy na mnie w ten szczególny sposób, który jeszcze pamiętam z dzieciństwa. „Nie włącz w jeżyny, proszę. Nie jedz tyle gruszek, proszę. Codziennie czytaj przynajmniej kilka stron książki, proszę”. Wtedy zawsze chodziło o moje dobro. A przynajmniej o moje dobro, tak jak pojmowała je ciotka Bożena. Na ogół pojmowała je wcale nie najgłupiej.

Niuśka wyczuwa moje wahanie, bo też zamarła, przekrzywiła głowę i patrzy na mnie brązowymi oczkami, jakby usiłowała zrozumieć, o co mi chodzi. Sama tego nie rozumiem. Interesuje mnie właściwie tylko jedno: dlaczego mój brat się do mnie nie odzywał. Dlaczego przez te wszystkie lata udawał, że nie istnieje.

Dlaczego przez dziesięć lat nie rozmawialiśmy ani razu. A teraz nie porozmawiamy już nigdy.

Robię krok w kierunku domu. I kolejny. Otwieram drzwi. Zaciągam się ciepłem, duchotą, zapachem wilgoci i dzieciństwa. Znowu chce mi się płakać.

– Pięć dni – mówię cioci Bożenie. – Zostanę tu najwyżej pięć dni, do niedzieli.

Ciotka podchodzi i przygarnia mnie do siebie. Tak dawno nie przytulałam się do nikogo poza psem. Pozwalam sobie na luksus trwania w jej objęciach. Nie chce mi się z nich wyswobadzać, ale wreszcie odrywam się od jej ciepłego ciała. Wchodzę do domu. Niuśka kładzie się na dywaniku ze szmatek w sieni, podkula wszystkie łapki, wygląda jak smutna kreska. Zdejmuję buty, wzdycham i odważam się zrobić krok do środka.

Matka króluje w fotelu w kuchni, dwie jej przyjaciółki krzątają się dookoła. Ogień w piecu płonie, kilka rodzajów ciast piętury się na półmisku na stole, jedno ma dziwny, jadowniczo zielony kolor, inne jest biało-czerwone, jak polska flaga. Naprawdę biszkopt jest ogniście czerwony, przekładany białym kremem, patriotyczna parodia. Nie wytrzymam tu długo, już mi brakuje powietrza.

– Herbaty? – pyta ciocia Danuśka. – I zjedz kawałek tego czerwonego ciasta, jest pyszne. Na stypie wszystkim smakowało.

– Nazywa się Czerwony Welwet – dorzuca ciocia Agnieszka. – A to zielone, nie uwierzysz, barwione jest szpinakiem. Ale zupełnie go nie czuć w smaku. Nazywa się Zielony Mech.

Odwykłam już od świątkowickich small talków.

– Mogę się zajmować mamą do niedzieli – oznajmiam. – Potem muszę wracać. Mam pracę.

Ciotki kiwają głowami, matka patrzy na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Skubię kawałek tego biało-czerwonego. Smakuje jak zwykły biszkopt z bitą śmietaną. Wszystko to jedna wielka ściema.

Ciocia Danuśka stawia na stole szklankę z herbatą. Czwartą, więc przeznaczona jest pewnie dla mnie. Stoję jednak nadal i gapię się w ścianę. Z sieni dochodzi pokrzepiające posapywanie

Niuśki.

– Pozwólą ci opuścić pracę na tyle dni? – interesuje się ciocia Danuśka.

– Zaraz podzwonię.

Zabieram herbatę ze stołu i wchodzę w głąb domu. Mijam drzwi łazienki, zaraz za nią jest mój pokój. Właściwie drzwi do mojego pokoju, szczelnie zamknięte. I takie zostaną, bo nie mam zamiaru tam nawet zaglądać. Idę dalej. Plecak rzucam w sypialni Sebastiana, siadam na jego wersalce. Nabieram powietrza. Pachnie kurzem. Poza tym wewnątrz niewiele różni się od tego, które pamiętam sprzed dziesięciu lat. Na ścianach nadal wiszą plakaty z piłkarzami. Feeria kolorów (ściany, dywan, zasłony, meble, kapa na wersalce i ci cholerni piłkarze) atakuje z mocą nieznaną wewnątrz propagowanym przez sklepy IKEA. Widać, że już od dawna nikt tu nie mieszkał.

– Teraz ją wykąpiemy i położymy spać. – Agnieszka zagłada do środka. – A ty się rozgość. Wpadniemy jutro w południe. Dasz sobie radę rano?

Wiem tylko, że nie chcę zostawać tak długo sam na sam z matką.

– Jakby co, dzwoń. Do mnie lub do Danusi. Numery leżą obok aparatu – dorzuca jeszcze.

Kiwam głową. Będę musiała jakoś dotrzeć do jutrzejszego południa. A wtedy zostanie mi już cztery i pół dnia do wyjazdu.

Zasięg tu słaby, Świątkowice są pod każdym względem bardzo odległe od Warszawy. Muszę podejść do okna, żeby dodzwonić się do szefowej i koleżanek. Do soboty miałam w grafiku całkiem niemało sprzątań, ale dziewczyny chętnie wezmą je za mnie. Ja też im w swoim czasie wyświadczyłam kilka przysług. Czy lubię tę pracę? Sprzątaczek nikt o to nawet nie pyta. Ale w pewnym sensie chwilami nawet lubię. Cóż, zarabiam grosze, napiwków sprzątaczkom się raczej nie daje, ale mam wolność, której nie mają dyrektorzy korporacji, bo to nie jest robota, o którą zabijałyby się tłumy. A poza tym sprzątaczką zawsze jakąś pracę znajdzie, nie ma siły. Teraz na przykład mam pod opieką siłownię, gdzie po moim sprzątaniu ma pachnieć płynem do

czyszczenia, dwa biura, gdzie wszystko, zwłaszcza toalety, musi być na błysk, i jedną klinikę okulistyczną, gdzie każdą powierzchnię muszę dokładnie dezynfekować. Jak wystarcza sił, dorabiam sobie, sprząając po domach. Najbardziej lubię myć okna: praca bardzo wymierna i szybki efekt. A poza tym na ogół zostawiają mnie wtedy samą, bo zimno i przeciąg. I super. Nie o to chodzi, że planuję im wtedy zaglądać do cukiernicy czy lodówki, po prostu nie chcę, żeby jedna z drugą pani domu brała mnie na spytki. Nie lubię gadać o sobie. W ogóle nie lubię gadać.

Wychodzę do sieni. Z kuchni dobiega gwizd czajnika, stukanie naczyń, rozmowa prowadzona półgłosem, że knajpa, że mąż, że stypa. O Sebastianie ani słowa, pewnie za bardzo boli. Niuśka na mój widok podrywa się od razu, uderza ogonkiem, pojękuje z radości. Spacer!

Na dworze wdycham mroźne powietrze, tak zimne, że aż w nosie zamarza. Jest biało i ciemno. Śnieg tutaj wygląda jednak dużo dumniej niż w Warszawie, gdzie szybko zamienia się w brunatną kamieniejącą masę odgarniętą z chodników.

Niuśka nadrabia swoje kilometry, a ja sunę w las koleinami wyżłobionymi przez samochody, śnieg wsypuje mi się górą do traperów. Nie dochodzimy daleko, światło kończy się za ostatnimi zabudowaniami. Cisza, ciemność, rozświetlona odrobinę poświatą od śniegu. Przystaję na drodze i wdycham coś, co w mieście nazywa się czystym powietrzem, a Niuśka wyprawia się w pola. Ale już mi stopy skostniały, czuję też, że mam mokre skarpetki. Czas wracać.

Przy płocie Bożków stoi ktoś niewielki w zbyt dużej czapie, podśpiewuje chrypliwie, bardzo się starając brzmieć jak Nergal:

*Rośnij rutko wysoko,
Jak pan leży głęboko,
Jak pan leży głęboko...*

– A pani Sylwia to chora, tak? – pyta cienkim głosikiem między zwrotkami.

Chyba chłopiec. Pewnie ma z osiem lat. Brązowa czapka

pończocha z napisem „Forza Lazio” opada mu na oczy, czerwona kurtka z podwiniętymi rękawami pewnie też kupowana na wyrost. Gdyby go zmnożyć, wyglądałby jak Arka Noego, ten zespół, w którym dzieci śpiewają, radośnie podrygując. Tylko brzmia nieco inaczej niż istota pod płótem.

– Chora.

– A ty kim jesteś? Tą marnotrawną?

– Mam na imię Aniela – odpowiadam, bo Andżelika, odkąd mieszkam w Warszawie, przestała mi przechodzić przez gardło.

Mama najwyraźniej miała nadzieję, że obco brzmiące imię zapewni mi lepsze życie. Trochę przestrelała. To imię krzyczy z daleka: jestem ze wsi!, co nie ułatwia życia w Warszawie, gdzie najgorszym epitetem jest „wieśniak”. Tak w ogóle, kiedy tylko przyjechałam do stolicy, dziwiłam się, że wszyscy od razu wiedzą, skąd jestem. Wychodząc z metra, stawałam zawsze po lewej stronie schodów ruchomych, bo cała prawa była zajęta, ale nigdy nie mogłam spokojnie wjechać na górę, bo co chwila mnie ktoś odpychał, trącał, przesuwiał. „Zrób miejsce, wieśniaro”, syczeli. „Lewa wolna, wsioku”, a ja myślałam, że zyskali jakąś szczególną wiedzę o mnie. Teraz już wiem, że mnie po prostu wyzywali. I że na schodach ruchomych stoi się po prawej.

– Aniela? Dziwnie – mówi dzieciak.

– Niegrzecznie tak mówić, gdy ktoś ci się przedstawia. – Wkurzam się, bo zupełnie jakbym miała dwa pseudonimy: jednym mam się przedstawiać w mieście, drugim tutaj, i broń Boże nie pomylić, gdzie które imię jest obciachem.

Dzieciak nie ma rękawiczek. Wyciera sobie gluta wierzchem dłoni.

– Nie zimno ci? – pytam.

– Gdzie tam. – Pociąga nosem. – Taki mróz to żaden mróz.

Ale i tak zaraz chowa ręce do kieszeni.

Niuśka podbiega sprawdzić, z kim rozmawiam. Młody się denerwuje, ogania.

– Buda! Idź do budy! – krzyczy spanikowany, jakby nigdy nie widział psa bez łańcucha. I macha nogą, jakby chciał Niuśkę kopnąć.

– Chodź, Niuśka! – wołam. – A ty się psa nie bój, ten pies jest mądrzejszy niż niejeden człowiek.

– Chyba niż ty – mamrocze młody pod nosem, ale udaję, że nie słyszę. Odprowadza mnie wzrokiem do naszej furtki i dalej tkwi przy płocie jak przymurowany. Czyje to dziecko? Minęły czasy, gdy znałam tutaj każdego. W Świątkowicach teraz wszędzie obce twarze, żony i mężowie importowani z innych miejscowości, wszystkie te nowe dzieci, cała ta młodzież, która z powodów oczywistych wygląda zupełnie inaczej niż dziesięć lat temu.

Otwieram drzwi domu, bo nie mam innego wyjścia, zaraz stopy zmieniają mi się w dwa kawałki lodu. Ładuję się do pachnącego przeszłością wnętrza.

W środku okazuje się, że pachnie również żelem do kąpieli. Zamieszanie, bo Agnieszka z Danuską myją moją matkę pod prysznicem. Stoję w progu i słucham tych dźwięków, zamykam oczy i przez chwilę czuję się jak wtedy, w dzieciństwie, gdy przez plusk wody podsłuchiwałam nasze matki i marzyliśmy, żeby się do nich dostać, żeby być bliżej.

kiedyś

Na zegarze już dwudziesta pierwsza, a dopiero się zmierzcha, ale przecież w czerwcu zmrok zapada późno, bardzo późno. Już mamusia zdążyła dopilnować, żebyśmy się umyli, ja i mój brat, Sebastian, już zdążyła zamieść dom i umyć podłogę w kuchni, potem zagoniła nas do zamiatania ganku i schodów, poprawiła po nas, podstrzygła tatusiowi włosy na karku i nad uszami, wyprasowała koszulę jemu, a sukienkę sobie, wszystko na jutro. A teraz wychodzi z domu i dołącza do reszty kobiet. Gdy idą, zajmują całą szerokość szosy. Są we cztery. Moja mamusia, wysoka, szeroka w ramionach, właśnie rozpuściła warkocz, bo będzie zaraz myła włosy. Ciocia Bożena, o karnacji Cyganki i ciemnych oczach, których nie maluje, bo i tak okala je firana kruczoczarnych rzęs. Po dzieciach został jej duży brzuch, który sobie zawsze ścisza paskiem, nawet teraz, gdy idą nad wodę. Ciocia Agnieszka wygląda jak dwie kobiety, taka jest wielka, ale z jedną zgrabną głową, zupełnie niepasującą do reszty. Twarz z mlecznobiałym uśmiechem, błękitnymi oczami, rumieńcami, okolona złotymi lokami sprawia wrażenie pożyczonej od jakiejś gwiazdy filmowej z amerykańskiego serialu. A obok nich drobniutka ciocia Danusia, chichotliwa, z cienkimi, gładkimi włosami zaczesanymi w kucyk i podłużną twarzyczką elfa, maleńka przy tamtych jak lisiczka przy niedźwiedzicach. Machają reklamówkami, w których mają mydła i ręczniki. Wszystkie kobiety są w podobnym wieku, młode mężatki z niedużymi dziećmi, mieszkają niedaleko siebie. Mówią o sobie Klub Sobotni lub krócej: Sobótki. Bo co sobota kąpią się w rzece, same, bez świadków, a miejscowa legenda głosi, że niezależnie od pory roku robią to nago.

Skradamy się za nimi całą bandą w gęstniejącym mroku. Nam z Sebastianem udało się bez trudu wyjść z domu, bo tatuś, po wieczornej kąpieli, podrzemuje z piwem przed telewizorem,

i wcale go nie obchodzi, co robimy, bylebyśmy robili to cicho. Nasze mamusie ciągną przez wieś ławą, śmieją się, zagadują do siebie. Zaraz nas odpędzą, wiem o tym, zaraz to zrobią, kiedy tylko się odwrócą i zobaczą któreś z nas: Sebastiana, mnie, dzieci cioci Bożenki, czyli Dawida i jego starszą siostrę Karolinę, maluchy cioci Danusi czy bliźniaczki cioci Agnieszki, Moniczkę i Weroniczkę, z najmłodszą, Asieńką, za rączkę.

– Do domu, bachory! – krzyczą i skręcają w łąkę. – Jesteście już umyć, nie brudzić nam się tutaj! Do domu! Dzieci grzecznie zostawiają swoje mamusie!

Znikamy im z oczu, ale przecież tylko się schylamy, kucamy za krzakami i czekamy, żeby znowu podążyć za nimi, żeby słuchać ich śmiechu. Zostaliśmy jednak na tyle daleko, że znowu nie zauważyliśmy, którędy nasze mamusie przedzierają się przez zarośla jeżyn, żeby dotrzeć do rzeki. I jak zawsze kilka minut później próbujemy przejść przez te jeżyny, krzewy są jednak prawie naszej wielkości i drapią setkami zakrzywionych kolców, wpijają się w łydki i stopy. Stoimy więc w mroku po tej stronie zarośli i wyplątujemy się z drapieźnych gałęzi, wyciągamy ciernie ze spodni i palców. Nawet stąd słyszę, jak Sobótki pluskają się w rzece, niosą się śmiechy i okrzyki, że jaka ciepła woda, jaka miękka, że po niczym włosy się tak dobrze nie układają, jak po wieczornej sobotniej kąpieli w Okrzejce. Moja mamusia jest na co dzień małomówna, ale teraz wcale taka się nie wydaje. Zza krzaków często dochodzi jej głos, choć rzadko daje się rozróżnić poszczególne słowa. Raczej ton. Słyszę w nim śmiech. Złość. Narzekanie. Znowu śmiech. Gadają jedna przez drugą, chichoczą, pluskają jak foki. Ile razy prosiłam, że chcę do nich dołączyć, że już jestem duża, ale mama zawsze przerywała te błagalne skomlenia. Nie i nie. Nie dla dzieci. Ma przecież prawo do chwili spokoju raz w tygodniu.

– Wiem, którędy przechodzą przez jeżyny – chwali się Dawid, syn cioci Bożenki.

– Akurat – mówię, bo w tym naszym niewielkim towarzystwie Dawid jest od zmyślania, a ja od podawania w wątpliwość.

– Nie wierzysz? Chodź, to ci pokażę. – Dawid chwyta mnie za

rękę, palce ma silne i chłodne, ciągnie mnie gdzieś w bok. – A jak ktoś jeszcze za nami pójdzie, to wrzucę w krzaki – dodaje, więc bliźniaczki zawracają od razu. Wiedzą, że Dawida stać na wszystko.

Idziemy kawałek w bok, głosy naszych matek dochodzą do nas coraz bardziej niewyraźne. Dawid kuca, ciągnie mnie w dół. Tu już nie ma jeżyn, bo nic nie kłuje, są tylko gałęzie, co siekają po głowie, ale jeśli się schylić, tworzą nad głowami żebrowany sufit.

– Kładź się, będziemy się czołgać.

– Oszalałeś?

Ale Dawid już leży, ciągnie mnie w dół. Kładę się obok. Tutaj, pod gałęziami, jest naprawdę ciemno, ciemno jak w środku nocy, głosy dochodzą z bardzo daleka, głosy innych dzieci, głosy naszych mamus, ich parskanie, chlapanie, krzyki przypominają teraz zduszone, rwane szepty. Czuję, jakbyśmy trafili zupełnie gdzie indziej, gdzie nie ma Świątkowic, naszych rodzin, rzeki, jest tylko ciemna noc, cudze ciche głosy i ciepłe ciało obok. Leżymy blisko siebie z Dawidem, od dołu ciągnie chłodem, ale z boku, z lewego boku, jest cudownie ciepło. Podpieramy się na łokciach i patrzymy przed siebie, w ciemność, dotykamy się ramionami, bokami, nogami, tworzymy ludzką tratwę w mroku.

– Zmyśliłeś, że znasz przejście.

– Znam. – Dawid dotyka mojej głowy, policzka chłodnymi, pachnącymi trawą palcami. – Ale musiałem przysiąc, że nigdy nikomu nie powiem. Sam tamtędy kiedyś przejdę i wpadnę między nasze mamusie, wszystkie gołe. Zabiorę im ciuchy i ucieknę, a one będą wracały mokre i błyszczące od wody przez jeżyny, przez łąkę, przez drogę, będą szły gołe szosą, a co kto będzie tam jechał samochodem, to je oświetli, a one będą piszczały.

– Ta, akurat zdejmują bieliznę do kąpieli. To tylko plotki.

– A myślisz że co? Że nie zdejmują? Zakole jest ich taką dużą wanną, zdejmują wszystko, mydlą się, jedna drugą po plecach, produkują tyle piany, że aż ryby zdychają, mają pianę we włosach, pod pachami, w krokach, są całe pokryte białym jak niedźwiedzie polarne – opowiada Dawid, a ja powoli zaczynam

wierzyć, że już to wszystko musiał widzieć.

Zazdroszczę mu. Nie, nie podglądania nagich kobiet. Minał, co prawda, czas, kiedy uważałam, że kobieta z przodu ma wałek, a nie dwie piersi, jednak nagość mojej matki nadal nie fascynuje mnie specjalnie. Bardziej mnie interesuje, o czym rozmawiają Sobótki, kiedy myślą, że nikt ich nie słucha.

Czy Dawid je słyszał? Naprawdę słyszał? Zazdroszczę mu i chciałabym wiedzieć, o czym gadały, nie pytam jednak, bo nagle skupiam się na czymś innym. Na miękkich ustach Dawida, które czuję tylko przez chwilę, gdy przytyka je do mojego policzka i chucha mi na skórę. I tak trwamy w ciemnościach, głosach i odległych pluskach pod żebrowanym sklepieniem pachnącym zielskiem.

Następnego dnia, w niedzielę po obiedzie, razem z naszymi mamusiami, tatusiami, grillem, piwem Łomża, kocami, materacami, chipsami cebulowymi, oranżadą Helena i wszystkimi dziećmi idziemy nad rzekę. Tym razem jednak nie na zakole, tylko na plażę, czyli na to, co wszyscy w Świątkowicach nazywają plażą, spłacheć piachu obok kładki, którą można przejść na drugą stronę rzeki. Tamci się rozkładają, Helena i piwo lądują w płytkiej wodzie, żeby się nie nagrzały, koce na piachu, grill nieco wyżej, tatusiowie zajmują się jego rozpalaniem i popijaniem piwa, mamusie smarowaniem różnymi kremami, które mają przyspieszyć opalanie, na czym zależy cioci Bożenie, albo mu zapobiec, co wolałaby ciocia Danuśka. Ale nie patrzemy już na to wszystko, bo razem z Dawidem zostawiamy towarzystwo na plaży, a sami brniemy przez łąkę w kierunku jeżyn przy tajnym kąpielisku Sobótek, szukamy, węszymy, podnosimy gałęzie kijami, zaglądamy z góry, na tyle, na ile nam wzrost pozwala, z dołu, to łatwiejsze, ale choć uparcie szukamy, to nijak nie możemy znaleźć ścieżki, którą te sprytne Sobótki dostają się do swojego kąpieliska na zakolu.

– Wczoraj mówiłeś, że wiesz – wypominam Dawidowi, jakbym go jeszcze nie zdążyła poznać.

– Wiedziałem. Ale zarosło. – Ta jego poważna mina zawsze towarzyszy potwornym kłamstwom. A potem jego usta znowu

lądują na moim policzku, jak wczoraj. Zastygam, takie to przyjemne, oddech Dawida jest cieplejszy nawet niż upalne powietrze.

– Zakochana para, Jacek i Barbara! – Cholerne bliźniaczki przekradły się niepostrzeżenie za nami i drą się, ile wlezie. Reszta dzieci podłapuje, podbiega, „zakochana para, Jacek i Barbara”, ale uciekamy przed nimi na plażę i rzucamy się do rzeki, do lodowatej wody, którą chlapiemy na tamtych. Co wy o tym wiecie, chciałabym uśmiechnąć się z wyższością, ale zamiast tego śmieję się jak dzika, a wspomnienie tych ust na policzku niosę ze sobą przez całe popołudnie, wygrzewając się na piachu, wbiegając do wody, jedząc kiełbasę z grilla, wycierając musztardę sarepską z warg, patrząc, jak mamusia i tatuś się śmieją z innymi mamusiami i tatusiami. Panowie popijają piwo, a Sobótki leżą na plaży jak wielkie różowe foki, poza cicią Danusią, która jest jak mała biała foczka z wielkimi szarymi oczyskami i cienkim blond ogonkiem.

My też spoglądamy na siebie co jakiś czas i uśmiechamy się, Dawid i ja, a między nami drży nasza wspólna tajemnica: jego ciepłe wargi, jego oddech na moim policzku.

teraz

Dorzucam do pieca, stawiam buty obok, wieszam na nich mokre skarpetki. Gapię się w kreseczki ognia widoczne dookoła drzwiczek.

Sobótki wyprowadzają moją matkę z łazienki, jeszcze jest rozluźniona, choć kuśtykając, posykuje z bólu. Ale na mój widok twarz jej kamienieje. Czy chodzi jej o tę moją konstrukcję z dredów, której jeszcze nie rozpuściłam, czy o coś zupełnie, zupełnie innego? Czekam, aż Sobótki zaprowadzą ją do sypialni, ułożą, a sama ukrywam się w pokoju Sebastiana. Tu będę spała. Podnoszę siedzisko wersalki i znajduję pierzynę. Kładę się, nakrywam, stopy powoli się rozgrzewają. Przez chwilę jest miło i ciepło, ale zaraz zaczynam czuć, jakbym leżała pod ciężkim wiekiem trumny. W mieście odzwyczaiłam się od takich ciężkich nakryć.

Słyszę stukanie drzwi wejściowych, głosy z sieni, Sobótki pewnie już wracają do siebie. Zostałyśmy we dwie z matką.

Przemykam do łazienki. W sakwach wożę mnóstwo użytecznych rzeczy, jak scyzoryk ze śrubokrętem, torbę na zakupy czy pelerynę przeciwdeszczową, nie wzięłam jednak żadnej bielizny na zmianę ani nawet szczoteczki do zębów, przyjechałam przecież tylko na chwilę. Myję zęby palcem, dziwię się, że matka używa takiej samej pasty jak ja w Warszawie. Ochlapuję się w kroku i pod pachami, wycieram papierem toaletowym, bo nie pamiętam, gdzie matka trzyma czyste ręczniki. Do pokoju Sebastiana wracam naga, przydeптując kapcie, a Niuśka liże mnie po łydkach, to taki nasz rytuał po kąpielu. Po raz pierwszy w życiu chodzę goła po tym domu. Dreszcz przebiega mi po plecach i wygrzebuję z komódki jakiś podkoszulek mojego brata, spodnie od dresu, niepotrzebne ubrania chłopaka, który dziś wylądował w ziemi. Rozsmarowuję palcem łzę na policzku i szybko się ubieram. Niuśka od razu

wyczuwa podły nastrój, wskakuje na wersalkę, opiera pysk o moje uda. Zasypia od razu. Tylko ja nie mogę, choć pierzynę zamieniłam na koc z polaru. Gdy tylko głowa zapada się w poduszkę, czuję się bezradna, bezbronna. Podrywam się więc, siadam, kładę głowę na oparciu wersalki, słucham sapania Niuški, co zawsze mnie uspokaja, ale dzisiaj wcale. Duszno, pachnie kurzem, a oparcie wersalki nie wiadomo czym. Uchylam okno, wicher wdziera się do środka ze świstem. Zamykam. Gaszę lampkę przy łóżku, ale wtedy nagle wydaje mi się, że ktoś stuka w okno. Podrywam się, ślepię w ciemności na zewnątrz, ale nie, nie widać nikogo, a przecież w świetle latarni na pewno bym zauważyła, gdyby ktoś naprawdę stukał w szybę. Wydawało mi się, musiało mi się wydawać.

Gapię się w sufit usiany cieniami i trwam. Mam spędzić pod nim jeszcze cztery długie dni i jeszcze dłuższe noce.

Włączam światło i łażę po pokoju mojego brata. W komódce stare ciuchy, na regale stare podręczniki, „Przeglądy Sportowe” sprzed ponad roku, w szufladzie biurka zabazgrane zeszyty, połamane ekierki, kulki plasteliny. Wszystko co ważne Sebastian musiał zabrać ze sobą, do nowego domu, do żony i dziecka. Tęsknię za nim jak cholera, tak bardzo go tu nie ma. Kartkuję jego bruliony, widzę, że lubił rysować potwory albo baby z cyckami, w obcisłych kombinezonach superbohaterek. Na początku kolejnego zeszytu kilka wariacji na temat człowieka-wilka, z wielkimi zębami, wielkimi uszami i wielkimi łapami, całego obrośniętego gęstym włosiem zaznaczonym pociągnięciami długopisu, dokładnie, raz koło razu. A przecież Sebastian był wtedy taki malutki.

kiedyś

– Cisza! Cisza!!! – Pani Marczuk jest cała czerwona. Niepotrzebnie przyszła na to zastępstwo, wolelibyśmy siedzieć sami, bo zupełnie nie umiemy się uspokoić, już nam pachnie wakacjami. – Bądźcie wreszcie cicho, przestańcie wyć jak idioci, bo przyjdzie wilkołak i pozamienia was w wilki!!!

Podejrzewam, że zmyśla z tej złości, ale z drugiej strony bardzo bym chciała, żeby mówiła prawdę. Zostałabym wilczycą, groźną i zębata. Nikogo bym się nie bała. Wilcza wieś – to byłoby coś. Tatusiowie wracają z pracy, a wszystkie dzieci, zamienione w wilki, wyskakują na nich, kłapią zębiskami, straszą. Z tymi wilkołakami chyba jednak nie jest do końca tak, jak opowiada pani Marczuk, co po lekcjach potwierdza w paru słowach pani Stańska, moja wychowawczyni. Szkoda, że spieszy się, jak zwykle, ale nigdy nie zbywa moich pytań.

– Wilkołak to człowiek, który podczas pełni księżyca zmienia się w wilka. Wszyscy, których wtedy ukąsi, też się zmieniają, i potem już tak co miesiąc, na jedną noc. Nie muszę chyba dodawać, że to tylko taka ludowa legenda – rzuca pani Stańska i zaraz musi gdzieś biec. Legenda? A przecież pamiętam, jak parę dni temu mówiła, że w każdej legendzie jest ziarno prawdy.

Opowiadam w domu Sebastianowi co i jak, o tym ziarnie prawdy też, a młody smaruje wilkołaka w zeszytcie, obrazek za obrazkiem, i pyta, czy ładnie. Lubi udawać, że już chodzi do szkoły, jak ja, chociaż pójdzie dopiero za dwa lata. O wilkołaku opowiadam też Dawidowi, a ten strasznie się zapala. Odtąd przez dwa długie dni wszyscy czekamy na pełnię, zaznaczoną w kalendarzu kuchennym ze zrywaniem kartkami.

– Wilkołak powinien przejść drogą od lasu, na tyłach stodół – powtarza Dawid. – Nieważne, czy zmieni się u siebie w łóżku i pójdzie do lasu na spacer, żeby żony nie straszyć, czy zmieni się w lesie i przyjdzie do wsi, żeby kogoś zarazić, to musi przejść

tamtędy, nie ma siły, musi.

– Niby dlaczego? – wątpię. – Do lasu mógłby sobie spokojnie pobiec obok kapliczki nad rzeką. Nawet miałby bliżej.

– Jakby tak biegał na ludzkich oczach, od razu by go widłami zakłuli! Jak wściekłego lisa. Nie będzie taki głupi, przejdzie po zastodolu.

Sebastian patrzy na nas okrągłymi ślipkami, pełen zgrozy i podziwu. Nie dał się zostawić w domu, musi zobaczyć wilkołaka na własne oczy.

Siedzimy więc w stodole cioci Bożeny, brama jest uchylona, patrzymy na zastodole, wspólne dla wszystkich gospodarstw, tędy wraca się z pola ze zbiorami, żeby naładowanym wozem nie przeciskać się przez bramę ani nie przejeżdżać przez podwórko, tylko od razu wjechać do stodoły. Nasz cel na dziś: chcemy wiedzieć, kto ze wsi jest wilkołakiem. Dawid nawet nie dopuszcza możliwości, że nikt. Sebastian wtula się we mnie, nieco przerażony, ale spod mojego ramienia łypie na dwór. Ma ze sobą zeszyt z rysunkami, żeby porównać. Nie wierzę w żadne potwory, ale fajnie tak czekać w ciemnościach nie wiadomo na co.

– Najgorzej będzie, jak się okaże, że to nasz tatuś jest wilkołakiem – zamyśla się Dawid. Nie odzywam się, bo Sebastian jest już wystarczająco przerażony. Po co w ogóle zabrałam małego ze sobą? Zaczynam kombinować, jak go odstawić do domu, a potem znowu tutaj wrócić.

I nagle widzimy kogoś na zastodolu. Czarny cień przybliżył się do naszej kryjówki, idzie boczkiem, rwanym krokiem, zupełnie jak nieczłowiek. Chwytny się za ręce, wszyscy w trójkę, wstrzymujemy oddech i zastanawiamy się, kiedy zacząć wiać. Sebastian wreszcie wypuszcza powietrze.

– To tylko Jarek Wronka – oznajmia półgłosem, a ja mu kładę palec na drżących ustach.

Też już teraz widzę, że to tylko Jarek Wronka, chłopak niewiele starszy ode mnie. Mogłam się tego spodziewać. Zawsze włożył się sam, od chwili, gdy piła tarczowa obcięła mu dwa palce u lewej ręki. Krew wtedy tak sikała, że cała wieś się zbiegła,

a Jarka to jakby wcale nie obeszło, mrugał tylko szybko, nawet nie krzyknął. Potem już z nami nigdzie nie chodził, nie chcieliśmy go ani on nie chciał nas. Interesowała nas tylko jego dłoń z dwoma kikutami, ale zawsze chował ją do kieszeni i chodził bokiem, prawą stroną do przodu. Od dawna wydawał mi się podejrzany, choć przedtem myślałam, że wilkołak będzie starszy. Jarek jednak nie węszy, nie warczy, nie rzuca się, siusia tylko na ścianę stodoły, długo i donośnie.

– A to drań, moją ojcowiznę obsikuje – szepcze mi Dawid do ucha, a Sebastian wychyla się, żeby zobaczyć tę okaleczoną dłoń Jarka, ale nie udaje mu się, o czym od razu rozgorączkowany donosi, znowu półgłosem. Czy on nigdy nie nauczył się szeptać?

Jarek Wronka w końcu znika w szarościach wieczoru. Czekamy dalej. Stodoła jest duża i ciemnawa, naładowana z jednej strony pod dach zeszłoroczną słomą, z drugiej tegorocznym sianem. Zapach siana kręci w nosie. Musimy siedzieć cicho, inaczej ojciec Dawida zaraz nas stąd wyrzuci, boi się pożaru, jak każdy. I znowu słyszymy coś podejrzanego, jakby brzęk roweru rzucanego na ziemię, a może to jakieś dziwne wycie? Potem ktoś się pojawia na zastodolu. Tym razem ścieżką, patrząc dookoła, skrada się jakiś duży facet w czapce wciśniętej na wielką głowę. Dawid oddycha szybciej, Sebastian aż mnie szczypie z podniecenia. Przecież nie wierzę w żadne wilkołaki, powtarzam sobie, ale zaraz przypomina mi się ziarno prawdy ukryte w każdej legendzie, poza tym mężczyzna na zastodolu spuszcza łeb, zasłania twarz czapką, jest duży i podejrzany. Sebastian modli się, żeby nas nie wywęszył swoim wilczym nosem, mamrocze, aż znowu muszę go uciszać.

– Ale obronisz mnie? Obronisz? – Wtula się we mnie jak małpka w swoją mamę.

– Nie dam ci nic zrobić. – Podsadzam małego na wóz, gdzie kładzie się pod derkami. Po chwili wahania też się tam z Dawidem wspinamy. Pies na wóz nie doskoczy, więc wilk także nie, upewniamy się wzajemnie najcichszym szeptem, na jaki nas stać.

Wilkołak ostrożnie biegnie po zastodolu, chyba już kiedyś

widziałam kogoś, kto tak biegał, powolny, przyciężki krok, lewa stopa odstawiana mocniej, wielka, spuszczone głowa. Tę kurtkę też chyba już gdzieś widziałam. Zastygamy na wozie. Mija stodołę, biegnie dalej. Wtedy Dawid zsuwa się z wozu, wystawia głowę przez uchylone wrota, patrzy za wilkołakiem.

– Nie chcę was straszyć, ale on chyba wchodzi do waszej stodoły.

Sebastian kuli się na wozie, naciąga na siebie derkę.

– Zdjął czapkę – donosi Dawid. – Nie chcę was straszyć, ale...

Zrywam się, zeskakuję z wozu, biegnę do Dawida, wtlaczam mu te słowa do ust.

– Nie strasz małego – szepczę.

– To wasz tatuś – mamrocze mi do ucha Dawid. – A mówiłaś, że śpi na leżaku w sadku i że mamy być daleko, żeby mu nie przeszkadzać wrzaskami.

– Cicho bądź wreszcie! – syczę.

Wracam do wozu. Widzę, że Sebastian popłakuje, kryjąc się pod derkami.

– To nie był tatuś. To nie mógł być tatuś. Nasz tatuś nie jest wilkołakiem. Nasz tatuś leży na leżaku w sadku i odpoczywa, prawda, Andżelika?

– Prawda – mówię i wycieram mu mokre policzki. – Prawda. Nasz tatuś nie kłamie i nie jest żadnym wilkołakiem.

Dawid już nie stoi przy wrotach, wyszedł na zastodole, dochodzi stamtąd jego poświstywanie.

– No chodźcie! No chodźcie już! – pokrzykuje. – Lipa z tym wilkołakiem! Głupie bajki! Idziemy stąd!

Wlecemy się, jacyś smutni, po zastodolu nad rzekę. Włazimy na kładkę, opieramy się o poręcz i plujemy do czarnej wody. Sebastian wtula się w moje udo. Przygarniam go mocniej, niech przynajmniej on się nie martwi. Niech się nie boi.

Gdy wracamy do domu, mamusia się krząta jak zwykle, a tatuś siedzi jakby nigdy nic przed telewizorem, podrzemuje. Nic nie wspomina, że chodził gdzieś po zastodolu zamiast leżeć w sadku, ale my też na wszelki wypadek nie pytamy. Ani jego, ani mamusi.

– Zapomnij o tym – tłumaczę Sebastianowi. – Nie ma się co

zastanawiać, on czy nie on.

– Albo czy nakłamał, czy nie nakłamał – dodaje Sebastian. – Nie ma się co zastanawiać. To nasz tatuś i tyle, nie żaden wilkołak.

Taki mały, a taki mądrutki. Przytulam go.

Następnego dnia w szkole poziewuję pewnie ponad miarę, bo pani Stańska pyta żartem, czy przy pełni wypatrywałam wilkołaka. Posyłam jej ponure spojrzenie. Nie drąży. Ja też staram się nie zastanawiać, dokąd po kryjomu chodził tatuś. Nie będę o tym myśleć, obiecuję sobie. Ani przez chwilę. Wyganiem z głowy złe myśli, gdy wracają, szczypię się w rękę. Pod wieczór mam już potężny siniak od tego szczypania, i co w nim powiercę palcem, złe myśli uciekają. Więc wiercę. I wiercę. I wiercę. Aż wreszcie zapominam. To pierwsza lekcja zapominania, jaką sobie zrobiłam. Później szło już łatwiej.

teraz

Budzi mnie zimno. Niuśka posapuje na podłodze. Wstaję i idę do kuchni, ale tu wcale nie jest ciepłej. Rozpalam w piecu, kosz na podpałki pełen jest wymiętych pisemek, głównie z wypełnionymi krzyżówkami. Potem zaglądam do matki. Drzwi lekko skrzypią, a ona otwiera oczy. Patrzymy na siebie. Dopiero po chwili bąka cichutko, że musi do ubikacji. Więc kula inwalidzka pod jedną rękę, ja pod drugą i dalejze matkę prowadzić. Czuję jej wszystkie zapachy, dotykam jej pierwszy raz od dziesięciu lat, na szczęście przez materiał, bo koszula nocna ma długie rękawy. Obie milczymy, skazane na siebie, atmosferę ożywia tylko Niuśka, z podniecenia kręcąca się przy nogach, cud, że się matka nie wywróci przez tego psa. W łazience podaję matce szczotkę i ręcznik, zostawiam ją samą, czekam pod drzwiami, następnie prowadzę z powrotem do łóżka, podpieram jej plecy poduszką. W kuchni robię śniadanie: czerstwy chleb, jajecznica i ogórek kiszony ze słoika. Parzę herbatę, łowią torebkę już po chwili, tak żeby wrzątek zabarwił się najwyżej na słomkowo, kładę torebkę na spodeczku, będzie jeszcze można jej użyć, sypię dwie łyżeczki cukru. Jakimś cudem palce jeszcze pamiętają, jaką się robi matce herbatę. Zostawiam to wszystko przy jej łóżku i uciekam, bo obcość między nami aż skrzypi.

Potem wsiadam na rower, Niuśka biegnie obok po śliskim poboczu. Chciałabym dojechać do stacji i móc zniknąć stąd na zawsze, a nie wracać do domu, gdzie między nami zalegają rzeczy po tych, którzy odeszli, oraz dużo ciszy pełnej żalu. Ale obiecałam, że zostanę, obiecałam cioci Bożenie, więc jeszcze przez cztery dni będę patrzeć na przysadziste jaskrawe domki, chodniki, które kończą się znienacka, dlatego znowu trzeba jechać poboczem; będę patrzeć na sklepy spożywcze, w których mydło, powidło i niezdrowe jedzenie, ale tylko do szesnastej, bo po szesnastej już i mydło, powidło, a zwłaszcza niezdrowe

jedzenie powinno się mieć w domu. A na mnie będą patrzeć ludzie, którzy doskonale wiedzą, kim jestem, nawet jeśli ja nie wszystkich rozpoznaję.

Podjeżdżam pod drzwi spożywczaka o nazwie Paradiso. A jakże, nic się nie zmieniło od czasów, gdy stąd wyjeżdżałam – tabliczka nadal głosi, że czynny do szesnastej. Następny, Mięso-Wędliny – to samo. Sklep kosmetyczno-przemysłowy Roksana do, kurwa, szesnastej trzydzieści. I wy jesteście w Unii Europejskiej? W Roksanie kupuję szczoteczkę do zębów, już zapomniałam, o ile tu taniej niż w Warszawie.

Zawracam i wtedy go widzę. Nie, niemożliwe, żeby tak niewiele się zmienił. Jest po prostu wyższy, ale poza tym identyczny jak dziesięć lat temu, równie chudy, z równie nastroszoną czupryną pełną loków, z kpiącymi, krzywawo uśmiechniętymi ustami. Cóż, całe szczęście, że nie zmienił się w łysego, krępego kolesia bez karku, jakich wielu tutaj mijam. Nie widziałam go na pogrzebie, ale każdego mogłam przecież przegapić w tym tłumie. Dawid, syn cici Bożenki. O rok ode mnie młodszy, więc już powinien mieć dwadzieścia siedem lat, wygląda jednak ciągle na siedemnaście, i to takie dziecinne siedemnaście. Czas się zatrzymał.

– Mówili, że zaraz od nas uciekniesz, a tu proszę. – Śmieje się do mnie z daleka, potem przepasza, że się śmieje, przecież okoliczności są tragiczne, ale on nie potrafi się nie śmiać, śmieje się ze wszystkiego, co mówi. Przy nim życie wydaje się zabawnym żartem Pana Boga, a rzeczy najboleśniejse stają się mniej dotkliwe. Zawsze go za to lubiałam, przez chwilę nawet myślałam, że go kocham. Ale to już dawno nieważne, opuściłam go jak wszystko tutaj.

Samochód Dawida rejestrację ma miejscową. W Warszawie poszlibyśmy na kawę, żeby pogadać o starych czasach, ale tu Dawid pochyła się, by otworzyć mi drzwi od strony pasażera, i siedzimy w środku, grzejąc się silnikiem, który emituje do atmosfery niepotrzebnie duże ilości spalin. Niuśka wskakuje do środka i leży przy moich nogach.

– Cztery dni? Masz czas, żeby znowu wrosnąć w nasze uroczę

towarzystwo – mówi Dawid. – Wyciągnę cię na wszystkie superimprezy, nie będziesz miała chwili wolnego.

– Cztery dni, przypominam. W niedzielę stąd więcej.

– Może i lepiej. Imprezy w niedzielę nigdy się nie udają.

– A z kim będziemy imprezować? Myślałam, że wszyscy stąd wyjechali.

– Nie martw się, ja zostałem na posterunku. I nawet znalazłem fajne towarzystwo.

– Akurat.

– Nieduże. Jednoosobowe.

Ma dziewczynę, załapuję. Nie powinno mnie to martwić. Ale troszkę uwiera.

– To będzie bardzo huczna impreza – pokpiwam.

Tak, zakochana para plus ja na doczepkę. Już lecę się bawić.

– Nieważne jak bardzo huczna. Ważne z kim. Mój kolega jest jeszcze przystojniejszy niż ja.

Kolega?

Ludzi w naszym wieku pamiętam przecież z grubsza wszystkich.

– Ale on nie stąd. Przyjechał tutaj, żeby nauczać wiejskie dzieciątka oraz żyć z dala od okrutnej cywilizacji. Wiesz, na wsi nie ma korków, zawsze jest gdzie zaparkować, a z pokus tylko piwo. Cisza, spokój. Czyste powietrze.

Dawid wskazuje na jeden z pobliskich domów. Z komina wydobywają się kłęby czarnego dymu. Śmierdzi czymś gęstym.

– Czym oni palą? – denerwuję się. – Oponami?

Dawid pochyla się nade mną, truchleję, ale on tylko chce się dostać do okna od mojej strony. Uchyla je i woła:

– Zuzanka, czym wy w domu palicie? Oponami? A nie, pampersami!

– A ty sobie nie pozwalaj, Dawid – mówi nadchodząca z wózkiem pani w opiętej kurtce. Na budce powiewa czerwona kokardka, taką się tu zawiązuje od uroków. – A sam czym palisz?

– Naprawdę bardzo się cieszę, że dostałaś pięćset plus i stać cię na jednorazowe pieluchy – śmieje się do niej Dawid. Pani podchodzi bliżej i zagłada, by przyjrzeć się nam przez okienko

samochodu. Jest młodsza, niż myślałam i skądś ją znam. Chyba. Zuzanka? Pamiętam imię, ale nie umiem go dopasować do okrągłej, wykonturowanej twarzy. Dziewczyna ma ją całą narysowaną od nowa, makijaż pewnie robiła według jakiegoś tutorialu na YouTube.

I nagle wykrzykuje znad wózka:

– Andżelika! Prawie cię nie poznałam w tej czapie.

Ściągam czapkę, dredy się rozsypują na kurtce. Ta mina jest bezcenna.

– Bez czapki też bym cię chyba nie poznała – dziwi się tamta.

Zdziwiona mina: już ją kojarzę. Byłyśmy w jednej klasie w podstawówce, ona potem poszła do gastronomicznej. A teraz ma już dziecko. Dwoje, jak się po chwili okazuje, bo to starsze przygalopowuje zaraz i wtula się w jej nogę, zerkając na mnie zza uda.

– Cześć – mówi Zuzanka. – Zobacz, jakich fajnych maluchów się dochowałam.

– Fajne. A kim jest szczęśliwy tatuś?

– Karol z Melanówki. Karol Mostków. Na pewno kojarzysz.

Nie kojarzę.

– A co u ciebie? Dzieci? Mąż?

Kręcę głową.

– A wiesz, że mamy nową fryzjerkę? – rzuca Zuzanka pozornie bez związku.

– Niemożliwe.

– Kończyła kursy za granicą – dobija mnie i poprawia wystające spod kaptura kosmyki z balejażem blond. Ona czuje się tu królową ula, ja się czuję rybą wyrzuconą z wody.

No, czas na mnie.

– Zmarzłam, pójdę już. Miło was widzieć, świetny samochód, śliczne dzieciaczki i gratuluję. – Chcę wysiąść. Dawid proponuje, że takie zimno, więc może mnie podrzucić do domu. A co tam, niech podrzuci, pobędziemy jeszcze chwilę razem.

Składa tylne siedzenia, wsuwa rower od strony bagażnika. Wraca za kierownicę, zawraca. Jeździ łagodniej niż kiedyś motocyklem.

– Sprzedałeś swoją kultową maszynę?
– A, rzeczka. Stoi w stodole. Czasem do niego zaglądam. Przypomina mi, że kiedyś umiałem rwać laski.

– A co, żenisz się?

– Z kim? Z tobą mogę zaraz. Co, zatrzymać się pod kościołem?

– A proboszcz który teraz jest?

– Pamiętasz tamtego starego z brzuchem, co kosił kasiorę za pogrzeby?

– No pewnie.

– To teraz mamy innego.

– Nie kosi?

– Kosi. Ale z większym wdziękiem.

Dawid wpatruje się w drogę z kamienną twarzą. Naprawdę jeździ powoli i ostrożnie.

– Byłam pewna, że pryśniesz ze Świątkowic zaraz po maturze.

– A kto ci powiedział, że już zdałem maturę? To przecież długi i bolesny proces.

Już zapomniałam, jak się rozmawia z Dawidem. Niczego się nie dowiesz, ale przynajmniej jest śmiesznie. Chyba że wolisz się irytować niż śmiać. To też jest w pakiecie.

Dawid hamuje pod moim domem, wyjmuje rower, muska mnie pożegnalnym buziaczkiem w policzek. Pachnie nie najgorszą wodą kolońską. Naprawdę wiele się tu pozmieniało.

W domu zamieszanie, w kuchni ciasno i gorąco. Sobótki uwijają się przy piecu. Przyniosły na obiad bitki, teraz obierają jeszcze kartofle i dorabiają surówkę z marchewki, dzięki temu częściowo zagłuszają ciszę, obcość i poczucie winy między mną a moją matką. Po chwili zauważam, że przyszły tylko dwie.

– A gdzie jest ciocia Bożena? – pytam, a one sztywnieją, jakbym podała schabowego na żydowskim weselu.

– Bożena miała dzisiaj jakieś swoje zajęcia – odpowiada ciocia Agnieszka.

– I tak nam tu ciasno, nawet bez niej – łagodzi ciocia Danka.

– To może ja też wyjdę?

– Ale przecież nie miałam tego na myśli. – Danuśka blednie i czerwienieje. – Andżelika, co ty!

Pamiętam, jak je podziwiałam, kiedy byłam mała. Trochę się ich bałam, czasem wydawały mi się rozległym organizmem z czterema głowami, czterema parami rąk i nóg, jednym z takich potworów, o których czytałam w mitach greckich podsuwanych przez nauczycielkę, co to odetniesz głowę, a zaraz wyrasta następna. Łaziłam za nimi i drętwiałam, gdy (z rzadka) zwróciły na mnie uwagę. Teraz widzę je w całej okazałości: są zwykłymi, mało obytymi w świecie kobietami w średnim wieku.

– Zagrasz z nami w karty? Zanim kartofle dojdą? – proponuje pojednawczo ciocia Agnieszka.

– Następnym razem. Mam jeszcze coś do załatwienia. – Z uroczym uśmiechem znikam z kuchni.

Na dworze już ciemno, co oznacza, że zostały mi trzy dni w Świątkowicach. Patrzę na zegarek. Nie, niestety, ciągle trzy i pół, bo dopiero piętnasta trzydzieści sześć. Wkładam koszulkę, majtki i skarpetki mojego brata. Na to mój sweter i jego dżinsy, trochę ze mnie zjeżdżają, ale od czego są paski. Teraz czuję się nieco bliżej niego.

I jeszcze płaszcz. Niuśka od razu doskakuje, pewna, że idziemy na spacer. No nie, kochana, zostajesz w domu. Nigdy w nikim, a zwłaszcza w moim psie, nie budzę fałszywych nadziei. Jej pysk od razu przestaje się śmiać, zwiesza łeb, zwiesza ogon, wlecze się do kąta, gdzie pada zrezygnowana na chodniczek z gałganów.

Plan na dziś: chcę poznać nową rodzinę Sebastiana. Mojego brata, który stał się dorosły daleko ode mnie. Który nie odzywał się do mnie przez dziesięć lat. Który zdążył beze mnie dojrzeć, wyprowadzić się z domu, ożenić, spłodzić potomka i chwilę z nim pomieszkać, zanim umarł. Wsiadam na rower. Chyba wypada coś zawieźć dziecku? To przecież mój bratanek. Pierwszy i ostatni.

Salonik prasowy właśnie opuszcza żaluzje, ale jeszcze zdołałam moim nieodpartym wdziękiem przekonać dziewczynę, która tam sprzedaje (kurde, chyba ją znam ze szkoły, pewnie była ze trzy czy cztery klasy niżej), żeby mi sprzedała gumowe zielone obrzydlistwo, które robi „piii”, podpisane na metce jako „Zajączek niemowlęcy. Made in ChRL”.

Mrok w Świątkowicach jest lepki i ograniczający, latarnie

rozstawione rzadko, ale przecież dojadę, nie takie odległości pokonywało się w Warszawie. Wystarczy, że będę trzymać się szosy, a za kościołem skręcę w lewo. Tam już tylko jedenaście kilometrów prosto i już będę na Grabówku, gdzie na pewno każdy mi powie, w którym domu mieszkał ten młody Sebastian Julków, co umarł.

I wreszcie dotarłam, zziajana i rozgrzana po tych kilometrach na rowerze. Drzwi otwiera mi teściowa Sebastiana i chyba nie cieszy się szczególnie na mój widok, ale cofa się w progu, pozwalając mi wejść do domu. W środku pachnie duchotą, mlekiem i czymś nieokreślonym, co może być właśnie zapachem dziecka. Mały leży w łóżeczku i wielkimi oczyskami gapi się na sufit. Nie widzę w nim żadnego podobieństwa do mojego brata, poza tym że jak on ma oczy, nos i usta, co jednak można powiedzieć o większości ludzi, ale przecież nigdy nie byłam specjalistką od szukania podobieństw. Żona mojego brata zaraz znika w kuchni, coś tam szykuje, choć prosiłam tylko o herbatę (jeszcze pamiętam, że na wsi niegrzecznie jest odmówić poczęstunku, skoro już się usiadło na czyjejs kanapie). W końcu dziewczyna pojawia się ponownie, z półmiskiem drożdżowego, talerzykami, cukiernicą i dwiema szklankami herbaty na tacy. Widzę, że tutaj, tak jak w Świątkowicach, nadal żywa jest zasada: „Miej zawsze jakieś ciasto w domu”.

– Chciałam tylko spytać, jak wam się żyło. Jak się miewał mój brat... – tłumaczę.

Nie zdejmuję czapki, bo tyle już zdążyłam zrozumieć: dredy zdominują rozmowę. Więc się gotuję w czapce, policzki płoną, strużka potu wędruje po plecach. Tak źle i tak niedobrze.

– Dobrze się miewał, a jak się miał miewać, a z tętniakiem pewnie się urodził, tak przecież mówi lekarz. – Dziewczyna jest strasznie najeżona. – Mógł umrzeć w każdej chwili, u was w domu też. W pracy. Tak powiedział lekarz. Zresztą przecież twoja matka nalegała na sekcję, i tak by zrobili, bo umarł w domu, mają przysłać wyniki, dowiecie się na pewno...

– W domu? Umarł w domu?

Jej twarz robi się jeszcze bardziej obca.

– Matka ci nie powiedziała?

Milczę.

– Powiedział: położę się po obiedzie. Nie budziłam go, bo gdy to robiłam, denerwował się na mnie. Ale po południu nigdy nie spał tak długo. Wieczór już się zrobił. No i tak koło dwudziestej pierwszej poszłam do niego, nachyliłam się, a on już prawie zimny, nie oddycha. Potrząsam, sprawdzam, a Sebastian nic, tylko ręka tak mu spada z kanapy. Nie wierzyłam, przecież on miał dwadzieścia trzy lata! No i w szpitalu powiedzieli, że tętniak mu pękł. Żyłka w środku. Był człowiek, nie ma człowieka. Musiał go mieć od zawsze, tego tętniaka. Miał go od zawsze. Mógł umrzeć u was na kanapie. Ale umarł u nas i dlatego twoja matka wygaduje takie okropności, jakby i bez tego nie było nam trudno.

Klepię ją po plecach, mówię, że wszystkim nam trudno i niech wybaczy mojej mamie, mądrzę się, jakbym sama umiała wybacząć.

– A ja przecież o nic cię nie oskarżam. Ja tylko... Nie widziałam Sebastiana strasznie długo. Ja... Ja tylko chciałabym wiedzieć, jak wam się razem żyło. No, tak normalnie, na co dzień.

Staram się uśmiechnąć krzepiąco, ale nigdy nie byłam mistrzynią krzepiących uśmiechów.

– Wiedziałybyś, że miał się u nas dobrze, gdybyś chociaż raz do nas przyjechała. A ty nic. Nawet jak się Gabryś urodził. Nawet na Wigilię czy na święta. Ani na chrzest małego. Przykro nam było. Ale Sebastian mówił, że jesteś zajęta. Że robisz karierę.

Obrzuca powątpiewającym spojrzeniem i mój strój, i moją wypchaną dredami czapę. Tak, kochanie, rzeczywiście nie wyglądam, jakbym zrobiła karierę w korporacji. Robię karierę, sprzątając w korporacjach.

– Przecież chciałam jechać z nim do ciebie do Warszawy z zaproszeniem na ślub, żeby to zrobić jak należy. Ale Sebastian mówił, że nie powinnam jeździć, bo przecież się źle czuję. – Rumieni się. – No bo wiesz...

Domyślałam się. Pewnie była w ciąży, jak co druga panna młoda w tych stronach.

– Mówił, że sam ci zawiezie zaproszenie. Mówił, że zawióźl.

I mówił, że nie mogłaś przyjechać na ślub, bo złamałaś nogę.

Nie komentuję tej złamanej nogi, nie ma sensu.

– Cóż. Nie przywiózł mi żadnego zaproszenia. Nie było go u mnie ani razu. Nie zadzwonił nawet, że się pobieracie.

– Ale jak to?

Usiłuję sobie przypomnieć imię mojej bratowej, ale mam lukę w pamięci.

– Ja też tego nie rozumiem, uwierz mi. Sebastian nie odzywał się do mnie. Ani razu. Nigdy nie zadzwonił. Nigdy nie odpowiadał na moje telefony. Potem zmienił numer. I adres mejlowy. Wszystkie mejle mi odbijało.

Moja bratowa... Była bratowa. Nie, nie wiem, jak nazwać naszą obecną relację. Ale jakie to ma znaczenie, skoro ona teraz patrzy na mnie oskarżycielsko. Albo jakoś. W każdym razie w milczeniu.

– Nie rozumiem. Do własnej siostry się nie odzywać? Na ślub cię nie zaprosić? Co mu takiego zrobiłaś?

– Nie wiem, o co mu poszło. Dobijałam się do niego, ale milczał. A ja tak za nim tęskniłam.

No dobrze, muszę wytrzeć oczy. Ona też. Łzy nieoczekiwanie pomagają w przełamaniu lodów między nami. Jedno nas łączy: brakuje nam Sebastiana.

– Opowiesz mi, jak się poznaliście?

Na zabawie. Zaraz zaczęli się umawiać. Wielka miłość. Szybka ciąża. Przyspieszony ślub. Ale przecież i tak by się pobrali. Sebastian chciał się jak najszybciej wyprowadzić z domu. Nalegał, żeby się przenieść do żony jeszcze przed ślubem. Tak ją kochał.

Dziecko ciamka gumowego zająca, którego ode mnie dostało, może powinno się tę gumę przedtem wyparzyć, ale co ja tam wiem o dzieciach. I o gumie.

– Siedzisz w czapce, bo zmarzłaś, prawda? To dlatego, że rowerem tu przyjechałaś, na ten mróz.

– Lepiej że mróz, bo przynajmniej nie grzęznę w błocie. W Warszawie jeżdżę rowerem przez cały rok.

– A tutaj mamy samochody. – Duma w jej głosie, jakby to ona wynalazła silnik spalinowy. Tak, wchodząc, zauważyłam, że na

podwórku stoją aż trzy auta. Trzy?

– Czy jednym z nich jeździł mój brat?

Dziewczyna przygląda mi się i nagle w jej oczach widzę błysk zrozumienia.

– A więc po to tu przysłałaś? Zabrać do was jego samochód?

Robi mi się przykro.

– Nie. Przysłałam tu zobaczyć, jak się miewasz. Ucałować bratanka. Pogadać o Sebastianie. Ale chętnie przejrzałabym rzeczy mojego brata. I zajrzała do samochodu. Pozwolisz mi?

Moja bratowa myśli przez chwilę, a potem dziecko zaczyna płakać. Przytula je, podnosi bluzkę, podaje pierś.

– Rzeczy mojego męża są w komóдке. A kluczyki do samochodu na komóдке – rzuca tylko.

Więc idę do komóдки. Jak odczytać człowieka z jego podkoszulków? Spodni niestarannie złożonych w szufladzie? Kurtka pachnie dezodorantem. Sebastian musiał być ostatnio dużym facetem, koszule mają rozmiar XL, czterdzieści dwa w kołnierzyku. Cóż, dziwne byłoby, gdyby nie urósł od czasu, gdy miał trzynaście lat. W łóżku dwie poduszki, jego pewnie była ta z lewej, bo na szafce nocnej obok nie stoi krem nawilżający Ziaja. Wspólna kołdra, ciekawe, czy moja bratowa zmieniła pościel po śmierci męża. W samej szafce pusto. Na komodzie kluczyki do samochodu. Volkswagen, mój brat zawsze wierzył w niemieckie auta. Zbiegam po cementowych schodkach na dół, na podwórko. Odrapany volkswagen stoi najbliżej stodoły. W środku lekki syf, piach, okruchy, torebki po chipsach, w kieszeni przy siedzeniu kierowcy zapałki. Palił? Nie widzę papierosów. Rękawiczki skórzane do prowadzenia samochodu. Natomiast brak śladów, że miał żonę czy dziecko. Wyglądam przez okno. No tak, dziecięcy fotelik zamontowano w innym aucie, jakimś japończyku. Dziwne. Smutne. Znowu muszę wytrzeć oczy. Przetrzęsłam schowek w poszukiwaniu chusteczek do nosa. Znajduję reklamówkę z TopMarketu, w środku coś grzechocze. Zaglądam. Znicze cementarne w kolorze czerwonym ze złotymi nakrywkami. Po co mój brat woził znicze w samochodzie?

Pukanie w szybę. Bratowa stoi obok auta z dzieckiem na

biodrze. Przykryła małego kocem, na głowę włożyła mu czapkę.

– Znalazłaś, co chciałaś?

A co chciałam?

– Do kogo jeździł na cmentarz?

– Sebastian? – dziwi się. – Normalnie chyba. Do dziadków czy jak? Ze mną nie jeździł. Na Wszystkich Świętych leżałam w szpitalu na patologii – przypomina sobie – to nie wiem.

– Te znicze woził od Wszystkich Świętych?

– A skąd mam wiedzieć? Ja mu w samochodzie nigdy nie grzebałam.

Wychodzę, dopiero wtedy widzę, że w rękę ściskam zapalki.

– Palił?

– W sensie że co?

Grilla, kurde.

– Papierosy.

– E, nie – zaprzecza bratowa. – Nie lubił. I mnie nie pozwalał. No, ale w ciąży, sama rozumiesz... Chociaż w szpitalu, na patologii ciąży, wszystkie popalały. Ale ja nie, nie myśl sobie. Szkoda dzieciaka.

– Rozumiem. Dziękuję. Pójdę już. Gdybyś potrzebowała jakiejś pomocy... Czegokolwiek...

Stoję przed nią, chuda, w złachanym płaszczu, w męskich, za dużych ciuchach, w czapce z taniej odzieży, obok rower, a naprzeciwko ona, rozłożysta, ciepła, ciepło odziana, z ciepłym tłustym dzieckiem na biodrze. Nie wygląda, żebym mogła jej w czymkolwiek pomóc. Musi przejść sama przez swoją żalobę, da radę, wygląda na silną osobę, nawet gdy tak trzepocze tymi dziwnymi rzęsami. Jeszcze się otrzepie, ma dopiero...

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia osiem – odpowiada.

O pięć lat starsza od mojego brata, jak ja. Tutaj to całkiem dużo jak na ślub i pierwsze dziecko, zdaję sobie z tego sprawę. Pod tym względem Świątkowice wyglądają, jakby ciągle tkwiły w wiktoriańskim romansie. W sumie nie tylko pod tym względem.

– Podobna jesteś do niego – dodaje jeszcze, rękawem ociera

oczy, buja dzieciaka na biodrze, co ona ma z tym bujaniem, w szkole młody będzie musiał siedzieć na huśtawce, bo inaczej nigdy się nie skupi. – Masz podobny ton głosu. Miny.

Wzdycha ciężko i kołysze dzieciaka jeszcze mocniej.

Pewnie powinnam ją uściskać albo co, nie nawykłam jednak do tak intymnych kontaktów, więc tylko klepię ją w plecy, głaszczę małego po policzku, dziękuję, że mogłyśmy się spotkać i wskakuję na rower. Zimno jak cholera, wieje w twarz, czuję, że zamarzają mi policzki, że mam oblodzone wnętrze nosa. Na poboczu też lód, ciężko się jedzie, chwilami muszę zsiadać z roweru. Rozgrzewam się dopiero po jakichś dwóch kilometrach. Ani tu zostać, bo ciemno i zimno, ani wracać, bo w domu obco. Jestem dziewczyną znikąd.

W domu może i obco, ale na szczęście całkiem ciepło. Niuśka szaleje na mój widok, znowu minęła dla niej wieczność. Wypuszczam ją na podwórko, niech się wysika. Sobótek już nie ma. Matka leży u siebie, patrzy w sufit. Chyba będzie musiała zacząć jakoś ćwiczyć, bo jeszcze kręgosłup się posypie i mięśnie zanikną, zupełnie się na tym nie znam, chociaż sprzątam w siłowni. Pewnie powinnam przywieźć tu rehabilitanta. Życie było dużo łatwiejsze, gdy przez dziesięć lat musiałam martwić się tylko o siebie i o Niuškę.

– Głodna jesteś? – pytam.

– Coś ciepłego bym wypija.

W kuchni zastaję zimny rosół w garnku, jeszcze po Sobótkach. Nie wierzą, i słusznie, w moje umiejętności kulinarne. Podgrzewam sobie zupe, matce robię herbatę z dużą ilością miodu i cytryną. Siorbie i dziękuję, że pyszna.

Przez okno widzę tego małego chłopca, znowu stoi przy płocie Bożków. Czy to dziecko nigdy nie czuje zimna? Wsuwam stopy w płytkie kalosze matki, zarzucam na siebie płaszcz i biegnę do niego.

– A rosółu byś zjadł? – pytam. – Ciepły, dobry, rozgrzejesz się.

– Z kury czy z kaczki?

Smakosz, kurde.

– Z kury.

– Mogę zjeść.

I wchodzi za mną do kuchni. Matka posapuje zdziwiona z sypialni.

Młody siorbie rosół, aż mu katar z nosa leci. Podsuwam chusteczki. Bierze grzecznie jedną, chowa do kieszeni spodni, po czym wyciera nos w rękaw. A niech tam, jego bluza.

– Zmarzłeś trochę – zagajam.

– Eee tam – odpowiada elegancko.

– Herbaty się napijesz?

– Czy to Marek Bożków?! – woła z sypialni matka.

– To ja – odpowiada poważnie dzieciak.

– To pamiętaj, że jeszcze mamy te kolorowe ciasta w lodówce. Niech zje.

– Niech zje – powtarzam i odkrawam trzy plasterki, nakładam młodemu, sama ułamuję kawałek i zjadam na stojąco, jak to zawsze robię w Warszawie. Nie ma się co w życiu rozsiadać, zawsze może się okazać, że trzeba będzie zaraz wiać. Młody wciąga ciasto aż miło.

– A co ci się stało z włosami? – Ma pełną buzię, więc czerwone i zielone okruchy sypią się dookoła. – Bo babcia mówi, że tak się robi ludziom z brudu.

– Powąchaj. – Podsuwam mu głowę pod nos, uważając jednak na okruchy. – Pachnie brudem?

– Szamponem.

– To ma babcia rację?

– Mogło ci się zrobić z brudu, a potem umyłaś.

– Koleżanka mi zrobiła taką fryzurę. Podoba mi się – tłumaczę, a on przekrzywia głowę jak Niuśka, gdy coś bardzo chce zrozumieć, ale jej nie wychodzi.

Kolejny kawałek ciasta znika w łapczywej buzi.

– Pani Sylwia już nigdy nie będzie normalnie chodzić?

– Będzie – warczę.

– Nie krzycz na dziecko – denerwuje się mama z sypialni. – Weź mnie tam do niego.

– A teraz mi pomożesz, chłopcze – zarządzam.

I zaczyna się. Rozbiegany pies pod nogami, drżąca kula

inwalidzka pod drżącym przedramieniem, pod drugim niska, ale silna dziewczyna i dzieciak, który niezbyt umie się w tym wszystkim odnaleźć. Jednak matce udaje się przebyć te pięć metrów i usiąść przy stole w kuchni.

Każe mi wyjąć karty z kredensu, tasuje.

– Zagrasz?

Kręcę tylko głową, ale siadam niedaleko i patrzę, jak grają z młodym Bożkiem w wojnę.

– Zrób mu kanapki – prosi matka. Młody wsuwa, zupełnie jakby nie pochłonał przed chwilą mnóstwa ciasta, po czym tłustymi palcami robi na kartach pieczętki. Podaję mu chusteczkę, patrzy na nią zadziwiony, chowa do kieszeni, a dłonie wyciera w spodnie.

– Kolekcjonujesz te chusteczki? – pytam.

– Co?

A potem matka zaczyna ziewać, ja w sumie też, jednak tutaj, mimo wiszącego w powietrzu zapachu palonych pampersów, ciągle jest więcej tlenu niż w Warszawie.

– Odprowadzę cię, stary, do drzwi.

Młody Bożek momentalnie się usztywnia, ale wzuwa buty i posłusznie opuszcza nasze progi.

Jeszcze wysiusiać, wymyć, obsłużyć matki ciało. Pomagamy sobie, współpracujemy, dotykam jej skóry, wszystko w milczeniu. Pomagam matce przejść z fotela w kuchni do łóżka w sypialni. Pomagam zdjąć podomkę, przykrywam matkę kołdrą. Od razu opuszcza powieki, wzdycha. Udaje, że zasypia, a ja udaję, że nie chcę stąd uciec.

Stoję pod prysznicem dłuższą chwilę, ale nie za długo, bo przecież wszyscy wiedzą: na wsi długością kąpeli i mnóstwem innych czynności domowych rządzi przede wszystkim pojemność szamba. Przez ten pośpiech nie jestem pewna, czy dokładnie spłukałam szampon. Moja matka kupuje ten sam co zawsze, pokrzywowy do włosów tłustych, pachnie dzieciństwem. Nie miałam pojęcia, że jeszcze go produkują.

Zamykam się w pokoju Sebastiana. Ziewam, zaraz zasnę na stojąco. Niuśka układa się na dywaniku, ja opadam na wersalkę,

przykrywam babcinym kilimkiem, poduszka pod głową. I nagle serce przyspiesza i brzuch się ściska: strach. Zupełnie irracjonalny, przecież jesteśmy z matką same.

Siadam więc, gapię się w okno.

Wstaję. Parę kroków w prawo. Zatrzymuję się pod drzwiami mojego pokoju. Nie wchodziłam do niego od dziesięciu lat.

Teraz też nie wejdę.

Naciskam klamkę.

Jak bardzo nic się tu nie zmieniło. Ze ściany nadal patrzy Pink z postrzępionymi różowymi włosami i oczami obramowanymi czarną kredką. Na regale, robił go mąż cioci Agnieszki, stoją rzędem maskotki, które dostałam na osiemnastkę. Łóżko porządnie nakryte kapą z misia, tak jak je zostawiłam, gdy wychodziłam stąd po raz ostatni. Otwieram szufladę komody, wydaję kilka par czystych majtek, koszulkę, skarpetki. Cały czas tu na mnie czekały. Nie, wcale nie będę płakać, ale nie chcę tu być, uciekam, zamykam drzwi i dopiero w nie kopię, kopię tyle razy, że aż mnie boli. Uzyskuję tyle, że stopa pulsuje bólem, a farba olejna na deskach pęka, rosną szramy na bieli.

MARECZEK

Imiona powinny być pisane kolorami. Mówię to mamusi. A ona, że tak, tak. Jedno tak znaczy, że się zgadza. Dwa tak znaczy, że się nie zgadza. Albo że nie słucha. Mamusia zresztą mówi, że nie widzi kolorów imion. Mówi, że nikt nie widzi kolorów imion, tylko ja. Widzenie kolorów imion jest dziwne i nie opowiadaj o tym nikomu, prosi mamusia. Babcia też nie ma zamiaru o tym słuchać, prosi, żebym z tatusiem nawet nie zaczynał rozmowy o kolorach. Niepotrzebnie prosi. Przecież wiem.

Piotrek to mój tata. To imię jest czerwone i głośne jak samochód ochotniczej straży pożarnej. I jak on oznacza, że gdzieś niedaleko dzieje się coś złego. I że w domu też nie jest bezpiecznie. Kolory imion mówią prawdę. Halina, moja babcia, ma imię jak różowa kołdra, którą zawsze chowa się w poszwie,

żeby się nie pobrudziła. Lubię tę kołdrę. Zawsze zasypiam z rękami wsuniętymi do środka poszwy, żeby dotykać śliskiego materiału.

Mamusia wraca z pracy pod wieczór. W torbie niesie okrawki w papierze pachnącym wędliną. Lubię wędliny. Ręce mamusi nimi pachną. Pachnie nimi moje śniadanie i kolacja. I obiad, jeśli babcia doda wędzonki do zupy albo do ziemniaków. Moja mamusia, Agata. To imię ma fioletowy kolor, jak kanapa w naszym dużym pokoju, ta schowana pod kocem w paski. Agata, powtarzam sobie. Agata. Mareczek. Marek. Czyli ja. To imię jest granatowe, prawie czarne. Nazwisko Bożek jest brązowe, trochę spłowiałe, jak krzyż na rozstajach. Marek Bożek jest jak stukanie granatowego pociągu nad drewnianymi podkładami kolejowymi. Ma-rek-bo-żek, Ma-rek-bo-żek – powtarzam sobie, kiedy pani czyta moje nazwisko w szkole. Powtarzam tylko w głowie, przecież nie jestem głupi, żeby mamrotać coś pod nosem. Od razu bym został klasową ofiarą.

Dziewczyna, która przyjechała do pani Sylwii, jest dziwna. Jej córka. Nie wiedziałem, że pani Sylwia ma córkę, wiedziałem tylko o synu. „Marnotrawna” to słowo jak w kościele. „Dziwna” to słowo, które może znaczyć coś złego albo coś dobrego. Co do niej – jeszcze nie wiem. Dziwna, bo inna od innych. Andżelika – to imię jest różowe jak owocowa guma do żucia. Aniela – to imię jest białe z czarnymi plamami, jak śnieg na ścieżce w lesie. Nikt nie powinien mieć dwóch imion. Nigdy nie znałem nikogo, kto by miał dwa na zmianę. Ona ma, i to takie zupełnie różne. To dziwne. Jak jej włosy, które wyglądają na brudne, chociaż są czyste. Jak ciasta, które mi dała do jedzenia, w kolorach, których ciasta nie mają, zielone i czerwone. Jak jej twarz, raz miła, raz niemiła. Jak jej dom, który nie jest mój, a czasem mi tam przyjemniej niż w naszym.

Mój plan na jutro: nie myśleć o tym, co będzie pojutrze. Jutro to wystarczająco duży kłopot.

Ma-rek-bo-żek, myślę. Ma-rek-bo-żek. I już śpię.

ANIELA

Kiedy się budzę, znowu nie pamiętam, gdzie jestem. Taka chwila wolności, która, niestety, szybko mija, bo zaraz zaczynam sobie przypominać, co oznacza obecność sufitu z pomalowanych desek nad głową. Farba spękała i pożółkła, odpada łuskami, dwie znajduję nawet przy twarzy, na poduszce. To jeszcze mój ojciec obijał sufit deskami, to on je malował, uświadamiam sobie. Jeszcze trzy dni spędzę pod tym sufitem, może nawet dwa i pół, jeśli w niedzielę nie będę zwlekać z wyjazdem do wieczora.

Na zegarze ósma trzydzieści, plecy mnie bołą, usnęłam pewnie na siedząco, potem osunęłam się do leżenia, w jakiejś idiotycznej pozycji. I nagle słyszę pukanie i ostrzegawcze szczekanie Niuśki, która skacze na drzwi pokoju, ujadając: „Obcy przyszedł! Obcy!”.

Podrywam się z łóżka, biegnę do okna. Nikogo nie widzę.

Zaraz jednak ktoś się wtacza do domu, wali drzwiami w ścianę. Drętwieję. Naprawdę zapomniałam zamknąć na noc?! Podrywam się, biegnę do sieni, skąd dochodzą hałasy. Niuśka obskakuje drobną postać przy drzwiach.

– Drew przyniosłem – oznajmia młody Bożek. Nabrał tyle polan do płachty, że aż się zatacza. Zrzuca wszystko z hukiem na podłogę, po czym zaraz dokłada do pieca.

Dziękuję mu, w sumie dobrze zrobił, szkoda tylko, że tak wcześniej.

Wcześniej, kurde. W Warszawie o tej porze już kończyłam sprzątać siłownię.

– A ty do szkoły nie chodzisz?

– Ferie.

Ziewam, zalewam sobie kawę, a Niuśka szaleje.

– Buda! – krzyczy grubym głosem młody Bożek. Patrzy na mnie i zaraz się poprawia: – Nie buda, ale cicho!

Niuśka jednak nie ma zamiaru być cicho, poszczekując, kursuje od drzwi do moich nóg, i od moich nóg do drzwi, żebyśmy wreszcie zrozumią: pies musi wyjść.

– Dobra, kochana, idziemy na spacer.

Niuśka nie posiada się z radości, skacze mi na uda i oblizuje

twarz, od lewej do prawej. Czuję jej psi zapaszek i mnie też na chwilę robi się miło.

– Spacer? Na to zimno? – Bożek zdobywa się na szczerość. – W życiu nie pójdę.

Już zapomniał, jak wczoraj kiwał się na mrozie przy płocie.

– Pies musi się wybiegać.

– Chyba twój. Nasz siedzi w budzie – komentuje młody.

Niuśka nie pozwala mi wdawać się w dyskusję, choć nawet miałabym na to ochotę.

– Wrócimy za jakieś pół godziny, mądralo.

Wchodzimy do lasu, gdzie drogi nawet jako tako wydeptane. Wyjeżdżone. Suniemy sobie, to znaczy ja sunę, Niuśka fruwa nad bielą, na mój jeden kilometr ona robi dwadzieścia, i to zdecydowanie szybciej, wypłasza z lasu chmarę saren i wydaje się dużo szczęśliwsza niż w Warszawie. Nie do końca poznaję, dokąd doszłam, bo jedne drzewa urosły, inne zostały wycięte, ale z grubsza się orientuję. Tu zbieraliśmy z Sobótkami kurki, całe stada ich rosły we mchu. Tu ktoś wyrwał dziurę w siatce otaczającej były PGR-owski sad, włąziliśmy tędy kraść jabłka. Nic wielkiego, zaledwie kilka, dla smaku, gdy akurat jagody i jeżyny nie obrodziły. Ale teraz ktoś ogrodził sad nową siatką, dużo wyższą. Tu... Tu kolejna polanka, której nie rozpoznaję, jakieś górki, wykroty, wszystko pokryte grubą warstwą śniegu. Stosy ściętych pniaków, poukładane przy drodze, pachną żywicą. Umarłe drzewa pachną zdecydowanie lepiej niż umarli ludzie, a jak pachną umarli, wiem aż za dobrze, bo kiedyś przez trzy dni sprzątałam w szpitalu na anatomopatologii, co do dziś czasem mi się śni.

Mijamy nieżywe drzewa, idziemy dalej, tak, tą drogą chodziliśmy z wychowawczynią, panią Stańską, oglądać polanę z okopami z drugiej wojny światowej. Ta polana jest chyba tutaj, okopy wydają mi się płytsze niż kiedyś, choć pod tym śniegiem niewiele widać, ścięte drzewa też znacznie zmieniły krajobraz. Na polance biało i fałdziście, widać tylko mocny czerwony akcent. Jakiś śmieć. Nie, wazon. Wazon? Podchodzę, brodę w śniegu, zapadam się w dołki, ślizgam na górkach. To żaden

wazon, to znicz. Knot wypalony do końca, parafiny już nie ma, ale przecież widać krzyżyk z przodu, czerwony plastik, złotą nakrywkę. Wygląda dokładnie tak samo jak jeden z tych, które znalazłam w samochodzie mojego brata. Pewnie w sklepie kosmetyczno-przemysłowym Roksana innych nie ma. Podnoszę znicz. Śnieg dookoła wytopiony. Takich okrągłych wytopionych studzienek jest tu trochę więcej, ale innych zniczy nie widzę. Widzę natomiast ślady – moje, psa, saren, jakichś śniegowców, jednych, drugich. I nikogo, tylko zapach żywicy, znicz i my dwie, moja suka i ja.

Gwiżdżę na Niuśkę i wracamy, czas nakarmić matkę.

W domu ruch. Młody krząta się przy kuchni, kroi chleb, całkiem nawet umiejętnie, choć łapy ma czarne po noszeniu drewna, więc wysyłam go do łazienki. Gdy wraca, widzę, że czerń zmieniła się w szarość, ale już daję mu spokój, bo aż rwie się do pracy. Odrobina brudu nikomu nie zaszkodzi, sprzątaczkę wiedzą to najlepiej. Mareczek zabiera się do krojenia kiełbasy na plasterki, po kuchni rozchodzi się silny aromat czosnku i wędzonki. Sama odłamuję kawałek, wsadzam do ust. Tak, smakuje dzieciństwem, w Warszawie takich nie dostaniesz. A my zawsze mieliśmy w domu wędlin pod dostatkiem, tych najlepszych.

No tak, dziwne gdybyśmy nie mieli, skoro ojciec pracował jako masarz.

W Warszawie prawie nie jadałam wędlin, bo za bardzo przypominały mi dom rodzinny. A kiedy mieszkałam w squacie, do reszty się odzwyczaiłam od mięsa, tam wsuwaliśmy głównie ziemniaki, marchew i cebulę, które ktoś wypraszał na bazarku pod koniec dnia. Ja nie, wstydziłam się żebrać. To nie żebranina, to recykling, tłumaczyła moja najlepsza kumpela stamtąd, Ilona, a ja wtedy znowu czułam, że zupełnie do tego wszystkiego nie pasuję. Pobiedowałam z nimi w opustoszałej kamienicy przez parę tygodni i w końcu, jak zawsze, wróciłam do mieszkania z Karoliną.

Wypluwam kiełbasę w garść, zaraz zgłasza się po nią Niuśka, nawet mi potem dłoń wylizuje.

Zanosimy kanapki i herbatę mojej matce, która odkłada

krzyżówkę i uśmiecha się do nas, choć głównie do młodego. To dzięki niemu cisza między nami nie wydaje się aż tak dotkliwa.

– Zostań, ile chcesz – mówi matka do Bożka. – A ty – teraz do mnie – powiedz u nich w domu, że wzięłaś go do pomocy. – I dodaje ciszej: – Bo inaczej dostanie w skórę, kiedy wróci.

Zostawiam więc młodego z saganem kartofli do obrania, a sama idę do sąsiadów. Jak dawno tu nie byłam. Pani domu, Halina, nie należała do Sobótek, nigdy nie chodziła z naszymi matkami kąpać się w sobotę, nigdy też nie polegiwała z nami nad rzeką w niedzielę. Kręciła się po domu, po obejściu, skulona, prawie niewidzialna, z warzywnika do sławojki, ze sławojki do letniej kuchni, z letniej kuchni do kurnika. Miała mnóstwo dzieci, które chodziły ze mną do szkoły, a potem też przemykały, i w szkole, i po szkole niemal niewidzialne. Piotrek, przypominam sobie, tak, był tam Piotrek, najstarszy, jego pamiętam najlepiej, był ze dwie klasy wyżej. A potem jakaś większa grupka ciemnowłosych, szarookich, rumianych maluchów. Marcin, Paweł, Dorotka, Małgosia, Lucynka, Joasia. Tak, chyba wymieniłam wszystkich. Czyim dzieckiem jest młody?

Widzę panią Halinę przemykającą do szopki, podbiegam do niej.

– Mareczek jest u nas, mamusia go wzięła do pomocy. – Tak się na wsi mówi: mamusia, dziadziuś, dobrze, że przypomniałam sobie w ostatniej chwili.

– Niech siedzi u was – wzdycha kobieta. – Bo znowu... – Milknie, przygląda mi się bacznie. – A ty co, do matki wreszcie przyjechałaś? Dobrze, tyle lat kobieta samotnie się borykała z życiem, tyle nieszczęść, tyle nieszczęść. – Znowu wzdycha, jakby cudze nieszczęścia dodawały jej sił. I wylicza z mocą: – Mąż ją opuścił. Córka zostawiła, znaczy ty. Syn młodo umarł. Sama została i jeszcze nogę złamała, no biedna, biedna, dobrze, że przynajmniej ty wróciłaś, chociaż w mieście podobno dobrze ci się dzieje.

Przekrzywia głowę jak jej wnuk i patrzy na moje ciuchy.

Męski ryk z domu, że z kim matka rozmawia.

– A z sąsiadką.

– Znowu tam gnój poszedł? Dawać mi go natychmiast!

– To pan Jacek? – pytam, bo wrzask porusza nieokreśloną strunę pamięci.

– Jaki Jacek. Mój Jacek świętej pamięci zmarł siedem lat temu. Umarł mi mąż, niech mu ziemia lekką będzie. Na marskość. Męczył się, zżółkł, w końcu umarł. A to przecież Piotrek, nasz syn. Najstarszy. Pamiętasz Piotrka.

– Dawaj mi tego gnoja! – Piotrek wrzeszczy ze środka niemal identycznie jak jego ojciec lata temu.

– Mareczek to dobry dzieciak, tylko ciągle go nie ma, to się Piotrek denerwuje. Mój Piotrek przecież, chodziliście razem do szkoły.

– Niech mi Marek skoczy po papierosy, ferie ma, a się opierdala! – ryczy facet ze środka.

– Od tego chyba są ferie, żeby mały trochę odpoczął – zauważam.

– Pójdę synowi po te papierosy, daleko nie mam. Zaraz będą! – krzyczy w kierunku domu i wkłada kozaczki z futerkiem zamiast płtyknych kaloszy, w których poruszała się po podwórku, wymienia kufajkę na bordową kurtkę.

– Kiedy przysłać Mareczka do domu?

– A pod wieczór będzie dobrze? – upewnia się pani Halina.

Ja tam go zabawiać nie będę, ale matce jego obecność dobrze robi.

Młody Bożek siedzi przy piecu, struga pracowicie kolejny kartofel, przygryzając język z pilności.

– Powiedziałaś twoim, że jesteś u nas i że zostaniesz do wieczora.

– No dobrze. Wieczorem mamusia wróci. – Młody wyciąga nogi przed siebie, przeciąga się trochę.

Matka nawołuje słabym głosem, idę więc do niej.

– Załatwiłaś z Bożkami?

– Tak.

– On ma tam naprawdę nielekko, zawsze pozwalam mu tu posiedzieć.

Miło, że przynajmniej dla cudzych dzieci jest dobra. Powinnam ją za to bardziej lubić, tymczasem zaciskam zęby, bo mam ochotę

krzyczeć.

Zamiast tego ubieram się i wsiadam na rower. Jakoś się muszę przetrurlać przez pozostałe dni, może mi w tym pomoże Dawid. Uświadamiam sobie, że nie mam jego numeru telefonu, zajrzę więc do niego do domu, tyle razy tam wpadałam, gdy byliśmy mali. Dzieli nas osiem domów, czyli jakieś pięćset metrów, osiem bram i furtek, siedem lip, po jednej przy każdej bramie poza bramą u Bożków, gdzie raz pan Jacek złapał za siekierę i wysiepał pół drzewa, a drugie pół spokojnie sobie skonało na stojąco, a potem wszyscy tą lipą palili, bo pan Jacek, przy całym swoim gniewie buzującym w środku, bywał miły dla sąsiadów.

Zostawiam rower pod ich płotem, wchodzę na podwórko, po latach w Warszawie z trudem przypominam sobie te stare świątkowickie zwyczaje, gdy do nikogo się nie dzwoniło przed wizytą, tylko pukało do drzwi, zdejmowało buty w progu i śmiało waliło dalej w skarpetkach. Więc walę. Nad sagankiem z ziemniakami pochyła się ciocia Bożena. Czy ja już mówiłam, że Dawid jest jej synem? A on z kolei dzisiaj siedzi w sklepie, tłumaczy ciocia. To ten hydrauliczny, w którym kiedyś wiecznie za ladą siedział jej mąż. Do czasu, aż niespodziewanie dał nogę za granicę.

– A więc sklep wyszedł na swoje?

– Przecież nie sam – śmieje się ciocia Bożena. – Ale wyszedł. Udało się nam, mnie i Dawidowi. Wymieniamy się za ladą.

I teraz widzę czarno na białym, jak bardzo byłam zajęta sobą, skoro nie usłyszałam (a może nie spytałam?), że Dawid został w Świątkowicach, bo prowadzi sklep ze swoją matką. Ciocia Bożena rozkwitła, jest jeszcze większa niż kiedyś, mocarna, można powiedzieć, i duszę ma mocarną, uśmiech szeroki, plecy proste, generalnie roztacza dobrą aurę silnej kobiety.

Kiedyś było jednak inaczej, pamiętam, pamiętam aż za dobrze, bo wtedy wszystkie Sobótki się w to zaangażowały. Gdy mąż Bożeny dał nogę, ludzie starali się ją wspierać, kupowali wszystko, co potrzebne, właśnie u niej, nikt nie jeździł do Maciejowic czy do Garwolina. Niechby kto spróbował, zaraz szła do niego któraś z Sobótek, prosiła, tłumaczyła, żeby wspierać

swoich. Swoją.

– Dałam radę, choć praktycznie nie wychodziłam ze sklepu. A Dawid tak jakoś się przyuczył, że możemy działać na zmianę. Zrobił nam nawet stronę internetową, wyobrażasz sobie? Teraz interes gra i buczy. A ja czasem mogę zostać w domu.

Uśmiecha się do mnie, dwie bruzdy przy ustach pogłębiają się przy uśmiechu. Natomiast rzęsy ma ciągle takie czarne i długie jak niegdyś, smagłe policzki gładkie i błyszczące.

– Jak sobie dajesz radę? Z Sylwią?

Czyli z moją matką.

– Wpadnij, zobacz – zachęcam.

Uśmiecha się tylko.

– Wiesz co? Sobótki nam się trochę rozpadły przez te lata. Na przykład my z Sylwią już ze sobą nie rozmawiamy.

To dlatego tak się spieszyły, gdy o to pytałam? Faktycznie, uświadamiam sobie, że podczas pogrzebu tylko Danuśka i Agnieszka czuwały tuż obok matki, gotowe podtrzymać ją albo podać chusteczkę. Natomiast Bożenę dzieliło od nich parę metrów, stała przy mnie. Gdy matka się przewróciła, drgnęła, jakby chciała podbiec, pomóc, ale wyręczyły ją tamte dwie. Ten jeden raz, kiedy Bożena prosiła mnie, żebym została z matką, stała w progu, ale nie weszła do środka. Dziwne to wszystko, dziwne.

– O co wam poszło?

– Dużo by gadać. Wpadnij któregoś wieczoru na nalewkę, to ci opowiem.

– Kąpicie się jeszcze czasem razem?

– W lutym?

No tak, luty. Wtedy, dawno temu, nasze matki uprawiały te swoje sobótki od marca do października. W październikowe poranki wsadzałam palec do wody, myśląc, że nie dadzą rady wejść, ale dawały radę. Tyle że już włosów w rzece nie myły. Wyłącznie sflukiwały.

– Bywa. Latem – ciągnie ciocia Bożena. – Albo ja z dziewczynami, albo Sylwia z dziewczynami. We cztery to już nie.

A więc tak to teraz działa. Trzy albo trzy.

Smutno mi. Jej chyba też.

– Nigdy nie chciałaś znaleźć sobie kolejnego faceta, ciociu? Przecież nie uwierzę, że nie było chętnych.

– Facet? A myślisz, że to takie miody? I to teraz, kiedy wyszłam na swoje? Zresztą jak by to przyjął Dawid?

– Dawid nie ma piętnastu lat.

– A ja nie mam dwudziestu, żeby rzucać się na nieznane wody. Lepiej mi samej. Dużo lepiej niż znowu kogoś obsługiwać. Dopieszczać, żeby się nie pogniewał. Stawać na głowie, żeby się nie denerwował.

– To mówisz, że nie ma się co rzucać w związki?

– Nie wiem, może w mieście jest inaczej. U nas też może być inaczej, spójrz na Agnieszkę. Chwali sobie. Może to my byliśmy głupie. Ty jesteś mądra, wybierzesz dobrze. A ja też jestem już mądra i wolę być sama.

Dawid chyba również, na to wygląda.

Pedałuję do sklepu hydraulicznego obok stacji.

Pachnie tam jak zawsze, smarami i żelazem, ale narzędzia są bardziej kolorowe, ładniej opakowane niż kiedyś. Dawid wygląda jak chłopaczek, który udaje dorosłego za masywną ladą. Na mój widok odrzuca loki z czoła i pyta, czy kupię okazjnie syfon do zlewu kuchennego, są w promocji. Wreszcie mogę zdjąć czapkę, dredy rozsypują mi się po plecach, skóra oddycha.

– Sama je robiłaś?

– Koleżanka – odpowiadam. Ilona ze squatu. – Dredy są wygodne.

Dawid zaraz parzy mi herbatę na zapleczu, siadam obok niego za ladą, ale chyba nie pogadamy, bo nagle rozsypuje się worek z klientami. Każdy z wchodzących przygląda mi się z zainteresowaniem, zwracając szczególną uwagę na moje dredy, i dopytuje, jak się czuje mama.

– Za sześć tygodni będzie skakać jak nowa.

– Mama chwaliła się, że jakąś odpowiedzialną pracę tam wykonujesz, w tej Warszawie. – To się nie zmieniło, ciągle jest „ta Warszawa”, jakby była jeszcze jakaś tamta.

– Że świetnie ci płacą – mówi kolejna klientka, w której po chwili rozpoznaję moją wychowawczynię z podstawówki.

– Nie najgorzej – wymiguję się. – Naprawdę nie najgorzej, pani Stańska. – Uśmiecham się do niej. Cieszy się, że ją ciągle pamiętam.

A mnie dziwnie trochę, że matka się mną chwaliła. Szybko jednak zaczynam rozumieć. Cóż, przecież nie mogła ogłosić w Świątkowicach: Córka się do mnie nie odzywa, więc nie mam pojęcia, gdzie jest i co robi. Takie oświadczenie oznaczałoby tutaj śmierć cywilną.

– Zawsze wiedziałam, że wyjdiesz na ludzi – oznajmia pani Stańska.

Jakbym w liceum była mniej człowiekiem. Ale odpuszczam. Uwielbiałam moją wychowawczynię. Tolerowała wypracowania nie na temat, bo cieszyła się, że dużo tam wsadzam i własnych lektur, i przemyśleń. Akceptowała, że zamiast o *Dziadach* piszę o Gombrowiczu. Tylko przed maturą kazała mi się dostosować.

„Rozprawka to rozprawka, trzeba uszanować formę – tłumaczyła. – Powściągnij wyobraźnię. Powściągnij erudycję. Przejdiesz przez to i będziesz mogła o rozprawkach zapomnieć na zawsze”.

Rada „powściągnij wyobraźnię” przydawała mi się potem już zawsze. Gdy się sprząta w biurze, lepiej sobie nie wyobrażać, kto i co robił z sedesem, że wygląda jak wygląda. Nauka „powściągnij erudycję” pomagała w rozmowach z pracodawcami. Tak, wiele zawdzięczam pani Stańskiej.

„Wyobraź sobie, że jesteś kimś innym – tłumaczyła mi przed maturą. – Spokojną, ograniczoną dziewczyną, która chce wreszcie zdać maturę i mieć święty spokój. Która czytała tylko lektury i wykuła konstrukcję rozprawki na blachę. I z tą myślą pisz. Wtedy zdasz bardzo dobrze”.

Wpytyuję o uczniów, o szkołę, o reformę. Pani Stańska jest oszołomiona i zirytowana tempem zmian. Rozkrochmała się dopiero, gdy przychodzi jej mówić o uczniach.

– Z kilku osób naprawdę mogłabym być dumna.

Zawsze walczyliśmy, żeby uśmiechnęła się z takim ciepłem

właśnie do nas. Założę się, że teraz walczą o to inne dzieciaki.

– A ty gdzie się zaczęłaś w Warszawie? – ponawia pytanie.

Nie, nie powiem jej, że sprzątałam biura i siłownię, czekając, aż coś w moim życiu się zmieni, a nijak zmienić się nie chce.

– A w takiej gazecie.

To częściowo prawda. Anarchistyczne i feministyczne jednodniówki to też gazety. Napisałam tam parę tekstów. Ironizowałam sobie głównie na temat pracy sprzątaczkki, tyle że do tego ktoś z redakcji zawsze musiał dopisać trochę teorii, w której przynajmniej parę razy powtarzało się słowo „prekariat”, a ja znowu czułam się nie na miejscu.

– A w tej gazecie płacą chociaż przyzwoicie?

– Niespecjalnie. – Z czego niby mieli płacić w anarchistycznych jednodniówkach? – Więc muszę dorabiać. Ale ja żadnej pracy się nie boję. Sprzątam.

Pani Stańska klepie mnie krzepiąco po dłoni.

– Dasz sobie radę, zawsze o tym wiedziałam. I dobrze, że stąd wyjechałaś. Tu było dla ciebie za ciasno.

Uśmiechamy się do siebie. Zastanawiam się, czy to właśnie ona znała mnie najlepiej. Jak dobrze można poznać człowieka, czytając jego wypracowania? Podsuwając mu książki?

Pani Stańska całuje mnie w policzek i wychodzi. Nic nie chciała kupować, przysłała tylko do mnie. To naprawdę miłe.

– O co poszło Sobótkom? – pytam Dawida, gdy kolejna fala klientów wytacza się ze sklepu. – Dlaczego twoja mama nie rozmawia z moją?

– O, to cała historia. Najpierw ty wyjechałaś. Twoja mama szalała, chciała cię ściągnąć z powrotem, ale nawet nie wiedziała skąd. Na telefony nie odpowiadałaś. Potem zaraz zniknął twój ojciec. Też się przestał odzywać. Twoja mama zamknęła się w domu, strasznie to przeżywała. Sobótki wpadały do niej, zajmowały się nią, Sebastianem, on się naprawdę załamał, tęsknił za ojcem, w matce nie miał żadnego oparcia. Sobótki musiały mu matkować. Trzymały się razem, jeszcze bliżej niż przedtem, nie masz pojęcia, jaki był rejwach, gdy się zeszyły. A potem nasza Karolina przyjechała do domu na święta i wygadała się przy

twojej mamie, że mieszkasz u niej, w Warszawie. I się okazało, że moja mama wiedziała o tym cały czas, a pary z ust nie puściła. Wtedy twoja mama poprosiła moją: Weź mnie tam do niej, do mojej córki. Albo daj mi chociaż do niej adres. A moja mama nic. Nie dała.

Tak, myśle sobie. Ciocia Bożena milczała, bo ją o to błagałam. Błagałam je obie: Karolinę i ciocię Bożenę. Karolinie było w sumie wszystko jedno, natomiast ciocia Bożena nie chciała niczego ukrywać przed moją matką. Dlatego powiedziałam jej, że to dla mnie sprawa życia i śmierci, a potem wyznałam dlaczego. Ciocia długo milczała, w końcu obiecała, że będzie mnie kryć. I powiedziała, że rozumie.

Takie proste słowa: ktoś mnie rozumie. Ale wystarczyły, żeby zdjąć mi trochę ciężaru z serca. I dzięki temu zaczęłam powoli wymazywać z głowy przeszłość. I wiecie co? To naprawdę możliwe. Wyrzucić przeszłość do kosza jak stare wyposażenie kuchni i zbudować w tym miejscu coś zupełnie nowego, w innym guście, tak że trudno poznać, jak wyglądało przedtem. Kiedy powracają szczególnie upierdliwe wspomnienia, powtarzam sobie: Czysta tabliczka. Moja głowa jest czystą tabliczką. I tak mantruję, aż je odgonię.

Moja głowa jest czystą tabliczką.

Jedynie Karolina była w Warszawie żywym dowodem na to, że Świątkowice istnieją, ale ona udowadniała też, że można stać się warszawianką, gdy bardzo się tego chce. Po tych kilku latach w akademiku była już bardziej z miasta niż z wioski. Obie takie byłyśmy: bez korzeni, bez pieniędzy, zachłyśnięte nowym życiem. Karolina studiowała, ja pracowałam. Sprzątałam, cieciewałam, pilnowałam dzieci, robiłam, co podlegało. A wieczorami stałam pod prysznicem i spłukiwałam z siebie przeszłość. Patrzyłam, jak woda spływa do kratki ściekowej, i wyobrażałam sobie, że zabiera wszystko, co się stało.

Na nowy numer dzwoniło do mnie niewiele osób. Bo też nie zaznajamiałam się specjalnie. Nie chodziłam z chłopakami. Wiedziałam dlaczego, nie trzeba było do tego Freuda. Miałam przy sobie Karolinę. Czasem spotkałam się ze zwariowaną Iloną

ze squatu. Innym razem poszłam na piwo z koleżankami z agencji sprzątaczek. Ale nikomu nie opowiadałam o sobie za dużo. Byłam zabawną, zgryźliwą Anielą, która kocha sprzątać i nie da sobie w kaszę dmuchać. I czasem rzuci dowcipem, podkrecając go wiejskim zaśpiewem.

A kiedy się zmęczyłam tym udawaniem kogoś innego, chodziłam pod ten cholerny Pałac Kultury, by wrócić stamtąd zła na siebie, że po co znowu.

Do sklepu wciąż napływa fala klientów, a ja nie chcę już przeszkadzać. Gdy się owijam w szalik, Dawid przesyła mi swój numer telefonu. Wszystko wydaje się łatwiejsze, gdy wiem, że mam tutaj aż cztery osoby po swojej stronie: poza Niušką jeszcze panią Stańską, Dawida i przede wszystkim ciocię Bożenę. Trochę mi z tym różniej.

Różniej, słowo jak ze starej powieści dla młodzieży.

PANI STAŃSKA

Andżelika stała dziś za ladą w sklepie i wyglądała, jakby nie była stąd. Nie chodzi o rozmazany czarny makijaż dookoła oczu ani o przedziwną fryzurę. To tylko detale, ważna jest twarz. A twarz Andżeliki jest jakaś inna, obca, zamknięta, zagoniona może nawet. Życie ją pewnie nieźle poobracało w tej Warszawie. Nawet mówi inaczej, jakby musiała wyduszać z siebie słowa. Może to po prostu żałoba po bracie, biedny chłopak. Może onieśmienie, nigdy nie była specjalnie wylewna. Tak czy siak – jestem z niej dumna. Dała sobie radę tak daleko od domu.

Ściągnęła dziś Dawidowi do sklepu tłumy. W sumie się nie dziwię. Niby nasza, ale obca, inna. Importowana. Atrakcja, bo do Świątkowic nieczęsto przyjeżdżają obcy. Jeśli już zaglądną, to na stację benzynową, czasem na obiad do zajazdu. Poza tym niemal nie widuje się u nas nieznanymi twarzami, bo nawet tych, którzy raz na tydzień zjeżdżają się na jarmark przy stacji, rozpoznajemy prawie wszystkich. Znajomi, ale obcy. Swoi są tylko ci, którzy się rodzą w Świątkowicach.

Zdaję sobie sprawę, że ja też ciągle jestem dla miejscowych obca, chociaż mieszkam tutaj już kilkanaście lat i uczyłam wszystkie tutejsze dzieciaki. Ale to wcale mi nie przeszkadza. Lubię stać z boku.

Świątkowice to niezbyt urodziwa ulicówka jakich wiele, usytuowana wzdłuż szosy, która stanowi boczną odnogę tak zwanej Nadwiślanki. Ale gdy odejdzie się od szosy, gdy wyjdzie się w pole, gdy zajrzy się nad rzekę, jest pięknie. Krajobraz, w odróżnieniu od reszty Mazowsza, wcale nie wydaje się płaski jak stół. Świątkowice mają liczne wzgórza i pagórki.

„Jak cycki”, śmiał się zawsze Witek Julków, ojciec Andżeliki. Według niego wioska miała osiem cyków. Jak maciora. Wypowiadał ten żart i czekał, aż się zaśmieję. Parskałam bez przekonania i zakrywałam usta chusteczką. Jemu to wystarczało, był pewien, że mnie rozbawił. A proszę bardzo.

ANIELA

W domu kartofle już obrane. Nad saganem siedzi młody Bożek, wpatrzony w ścianę. Nogi wyciągnął do pieca, milczy. Chyba mu podsunę jakąś książkę, choć w tym celu musiałabym znowu wejść do swojego pokoju.

Każę mu pokroić cebulę na okrasę. Chyba zrobię jaja sadzone. Ale po chwili okazuje się, że nie muszę. Bo do drzwi pukają Sobótki, duża jak niedźwiedź Agnieszka i lisiczka Danuśka, naniósły jakichś garnków, blaszek, gadają, uciszają się wzajemnie, bo przecież żałoba w domu. Rozmawiają o mężu Danuśki, z którym ona prowadzi restaurację. Coś poszło nie tak z płaceniem za stypę, miało być niby po kosztach, ale mąż Danuśki protestuje, że muszą zarabiać. Danuśka go przekona, zresztą na złość gwizdnęły z Agnieszką kotlety z knajpy i są tutaj, żeby nakarmić Sylwią i dzieciaki. Czyli mnie i młodego Bożka.

Dzieciak to dobre słowo, zdejmuje z człowieka całą odpowiedzialność.

Młody wcale się nie płoszy, zna je widać dobrze, a może mu

wszystko jedno. Sobótki znowu się uciszają i zakazują mówić przy matce o pieniądzach za stypę, bo przecież nie ma co chorej dodatkowo martwić. Wchodzą do niej. Słyszę ich głosy, słyszę jej głos, przerzucają się zdaniami, ze mną nigdy nie rozmawia w ten sposób, przy mnie wydusza z siebie tylko niechętnie zdania. Poradziłyby sobie z ich pomocą doskonale, nie wiem, po co jeszcze jestem potrzebna w Świątkowicach, po co muszę tyle dni marnować na starych śmieciach, których miałam już nigdy nie oglądać. Zjadam na stojąco kotleta, a potem wynoszę rower z sieni i wsiadam, i pedałuję do utraty tchu, ślizgam się, brnę, pocę, po kilkunastu kilometrach wszystko mnie boli, ale na duszy robi się trochę lżej.

Po kolejnych kilku czuję się jeszcze lepiej, gdy słyszę za plecami dźwięk klaksonu i widzę na drodze odrapany peugeocik Dawida. Wcale nie jedzie do domu. Ja też nie mam zamiaru. Dobrze się więc składa, pojedziemy razem. Wrzucamy rower do bagażnika, wsiadam do samochodu. A tu gra *Revolver* Beatlesów, śpiewamy na cały głos *Eleanor Rigby* i nareszcie znajduję się w świecie, w którym czuję się w miarę na swoim miejscu. Dawid jedzie do kumpla, mają oglądać jakiś serial i pić piwo. Nie lubię piwa zimną, nie oglądam seriali, ale wszystko jest lepsze od siedzenia w domu, patrzenia na nieszczęśliwe dziecko, które już niedługo będzie zwichrowanym dorosłym, słuchania z drugiego pokoju głosu matki, która nigdy do mnie nie mówiła z takim ciepłem jak do swoich pieprzonych Sobótek. Opowiadam Dawidowi o zniczu na polanie z okopami. Dawid rzuca żarty, co nawet mnie cieszy, bo przy nim śmierć jest co najwyżej chudą wiedźmą do wyśmiania, a znicz staje się freudowską projekcją waginalną. Poza tym cieszy mnie, że Dawid między kolankiem, uszczelką a sklepową kasą fiskalną znalazł trochę czasu na czytanie i nadal jest fajnym facetem.

À propos Freuda: kiedyś, gdy mieliśmy w liceum zajęcia o pasożytach, uznałam, że Świątkowice muszą wyglądać z lotu ptaka jak glista ludzka. Są przecież długie i wąskie, z obu końców nawet bardzo, na środku najszersze. Środek to tam, gdzie jest poczta, apteka, szkoła zbiorcza z liceum, bar z zapiekankami,

okupowany głównie przez dojeżdżających z okolicy licealistów, parę sklepów oraz dziurka zwana szumnie Salonikiem Prasowym. Ten gruby środek przecina w poprzek linia kolejowa. A dalej glista się zwęża do szosy i rzędu domów po obu jej stronach. Matka ma dom z jednego wąskiego końca, gdybyśmy nazwali go dupą, to Mateusz, kumpel Dawida, mieszkałby w głowie. Albo odwrotnie.

Układamy butelki w zaspie śniegu na podwórku, to lepsze niż lodówka, trzy bierzemy do środka. Mateusz, kumpel Dawida, to muskularny trzydziestolatek, bicepsy ładnie rysują się mu pod koszulką, oczy błyszczą inteligencją. Bardziej charakterny niż przystojny, ale pociągający. Jest nauczycielem w podstawówce w Świątkowicach.

– Wuefu? – wróżę z jego muskulatury.

– Historii.

A poza tym przyjechał tu z Warszawy. Do pracy. Nie mam siły się dziwić, taka jestem wykończona.

Dawid z Mateuszem włączają jakąś durnotę. Nawet nie udaję, że oglądam, przymykam oczy, z komputera słyszę angielskie wrzaski, obok siebie inteligentne uwagi po polsku. Mateusz jest fajny, gdybym nie była taka popieprzona, mogłabym się w nim nawet zakochać, może nawet prędzej niż w Dawidzie.

– Andżela, oglądaj! – upomina mnie Dawid. – Na pewno cię zainteresuje.

– Nie lubię seriali – odpowiadam leniwie z głębin piwnej drzemki. – I mów na mnie Aniela.

– Ale ten serial na pewno ci się spodoba. Tabu. To o facecie, który po dziesięciu latach wraca z tułaczki po świecie do rodzinnego miasteczka.

Otwieram oczy, patrzę w ekran. Ciemno. Kostiumy. Brzydki ludzie, brzydkie zęby, brzydkie światło, brzydkie czasy, dawno temu. Ale w sumie podobnie jak teraz, może z wyjątkiem zębów.

– Nie podoba mi się.

– Patrz na tego w cylindrze. Nikt nie wie, co się z nim przedtem działo. Nie widzieli go całe lata. Do domu przyjechał dopiero na pogrzeb.

– Brata?

– Ojca.

– A potem musiał zostać dłużej?

– Coś takiego. Liczę, że w dalszych odcinkach dowiemy się, co się z nim działo, bo wrócił naprawdę zupełnie inny, niż wyjeżdżał.

Dawid patrzy na mnie z tym swoim kpiącym uśmiechem. Biorę do ust łyk piwa i długo trzymam w buzi. Kiedy wreszcie przełknę, już wiem, co odpowiedzieć:

– Musiał gdzieś mieszkać i skądś brać pieniądze, jak wszyscy. Nuda.

– Myślisz? Nie wiem, czy taka nuda, skoro nasz bohater wrócił strasznie wkurwiony na wszystko. Jeszcze bardziej wkurwiony, niż wtedy, kiedy wyjeżdżał.

Mateusz wodzi oczami od Dawida do mnie i z powrotem, jakby śledził mecz ping-ponga.

– Ja myślę, że dla widza jest dużo ciekawsze, co się przez ten czas zmieniło w miasteczku – kontruję.

– Widzowie mają w dupie takie wiochy, zapewniam cię. Widzowie, gdy tylko mogą, wyjeżdżają z nich i nie oglądają się za siebie. Interesują ich wyłącznie ci, którzy wyjechali.

Nudne już się robią te aluzje.

– Dawid, a ty zostałeś w Świątkowicach. Wszystkich bym się spodziewała zastać tu po dziesięciu latach, tylko nie ciebie. Twoja mama świetnie sobie daje radę w sklepie, więc to nie o to chodzi. Co się stało?

Mateusz kręci się niespokojnie.

– Różnie się w życiu plecie – odchrząkuje Dawid.

A widzisz, ty też nie za bardzo chcesz się zwierzać.

I nagle pytam:

– A może wiesz, dlaczego mój brat nigdy się do mnie nie odezwał? – pytam nagle.

– Co?

– Chyba wiesz, znaczy wiecie, że Sebastian przez te wszystkie lata nie odezwał się do mnie ani razu? – wypowiadam swój największy ból. Prawie największy.

– Pewnie wiedział, że tylko humor by ci zepsuł – wyrokuje Dawid.

– Jak to?

– Ten gostek, twój brat, snuł się tutaj z ponurą miną, okej, może praca u masarza to nie jest szczyt marzeń, ale tak czy siak: zero uśmiechu, zero kontaktu, jakby miał wiecznie wszystko wszystkim za złe. Więc on chyba ogólnie był mało zadowolony z życia. I nawet jak się ożenił, wcale nie poweselał.

– Pracował u masarza? – dziwię się. Mój brat chciał pracować w urzędzie, w garniturku pieczętować papierki, zawsze tak twierdził. Nigdy nie chciał paprać się w wędlinach jak jego ojciec, wracać do domu, pachnąc dymem wędzarniczym i saletrą, z okrawkami w zatłuszczonym papierze upchniętymi w teczce.

– Załapał się do wyrobu wędlin u Gostkowskiego. Niejeden by Bogu dziękował. Wszystkie resztki w gratisie. A ten nic. Smutny.

Gostkowski. Przedtem pracował tam mój ojciec. Zastanawiam się nad pochodzeniem kiełbasy, którą jedliśmy na śniadanie. Czyżby to jeszcze było dzieło mojego brata? Nie wszystek umrę. Zostanie po mnie kiełbasa myśliwska.

– A szczęśliwi byli? – pytam. – Mój brat z tą dziewczyną?

– Ze słynną Marleną z Grabówka?

Marlena, przypomina mi się. Moja bratowa ma na imię Marlena.

– Marleny jakoś nikt nie chciał poślubić, choć niejeden lubił ją przytulić. A twój brat zrobił jej brzuch i zaraz się do niej przeniósł. Co do niej, wszyscy mówili, że dobrze, że kogoś wreszcie złapała na stałe. A co do niego... Właściwie go nie widywałem. Kurde, nie wiem, Andżela, wybacz.

– Nie miał jakichś kumpli?

– Tyle co ze szkoły, ale nie za bardzo wychodził po lekcjach. Ani po pracy. Podobno nawet na osiemnastki go nie puszczała. Na wesela też średnio. Znaczą twoja mama.

Nie chcę słuchać o mojej matce.

– Ja nadal nie rozumiem, dlaczego się nie odzywał. W dzieciństwie przecież byliśmy najbliżej.

– Myślałem, że najbliżej byłeś ze mną – wygłupia się Dawid.

– Czy mówimy o Sebastianie zwanym „ponurym żonkosiem”? –

odzywa się nieoczekiwanie Mateusz. Dawid stuka go w żebro, żeby nie przy mnie, ale chłopak wcale się nie peszy. – On mi wyglądał na faceta w ciężkiej depresji. Może po prostu nie miał siły się do ciebie odzywać. Łaził tu jak zombie.

– Od dziesięciu lat? – powątpiewam. – A zrobić dziecko i się ożenić miał siłę. I robić kiełbasy.

– Ja też się do ciebie nie odzywałem – mówi Dawid. Pewnie zaraz będzie się bił w piersi i przepraszał. Ale nie. – Mamusia mi zabroniła. Mówiła, że nie chcesz. Nie wnikałem, ale uszanowałem. Z trudem, ale uszanowałem. Wiązałem sobie ręce, żeby do ciebie nie zadzwonić. Ale uszanowałem.

Tak jakoś po drugim piwie zaczynam myśleć, że obaj, Dawid z Mateuszem, są mi najbliższymi ludźmi na świecie. Po trzecim jestem już tego pewna. W połowie czwartego uznaję, że serdeczność tak mnie zalewa, że należy wracać do domu.

Bilans tego wieczoru: niewiele więcej wiedzy na temat mojego brata, odrobina na temat Dawida. Poza tym dwa odcinki ponurego serialu na koncie, po cztery piwa na głowę, znaczy moją i Mateusza, bo Dawid rozsądnie zatrzymał się po pierwszym, wiedział, że przecież musi wsiąść później do samochodu.

Dawid jedzie powoli, nie gadamy, ale tak jest dobrze. Pomaga mi dojść do domu, wstawia za płot rower. W sieni ciemno, tłukę się trochę, zdejmując buty, kurtkę, matki sweter. Z pokoju matki dochodzi jakiś stuk. Spod jej drzwi widać światło.

Zaglądam do niej. Matka siedzi, rozwiązuje krzyżówkę, irytująco spokojna. A mnie piwo nareszcie pozwala zdobyć się na pewną szczerłość.

– Dlaczego on się do mnie nie odzywał? Sebastian?

– Prosiłam go: napisz do niej. Znaczą do ciebie. Zadzwoni, mówiłam. Może od ciebie odbierze. Sprawdzimy, jak się jej żyje, czy jej czegoś nie trzeba.

– I co? Przecież nie zadzwonił. Ani razu. Nie odpowiadał też na moje telefony.

– Mówił: za dwa dni. W niedzielę. Po święcie. Odkładał. Nie naciskałam. Też nie był za wesoły. Tęsknił za ojcem. Nie

wiedziałam, że dzwoniłaś do niego. Do Sebastiana.

– Nigdy nie odbierał.

– Do niego dzwoniłaś, a do mnie wcale. Nawet nie wiedziałam, czy jesteś bezpieczna. Nawet tego nie wiedziałam. Bożena szepnęła czasem w kościele: „Radzi sobie. Dobrze sobie radzi”. I to mi musiało wystarczyć. Przez dziesięć lat. Masz pojęcie, jak czuje się wtedy matka?!

Odganiam wyrzuty sumienia. Mnie przecież wcale nie było łatwiej. Miałam osiemnaście lat i musiałam sobie sama radzić w obcym, wielkim mieście. Potem miałam dziewiętnaście i dwadzieścia, i wcale nie było mi łatwiej. Teraz daję sobie radę, bo przywykłam do samotności i stwardniałam. Tak działa na ludzi Warszawa.

– A Sebastian? Dlaczego od ciebie uciekł?

Matka wydmuchuje nos.

– Młody był – tłumaczy. – Myślał, że gdzie indziej będzie mu lepiej. Ale nie było mu dobrze u niej, o nie. U niej spotkał tylko śmierć.

Niuśka pojawia się w pokoju. Pewnie wyczuwa za dużo cierpienia. Kładzie łeb na kołdrze matki, ale nie doczeka się zainteresowania. Pochylam się i tulę jej głowę. Dotykanie sierści przynosi ulgę. Jedyną, jakiej ostatnio zaznaję.

Ciocia Bożena lepiej sobie poradziła z samotnym ciągnięciem rodzinnego wózka niż moja matka. A przecież obie przeżyły z grubsza to samo: porzucenie przez męża, samotne wychowywanie synów, przeprowadzka córek daleko od domu. Tylko że Bożena siedzi teraz w miłej kuchni i gotuje obiad dla syna, który opiekuje się ich świetnie prosperującym interesem. A moja matka siedzi w tym trącącym wilgocią domu i jest tragicznie sama. A żyje... No właśnie, z czego żyje moja matka? Trzeba będzie z nią jakoś wyjaśnić kłopotliwą kwestię zakupów. Muszę kupić chleba, mleka, może jajek, cukier się też kończy, bo młody Bożek słodzi na potęgę. Gorzej, że w portfelu mam niewiele ponad sto złotych. Może mi zresztą coś ostatnio wpłynęło na konto, czekałam na przelew, ale jak tu wyciągnąć tę forszę z konta, skoro w Świątkowicach ani banku, ani bankomatu.

I kartą też tu nigdzie nie zapłacę, szlag by to, przeklęta wioska.

– Sebastian nie kochał Marleny – oznajmia matka. – Musisz wiedzieć, że pobrali się tylko dlatego, że wpadła.

I dlatego od razu się do niej przeprowadził? Jeszcze przed ślubem? Nie, nie składają mi się te dwie opowieści, Marleny i matki.

Matka ciągnie:

– Zawiązała mu przyszłość, przecież była o tyle starsza.

O ile? Pięć lat to nie jest o tyle.

– A odradzałam, a mówiłam: stać cię na lepszą. Poczekaj, do czego się spieszyć. Nie, musiał być mądrzejszy. Potem prawie przestał się w domu pokazywać. Ale kiedy go widziałam... Zagoniony, nieszczęśliwy. Chudy, blady. Jak podtruty. I ta nagła śmierć... Przecież to był młody, zdrowy chłopak. On nigdy nie chorował... – mówi głośniejsz. – I żeby tak nagle umrzeć jak jakiś stary dziadek? Na kanapie? Po obiedzie? Nie, niemożliwe. Niemożliwe, rozumiesz?

– Nie takie rzeczy się zdarzają.

– Na pogrzebie też nie było widać, żeby Marlena specjalnie rozpaczała, prawda?

– Przecież byli świeżo po ślubie. Już by go zdążyła mieć dość? – pytam.

Matka kręci głową.

– Czyli ty uważasz, że ona go otruła? – ucinam wreszcie.

– Ja nic nie uważam. Ja się zastanawiam. To chociaż mieszkajcie tutaj, u nas, mówiłam. Zajmę się dzieckiem. Gdzie tam. Ech, ciekawe czy jeszcze wnuka zobaczę, krew z mojej krwi.

– Byłam u niej – zwierzam się nieoczekiwanie. – U Marleny. Mały to miły tłuścioch. Trochę nawet do Sebastiana podobny.

Matka patrzy na mnie, jakbym przed chwilą ogłosiła zwiastowanie.

– Wpuściła cię?

– A dlaczego miała nie wpuścić? Jestem jej szwagierką.

– Miło rozmawiała?

– Normalnie.

– Nie wierzę jej ani tyle.

Matka pokazuje na palcu, ani na ile nie wierzy. Poziewuje, pod oczami ma ciemne półksiężycy, jutro powinnam ją wyprowadzić na dwór, na świeże powietrze.

Powiedzmy, że świeże, z każdego niemal komina w okolicy wali czarny, gęsty dym.

Mówię dobranoc i zostawiam matkę samą z jej żalami.

SYLWIA

Boli, więc poprawiam nogę na poduszce, ale nic lepiej. Może jednak lepiej, że boli noga, wtedy mniej czuję, że boli serce. I że łyżę jakoś nie idą, bo od pogrzebu nie udało mi się zapłakać ani razu. Andżelika ma obcą, smutną twarz, ale i bez tego wiem, że została tutaj z musu, domyślam się, że wyczekuje niedzieli, kiedy będzie mogła wyjechać. Nie umiem z nią rozmawiać, nigdy chyba nie umiałam. Nie miała jeszcze czterech tygodni, gdy ją położyłam na brzuchu na łóżku, a ta się jakimś cudem przesunęła do brzegu i zaraz by spadła, taka była szybka i tak bardzo nikogo nie potrzebowała. Prawie od początku wypluwała pierś, a kiedy miała sześć miesięcy, uznała, że już więcej ssać nie będzie, wolała ciamkać chleb. Co wyprasowałam jej sukieneczkę, zawsze ją wymięła i ubrudziła, w końcu poprzestałam na spodenkach. Nie chciała uczyć się gotować, wolała czytać i włóczyć się z Dawidem albo chodzić do pani Stańskiej. Zawsze chciałam wiedzieć, o czym tyle rozmawiają, próbowałam nawet wypytywać Andżelikę, ale się odszczekiwała, że to jej sprawy. Zagadnęłam też panią Stańską, a ta odpowiadała z wkurzającym uśmiechem, że o książkach.

– O lekturach? – dopytywałam, ale ona zaprzeczała, i zaraz kończyła temat, jakbym nie była godna słuchać.

Ale to było potem. Bo w parę tygodni po porodzie wyznałam Sobótkom, że na razie wystarczy. Że nie mogę być za chwilę znowu w ciąży. Że nie chcę tak dużo i tak szybko. Że chcę się zająć tym dzieckiem, które mam, Andżeliką, a nie zaraz robić nowe.

– Prezerwatywy – stwierdziła wtedy Agnieszka z mądrą miną.
– Ta, namów go – prychnęła Bożena. – Namawiaj faceta za każdym razem, i jeszcze sama dbaj, żeby zawsze były w domu, pod ręką.

Bożena miała rację: z prezerwatywami się nie uda. Ciągle pamiętałam nasze ostatnie niedzielne popołudnie, gdy malutka Andżelika zdrzemnęła się po obiedzie, a Witek siłą zaprowadził mnie do sypialni, to znaczy ścisnął za ramiona i pociągnął, mówiąc, że już minął właściwy czas od porodu, i że już pora. Przed porodem tak często prowadził mnie do sypialni, że miałam siniaki na ramionach. Ale wtedy przynajmniej nie groziła mi ciąża, bo już w niej byłam.

– Narzekasz, że krzyczę, że się wściekam. Ale każdy facet byłby cały wściekły, gdyby nie mógł dostać swego. To twoja wina, że chodzę wściekły. Rozumiesz? Twoja. Osiem tygodni po porodzie, mówił lekarz. Minęło osiem i pół, a ty co? Nic. Każdy by był wściekły.

Ten pierwszy raz po porodzie nie był szczególnie przyjemny, ale inne też nie były. A przecież kiedyś lubiłam seks. Przed ślubem, gdy kochaliśmy się po kryjomu gdzieś nad rzeką czy w pokoju Witka, gdy jego rodzice wyszli w niedzielę do kościoła. Gdy nam obojgu tak się chciało, że rzucaliśmy się na siebie, jak tylko zostaliśmy sami. Gdy patrzył na mnie tym głodnym wzrokiem. Teraz łapie mnie za ramię i nawet nie patrząc na mnie, rzuca to durne:

– No co? Dzisiaj znowu jesteś zmęczona? A może głowa cię boli?

I co ja mam wtedy zrobić? Uśmiechnąć się, że znakomity żart czy nagle przedzierzgnąć się w demona seksu z tych kaset wideo, które Witek bez żenady zostawia czasem w domowym magnetowidzie. Specjalnie je zostawia czy z niedbalstwa, jak rozsypany popiół wokół popielniczki? Nieważne. Wiem jedno: z prezerwatywami się u nas nie uda, muszę więc zadbać o te sprawy sama.

Zaraz też wpada do mnie Danuśka z tą książką o naturalnym planowaniu płodności, którą kupiła w zakrystii. Czytam o kalendarzyku i o szacher-macher ze śluzem z pochwy. Oglądam

ten swój śluz, ale ni cholery nie rozumiem, czy już jest płodny, czy ciągle bezpłodny, nie pasuje jakoś do zdjęć z książki. Pewnie powinnam pokazać go Dance. Albo księdzu. Chce mi się śmiać, Dance nie, ona te sprawy traktuje bardziej poważnie. Gorzej, że według jej książki całe lata miną do momentu, kiedy tak dobrze poznam swój organizm, że budząc się rano, od razu będę wiedziała: dziś mam owulację. Do tej pory urodzę już szóstkę dzieci.

Tego lekarza wyszukuje w końcu Bożena. Znajomy znajomej, w każdym razie podobno nie robi problemu z instalowaniem spirali antykoncepcyjnej. Wykupuje się ją za swoje, natomiast za montaż już się nie płaci.

– Jaki montaż? – chichocze Agnieszka. – To przychodnia, a nie warsztat.

Ale rzecz będzie naprawdę skomplikowana. Po pierwsze, pieniądze. Ta spirala wcale nie jest tania.

– Pożyczę ci, nie martw się – obiecuje Agnieszka. – Będziesz spłacać w ratach.

No tak, oni z tym jej malutkim mężem („Mały, ale figlarny” – żartuje zawsze Agnieszka) na braki w finansach raczej nie narzekają. Tak czy siak, czekają mnie przynajmniej dwie wyprawy do Garwolina, żeby załatwić tę sprawę. Tylko że samochodu używa głównie Witek, kiedy rozwozi wędliny od Gostkowskiego.

– Wiesz co? – mówi Bożena. – Zawiozę cię. I tak miałam Karolinie kupić rzeczy do szkoły.

– Jadę z wami – decyduje Agnieszka. – Bo się boję, że zaraz znowu urodzę bliźniaki.

Więc ładujemy się do samochodu, jedziemy we trzy do Garwolina, gdzie fundniemy sobie z Agnieszką po uroczym kobiecym drobiazgu: spirali antykoncepcyjnej.

Już prawie wjeżdżamy z polnych szos na trasę lubelską, gdy na poboczu widzimy samochód Danuśki.

– Stań! – krzyczę do Bożeny.

– Nie mam siły więcej z nią o tym gadać. O tym śluzie.

– Stań, widzisz, że macha na nas.

– Przecież wiemy, co nam powie: Natura to tak urządziła...

Bożena nie ma zamiaru zwalniać. Danuśka wyskakuje więc na szosę przed nasz samochód i dopiero wtedy przystajemy z piskiem opon.

– Zwariowałaś?! – Bożenie trzęsą się ręce.

– Jadę z wami, dziewczyny. – Danuśka ładuje się do samochodu na czwartą.

– Zrezygnowałaś z tych czarów ze śluzem? – pytam. – To strasznie skomplikowane, prawda?

– Co ty opowiadasz, Sylwia – oburza się Danka. – Nic prostszego. Wystarczy uważnie przeczytać i zastosować.

W takim razie co ona tutaj robi?

– Ale już nigdy nie będę taka młoda jak teraz, żeby mi się chciało kochać co rano z moim mężem – wyznaje po chwili Danuśka. – A przy tym kalendarzyku ciągle nie można.

Co rano?, dziwię się. Chce jej się co rano? A potem przypominam sobie dawne czasy, gdy i mnie się codziennie chciało. Tak, to możliwe, ale myślałam, że u każdego z czasem mija.

– Tylko nie mówcie mojemu mężowi, że wygaduję nasze tajemnice. Teściowa uważa, że żaden przyzwoity człowiek nie robi tego rano, od tych zajęć jest wieczór, a i tak tylko wtedy, gdy ma się w planie dzieciątko. Macie szczęście, że wasze teściowe już nie żyją.

– Danuśka! – gorszy się Bożena, ale reszta chichocze. A potem włączamy muzykę i razem z Renatą Przemyk śpiewamy na cały głos Babę zesłał Bóg, a tam, gdzie nie pamiętamy słów, śpiewamy „nananana”, ale jest to bardzo wojownicze i bardzo wesołe „nananana”. „Bóg też chłopem jest! – drzemy się na cały głos – żeby z baby ciągle drwić”, a Danuśka niby się krzywi, ale śpiewa z nami.

I tak się jakoś staje, że wszystkie, nawet Danuśka, korzystamy z tej mojej jednej umówionej wizyty. Ginekolog nawet specjalnie nie protestuje, jest w miarę uprzejmy, dowcipkuje o zbiorowej inicjatywie pań ze Świątkowic. Wszystko jednak potrwa dłużej, niż nam się wydawało, bo badanie, recepta na spiralę, cytologia,

i jeszcze trzeba będzie poczekać na wyniki i na następną wizytę.

I znowu wesołym babowozem odwiedzamy po dwóch tygodniach Garwolin.

– Spirala w macicy, radość na ulicy – śpiewamy w drodze powrotnej, dumne, że wreszcie dopięłyśmy swego. Jesteśmy bezpieczne. – Zamienię śluzę na modne bluzy! – Przy śluzach Danuśka się troszkę krzywi, więc tylko: – Wolę spiralkę niż nową pralkę!

Tylko Bożena jakaś niemrawa.

– Żałujesz, że to zrobiłaś? – dopytuję. – Zawsze możesz usunąć spiralkę i znowu zachodzić.

Kręci tylko głową. W końcu wydusza:

– Nic nie będę usuwać.

– Nie?

– Bo okazało się, że jestem w ciąży.

Babwóz milknie. Danuśka zaczyna z gratulacjami. Agnieszka ją ucisza.

– I tak nie miałam kasy na wykupienie tej durnej spirali. – Bożena udaje dzielną. – Zresztą i tak był czas na drugie dziecko.

Już nie śpiewamy.

– Jakaś zwawsza jesteś – komplementuje mnie w pościeli mąż.

Jestem, bo już się nie boję, że znowu zajdę. Ale to moja słodka tajemnica. Chwilami nawet mi tak przyjemnie jak wtedy, przed ślubem. Chwilami.

Parę miesięcy później Bożenie rodzi się Dawid.

A ja spiralę wyjmuję dopiero po pięciu latach. Minął okres jej przydatności. I jakoś tak niedługo potem rodzi nam się syn.

Sebastian jest zupełnie inny niż Andżelika. Słodki, pogodny, gdybym go siłą nie odstawiła od piersi, ssalby pewnie jeszcze, gdy szedł do szkoły. Mówi do mnie „Kochana mamusiu” i „Nigdy nie będę tak pyskować jak Andżelika”, ale wpatrzony w nią jak w obrazek.

W ojca też. Słodki dzieciak.

No, dość tego rozczulania się. I tak nie umiem płakać. Sięgam w bok, ostrożnie, bo noga nadal przy gwałtowniejszych ruchach pulsuje bólem. Otwieram górną szufladę w szafce przy łóżku.

Dobrze, że zrobiłam zapas, zanim złamanie unieruchomiło mnie w domu. Trochę to kosztuje, ale nie będę się nikomu tłumaczyć. Zresztą to najtańszy ze znanych mi nałogów. Krzyżówka. Wyjmuję jedną, nową, kładę przed sobą na kołdrze.

Nie patrzę na opisy, tylko na diagram. Interesuje mnie wyłącznie kształt, który mogę wypełnić słowami. Jeden poziomo. Tu prawie zawsze pojawia się jedno z najdłuższych słów z całej krzyżówki. Kluczowe. Na ogół wpisuję je na początku, to ono nada ton całości, dlatego jest takie ważne. Dziesięć liter. Wiem od razu: CIERPIENIE. Teraz zabieram się do wpisywania słów pionowo.

Nie będzie łatwo. Dużo takich samych samogłosek. Ale im trudniej, tym bardziej oczyszcza.

ANIELA

Rano zauważam, że w nocy osunęłam się z oparcia wersalki do półleżenia, zwinięta jak spinacz. Po wczorajszym picciu głowa boli i generalnie nic się nie chce. Już dziewiąta dziesięć, nieźle pospałam po tym piwie. Młody Bożek dzisiaj się nie pojawił, zaraz więc będę musiała iść do drewnutni po szczapy. W łazienkowym lustrze wyglądam jak potwór. Długo myję twarz wodą, ale oczy i tak ciągle mam czerwone. Potem staję pod drzwiami matki, nasłuchuję, słyszę pochrapywanie. Otwieram lodówkę, sięgam po tłusty pakunek w papierze. Wącham kiełbasę, prawdopodobnie ostatnie dzieło mojego brata. Nie, nie czuję się wcale w ten sposób bliżej niego. Odłamuję kawałek kiełbasy, rzucam Niuśce. Jest zachwycona, pochłania ją dwoma kęsami. Muszę jej kupić jakieś chrupki. Zerkam do portfela. Osiemdziesiąt złotych i trochę bilonu. Na chrupki starczy, na bilet do Warszawy też, na dużo więcej nie. Muszę też z matką porozmawiać o kasie, skąd ją bierze i czy ma jeszcze cokolwiek, bo za chwilę będzie z nami krucho. Powinnam też jakoś wyciągnąć pieniądze z mojego konta.

Matka nic o mnie nie wie. Ja nic nie wiem o niej. Nie wiem, czy

plącze po Sebastianie. Pewnie tak, dziwne, gdyby było inaczej. Ale odkąd tu jestem, nie widziałam ani jednej łzy w jej oczach, może przez chwilę na cmentarzu, nie jestem pewna. A czy płacze po ojcu? Raczej nie, to już tyle lat, a poza tym ojciec był draniem, nawet ona powinna to wreszcie zrozumieć i cieszyć się, że zniknął z jej życia.

Nie wiem, jak przetrwamy najbliższe dni. Poranna obsługa, ucieczka, serwowanie obiadu, ucieczka, bezsenna noc, dorzucanie do pieca, palenie w piecu i przerwy w napięciu między nami podczas wizyt Sobótek. Jakoś się muszę przetrulać przez te dni, a potem ucieknę. Jak zawsze. Na szczęście trochę się oswoiłam z widokiem brzucha i gołego tyłka mojej matki, a ona się oswoiła z tym, że je widzę, gdy sadzam ją na sedesie, gdy wyciągam ją spod prysznica.

Gwiżdżę na Niuškę i ruszamy do lasu.

Tyle że w nocy temperatura podskoczyła, i to dość znacznie. Jest więc odwilż, odwilż totalna, buty grzęzną w błocie, chlapią się w kałużach, ślizgają na dogorywających jezorach śniegu. Ale uparłam się, nie będę rezygnować w połowie, idziemy. Kiedy wrócimy, będę musiała wykapać Niuškę, inaczej rozsieję schnące błoto po całym domu. Będę musiała wymyć buty, wyprać spodnie, zmyć z siebie cały okołoświątkowicki las, który uparł się do mnie przylepić. Niuška za to śmiga jak brudna pochwała wolności.

Dobrnęłyśmy po błocie do zniczowej polany. Woda chlupie pod nogami, w glinie błyszczą kałuże. Teraz dopiero widzę, że polana wcale nie jest tak piękna, jak wydawała mi się wczoraj. Topniejący śnieg odsłonił hałdy śmieci. Teraz widać, że linie okopów i liczne pozostałości lejów po bombach z czasów drugiej wojny wypełniają sterty tego, co skrzętni wieśniacy postanowili usunąć z domów, a co nie chciało się zmieścić do pieca. Opony od ciągników. Emaliowane miski i gary. Plastik i szmaty. Pampersy (a jednak nie wszystkie spłonęły) i podpaski. Stare wózki dziecięce, połamane zabawki, scentrowane koła od rowerów, połamane, dziurawe, zardzewiałe, sparciałe, wypłowiałe wszystko. Znicza nie widzę. Jestem wściekła, że Świątkowice

nawet las zapaskudzą, nawet tu się odcisną, choć wywożenie śmieci spod domu to tylko trzynaście złotych miesięcznie. Polska: okopy, w których kilkadziesiąt lat temu siedzieli bohaterowie, a teraz leżą miski i kalosze podziurawione przez ich potomków. Znicz też pewnie ktoś tutaj wyrzucił z innymi śmieciami, a ja nadinterpretuję.

Skarpetki mi przemokły, buty wyglądają jak ulepione z błota. Niuśka też tak wygląda. Zaczynam tęsknić za mrozem.

W domu zimno. Matce udało się przykuśtykać do kuchni z tą nogą w gipsie i usiłuje napalić w piecu.

– Przepraszam. Usiądź, zajmę się wszystkim – mówię. – Pies musiał wyjść.

Kiwa tylko głową, a ja wcale nie mam zamiaru się zastanawiać, co sobie myśli. Jestem wściekła po tym, co widziałam na polanie. Mówię przez zaciśnięte zęby:

– Co za idioci rozsypali w tym lesie tyle śmieci? Jak można? Czy nikomu to nie przeszkadza?!

– A gdzie ty chodziłaś?

– Na tę polanę, gdzie kiedyś z panią Stańską oglądaliśmy okopy z drugiej wojny. Teraz są pełne śmiecia. Patrioci, kurde! Miasteczko jest ohydne, to jeszcze i las zeszpecili. Rzygać się chce.

– Ja tam nic nie wożę – płoszy się matka. – I nikt, kogo znam.

Zęby ciągle mam zaciśnięte, nie wiem, dlaczego wściekłość powoduje, że zaciskam zęby, może to jak u psów: zacisnąć i szarpać.

Walę nad patelnią nożem w jajka. W spiżarni znalazłam jeszcze paprykę w occie i ogórki kiszzone. Czy takie rzeczy mają witaminy? Matka jest jeszcze bledsza niż wczoraj. Kupię jakąś marchewkę, jabłka, surówki jej utrę. To nie będzie drogie. Stawiam talerz z jajecznicą na stole.

– Mogę pożyczyć samochód?

– Weź.

Chcę spytać, czy bak pełen, ale jakoś nie mam śmiałości. Sama nie wiem, dlaczego wstydzę się przyznać, że po dziesięciu latach w stolicy nadal nie mam grosza przy duszy.

Półowa baku, wystarczy. Znowu ląduję u Marleny na podwórku. Trzy samochody, parkuję na czwartą. W drzwiach wita mnie teściowa Sebastiana, równie zdystansowana co poprzednio, natomiast Marlena znowu jest spłoszona. Wręczam jej prezent dla dziecka, tym razem znalazłam w świątkowickim saloniku prasowym plastikową miseczkę z pingwinami z Madagaskaru, do kompletu łyżeczka i kubeczek, sześć dziesięć za komplet. Marlena troszkę się rozkrochmała.

– A widzisz, że lepiej jeździć samochodem? – zauważa z satysfakcją.

– Lepiej. Przyjechałam zobaczyć małego.

Na stół wjeżdża herbata z ciastem. Dzisiaj szarlotka.

Czy istnieje jakiś delikatny sposób, by spytać, czy była z Sebastianem szczęśliwa? Sączę herbatę, szukając słów, aż w końcu wypalam z grubej rury:

– Kochałaś go?

Od razu wie, o kogo mi chodzi.

Kiwa głową twierdząco.

– Naprawdę pobralibyście się, gdybyś nie wpadła?

Marlena milczy zażenowana moją bezczelnością.

– Byłaś z nim szczęśliwa? – Nie ustępuję.

– Bardzo był za dzieckiem.

O umarłych albo dobrze, albo wcale – głosi łacińska maksyma, która w Świątkowicach i okolicach trafiła na całkiem żyzny grunt.

– Tęsknisz za nim?

– Szkoda, że Gabryś nie pozna swojego tatusia – wymiguje się.

– Jak wam się żyło?

– Krótko. – Dziewczyna czerwieni się, dotyka twarzy, jakby chciała zasłonić oczy. Sweter opada jej do łokci, przedramiona ma całe w żółknących siniakach.

Chwytam ją za nadgarstek, przyglądam się.

Znam to dobrze. Ślady zaciśniętych palców. Sprzed tygodnia albo dwóch.

– On? – pytam. – On ci to zrobił?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Ja wcale nie zawsze byłam w porządku. Ja, rozumiesz, dopiero

uczyłam się być mamą.

– On ci to zrobił?

– Zdarzało się. Bo ja czasem w nocy nie słyszałam, że dziecko płacze.

Jak strasznie słuchać czegoś takiego o własnym bracie. Na mojej twarzy chyba maluje się zgroza, bo dziewczyna zaraz dodaje:

– Ale przecież nie mocno. Tak szturchnął, żeby mnie obudzić. Ścisnął i mnie do dzieciaka prowadził. A co to ma teraz za znaczenie...

Szturchnął ją i ścisnął za ramię. W nocy. Czy tam kiedy jej się nie chciało wstać do małego.

Wstyd mi za mojego brata. Nawet jeśli Marlena była z nim szczęśliwa, to dłużej od niego przeżyły siniaki, które jej zrobił. Nie wszystkich umrę, odcinek drugi. Głupio mi jakoś.

A potem całuję Gabrysia w czołko i wyjeżdżam z podwórka. Już ciemno. Po paru minutach jestem pod naszym domem, ale mijam go i skręcam w las. Po mokrej drodze jedzie się fatalnie, mam nadzieję, że się nie zakopię w błocie. Parkuję na wysokości polany z okopami. Wsiadam, daję krok do przodu, zapadam się po kostki w czymś lepkiem, co, mam nadzieję, jest błotem. Ale właściwie nie muszę iść dalej, widzę stąd. Wśród drzew migocze czerwone światełko.

Płonie kolejny znicz.

Idioci. Jeśli w ten sposób chcieli zapodać jakieś „Chwała bohaterom”, to najpierw powinni tam posprzątać.

Staję u matki w drzwiach, patrzę na pogrążone w półmroku wnętrze, lampka świeci z mocą jakichś dwudziestu watów pod hasłem oszczędność.

– Gdzie byłeś? – pyta słabym głosem.

– U Marleny. Wiesz, że ma siniaki na ramionach?

– No i co z tego?

– Sebastian jej zrobił.

– Tak powiedziała?

– Ścisnął ją za ramię, kiedy nie chciała wstawać do dziecka. Przypomina ci to coś?

Matka przeżuwa tę rewelację. Wiedziała? Nie wiedziała?

– Wstydziłaś się mówić takie rzeczy o swoim bracie.

– Może miał to po tatusiu.

Matka podnosi raptownie głowę.

– Jak śmiesz! Wyjdz! Wyjdz stąd!

No to wychodzę. Nic się między nami nie zmieniło.

Pokój Sebastiana jest brzydki i smutny jak wspomnienie po nim. Wcale mi się nie chce tu siedzieć, ale gdzie mam się podziać? Wyjmuję z plecaka czytnik. Może wreszcie się uda, bo nie byłam w stanie przeczytać ani słowa, odkąd się dowiedziałam, że umarł mój brat. Może teraz. Richard Flanagan Kłaśnięcie jednej dłoni. Dobry tytuł. Historia o dziewczynie, która po latach przyjeżdża do ojca, by rozmawiać o przeszłości. Kiedyś, dawno, opuściła ich matka. Widzę tu pewną symetrię sytuacji, ale po paru akapitach kwiecistość języka mnie pokonuje. Widzę słowa, nie widzę myśli. U mnie w życiu jest zdecydowanie mniej kwieciście. Za boleśnie, żeby skupić się na czymkolwiek innym.

Może właśnie tego nie wytrzymał mój brat. Uciekł, najpierw do żony, potem z tego świata. W Świątkowicach cierpienie aż kipi, każdy zamyka je w sobie, ale ono wylewa się porami, trudno go nie zauważyć. Ohydny, nietrzeźwy od rana Piotrek Bożków pewnie też zalewa jakiegoś robaka.

– Andżelika! Andżelika! – słyszę słabe wołanie i początkowo nie biorę go do siebie, jako że od lat używam innego imienia. – Andżelika!

To woła moja matka. Będziemy się przepraszać? Nie mam ochoty, wiem swoje. Nie będę się bawić w przymykanie oczu na to, że agresję w naszej rodzinie też się dziedziczy.

– Andżelika!

Idę do matki. Lampka nadal świeci, ona pólsiedzi na łóżku.

– Źle się czujesz?

– Muszę ci coś powiedzieć.

Nie wiem, czy chcę tego słuchać. Dlatego zostaję w progu, gotowa do odejścia w każdej chwili.

– Nie pytałaś o ojca. Dlaczego odszedł, zaledwie kilka dni po tobie... A ja właśnie dlatego do ciebie dzwoniłam. Tyle razy wydzwaniałam. Chciałam ci powiedzieć, że możesz wracać. Że

tutaj już jest bezpiecznie.

Czy to by coś zmieniło, gdybym wtedy, dziesięć lat temu, odebrała telefon od niej?

– Brat ci nie powiedział, że ojca już nie ma? – draży matka.

– Mówiłam ci. Brat się przecież nie odezwał do mnie ani razu. Ani razu przez te wszystkie lata. Dowiedziałam się od cioci Bożeny.

Wycieram oczy nadgarstkiem.

Mama zamiera, wyciąga do mnie ręce, ale udaję, że nie widzę. Przytulenie się byłoby łatwym przełamaniem lodów. Zbyt łatwym.

– Szkoda, że nie odebrałaś ode mnie telefonu. Bo wtedy bym ci powiedziała, że ojciec nie odszedł z domu sam. Ja mu kazałam, żeby się wynosił, bo po tym wszystkim nie ma tu dla niego miejsca.

Dłonie zaciska w pięści, nawet głos ma silniejszy.

Siadam na skraju jej łóżka. Dopiero teraz widzę, że to inne łóżko niż to, które dzieliła z ojcem. Jak mogłam tego od razu nie zauważyć. Sporo węższe. Inne.

– A ciocia Bożena mówiła, że sam odszedł.

– Przecież nie mogłam przed ludźmi wchodzić w szczegóły. Zaraz by gadali. A po co nam to? Grunt, że go nie ma.

Co tam rząd, parlament, sądy i czwarta władza. Tu rządzi piąta: ludzkie gadanie. Ale mimo tego gadania moja matka zrobiła, co zrobiła. Przejęła się.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś o tym od razu, przed pogrzebem? – Patrzę jej w oczy, chyba pierwszy raz od przyjazdu. – Przepraszam – szepczę.

Tylko kręci głową. Chyba usłyszała.

Czynności higieniczne przy matce są dziś mniej uciążliwe, bo i wrogość między nami mniej kanciasta, Sobótki ją zresztą kapały, ja tylko pomagam jej usiąść na sedesie.

Ta noc też jest lepsza, mimo że nadal nie mogę zasnąć na leżąco. Ale już tak bardzo nie boję się wejść w sen, gdy wiem, że matka jednak stanęła po mojej stronie.

Późno i tchórzliwie.

Ale stanęła.

Wstaje. Matka kuśtyka po kuchni, stukając gipsem po podłodze, oparta o łaskę, którą odziedziczyła po babce i która z jakichś powodów wydaje się jej wygodniejsza niż kule pożyczone ze szpitala. Zrobiła kanapki.

– Jedz. Zaraz zadzwonię do Gostkowskiego po wędliny. Ofiarował się, że czasem podrzuci.

Memento dla Sebastiana: wędliny. Znowu mam łzy w oczach.

– Niedobre? – niepokoi się matka.

– Tęsknię za Sebastianem.

Jak dobrze móc to powiedzieć.

– Ja też.

I znowu nadchodzi ten moment, kiedy mogłybyśmy się przytulić. Ale i tym razem go nie wykorzystuję. Stwardniałam w tej Warszawie, zrobiłam się kolczasta i staram się stać bez podpórki. Płaczę. Matka pochyla się, przesuwając w moim kierunku pudełko chusteczek. Nie mogę przestać. Podnosi się, kuśtyka w moją stronę. Kładzie mi rękę na plecach, głaszcze dredy, na więcej się nie odważa.

Mama gapi się ponuro w resztki kiełbasy i martwi się o Mareczka.

– Idź, spytaj, dlaczego drugi dzień nie przychodzi.

Idę więc.

W domu u Bożków cisza, jeśli nie liczyć wściekłego chrapania, które słyszę, nim jeszcze otworzę drzwi. W kuchni stoi, pociągając nosem, pani Halina Bożek, sieka kapustę, chyba na bigos, bo żeberka już w garze na ogniu.

– Mareczka coś dawno u nas nie było.

– Ojciec mu kazał w domu siedzieć, co się dzieciak będzie po ludziach włóczył.

Chrapanie za ścianą milknie.

Rozlega się wrzask.

– Z kim tam mamusia rozmawia?! – Zdrobnienie wywrzeszczane w ten sposób staje się zgrubieniem.

– Sąsiadka przyszła.

– A obiad kiedy będzie?!

– Robi się, synuś, robi!

– Mogę z nim zamienić słówko? Z Marczkim, nie z Piotrem – pytam.

– Ja nie wiem – bąka pani Halina, a jej szatkujący nóż przyspiesza.

– Proszę. Mamusia o niego pytała.

Robię prozalne oczy, co może nawet poskutkować, zważywszy na to, że już od paru dni nie maluję kresek na powiekach (kredka została w Warszawie), no i włosy mam upchane pod czapką.

Nie dowiem się jednak, czy odniosłabym sukces, bo oto otwierają się któreś drzwi i wychodzi młody Bożek, zaspany, zapuchnięty, czerwony czemuś na twarzy. Pociera oczy i mówi:

– Dzień dobry.

– Cześć – odpowiadam.

– Ojciec ci nie kazał wychodzić. – Szatkujący nóż zamiera.

– Przywitać się przyszedłem. Przyszedłem. Chcę.

– Już się przywitałeś. – Babka próbuje wypchnąć go z kuchni, ale młody stoi twardo i gapi się na mnie.

– Mam pomóc przy pani Sylwii? – pyta z nadzieją i obawą jednocześnie.

Patrzę mu długo w oczy, w końcu muszę skinąć głową.

– Tak. Sama nie daję rady. Mamusia też strasznie chciała cię widzieć.

– Ale lepiej... – odzywa się pani Halina, lecz chyba nie wie, co lepiej, bo milknie i spuszcza wzrok na kapustę.

– Zapłacimy Marczkowi za pomoc. Tyle dla nas robi, wypada się odwdzięczyć – rzucam szybko i zaraz zaczynam się martwić, czym mu zapłacimy. Chyba, kurde, ziemniakami z piwnicy.

– Piotruś?! – krzyczy pani Halina. – Słyszysz? Zapłacę Marczkowi! Może iść?

– Niech idzie! – wrzeszczy Piotruś. – I niech nie wyda na głupoty, tylko zaraz do domu przyniesie.

Młody już jest przy drzwiach, narzuca kurtkę.

– Czapkę weź, może trzeba będzie wyjść z psem – zawracam go ze schodków.

Zabiera czapkę, zrobiłby wszystko, o co go poproszę, żeby tylko

stąd szybko wyjść. Zbiegamy po schodkach ganku.

– Co robiłeś wczoraj? – pytam.

– A tam takie... Grałem trochę. Znaczący w gry. Po papierosy dla tatusia chodziłem. Musiałem szybko obrócić, bo się denerwował.

– Bardzo nam cię brakowało – wyznaję, a on charkliwie pociąga nosem, że przecież nic takiego. Ale widać, że zadowolony.

Matka wita młodego Bożka z uśmiechem. Dawno nie widziałam tego uśmiechu. Będzie ponad dziesięć lat.

– Brakowało cię tutaj – mówi od razu. Dziwię się, jakie mimo wszystko jesteśmy podobne. – Leć po drewno.

Więc młody Bożek leci.

– Strasznie dręczą to dziecko – mówi matka.

– Zauważyłam.

– Tylko tak mogę mu pomóc, że go tu biorę, kiedy się da.

– Widzę.

– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– Przeciwnie.

Wyraźnie jej ulżyło.

– Ten jego ojciec... Piotrek znaczący... Pamiętasz Piotrka? Wyrósł taki sam jak jego ojciec. Kiedy był mały, krył się przed nim po kątach, a teraz to przed nim się kryją.

– Trochę jak u nas. – Nie umiem sobie darować.

Matka robi się czerwona.

– Nie widzisz, jak bardzo mnie rani takie gadanie?! Jak możesz?! Jak w ogóle możesz?

I milknie, bo oto do domu wtacza się, obskakiwany przez pełną entuzjazmu Niuškę, młody Bożek z koszem i płachtą załadowanymi drewnem. Zrzuca je z hukiem, a potem zbiera i układa przy piecu, pociągając nosem.

– Katar masz? – pytam.

– Skąd.

– To dobrze. Przejdiesz się ze mną i z psem. Dziś nie ma mrozu.

– Strasznie dużo chodzi ten pies.

– Pies musi chodzić i biegać dużo więcej niż człowiek, inaczej cierpi.

– Nasz pies nie cierpi. Nasz pies szczeka i jest zły.

Jak twój stary – mam ochotę mu powiedzieć, ale się powstrzymuję.

Nogi same niosą mnie na polanę z okopami. Młody sadi obok mnie wielkie kroki, próbuje udawać mężczyznę. Niuśka zatacza większe i mniejsze kółka. Błoto trochę wyschło, nawet droga wydaje się udeptana. Albo rozjechana, bo widzę ślady dużych opon. Ciągnik, który je zostawił, z przyczepką, zaparkowano tuż przy polanie z okopami. Wokół kręcą się Sobótki. Naprawdę? Tak, nie zdaje mi się: sprzątają. Niuśka rzuca się z entuzjazmem na zapracowane panie, a one każą jej iść stąd, bo kto wie, co tu wyrzucano i jakie to trujące, niech pies nie rozgrzebuje. Przypinam więc Niuśce smycz i podchodzimy z młodym Bożkiem bliżej. Tak, są tu wszystkie trzy, bez mojej matki oczywiście. Mają rękawiczki, maseczki chirurgiczne na twarzach i generalnie wyglądałyby jak pracownicy prosektorium, gdyby nie stał za nimi traktor z przyczepką.

Uwiążuję Niuśkę na smyczy, choć wcale się z tego nie cieszy, czasem jednak trzeba zarządzić cudzym życiem. Młody Bożek ma ją trzymać, a ja biorę wolne rękawice i pomagam Sobótkom ze starą kuchenką, bo nie dają rady same jej przenieść na przyczepkę.

– Drobna jesteś, ale silna – chwali ciocia Agnieszka.

– Dokąd to wywieziecie?

– Poprosiliśmy w gminie o kontener – odpowiada ciocia Bożenka. – Fajnie, że przyprowadziłaś pomocnika.

– Niech się wdraża.

– Niech się co?! – pyta zaniepokojony Mareczek.

– Ucz się. Nie wolno śmiecić w lesie.

– O, nasza stara miska!

Młody macha ręką w kierunku emaliowanego naczynia z dziurą.

– No, Mareczku. Uwiąż Niuśkę do drzewa i zbieraj.

Sobótki przewidująco zgromadziły w kabinie ciągnika kilka zapasowych par rękawic.

– A dlaczego?

– Bo śmieci brzydko wyglądają. Zatruwają las i rośliny. Zatruwają zwierzęta, które tu mieszkają. Miejsce dziurawej miski

jest na śmietniku, nie na polanie.

Bożek przekrzywia głowę, nieprzekonany.

– No, do roboty – rozkazuję. – Skoro jedni wyrzucają, inni muszą zbierać. Po jednym. Tak, żeby zmieściło się jak najwięcej.

Młody bez przekonania podnosi dziurawą miskę, rzuca z hukiem na przyczepkę. Schyla się po jakiś kalosz. Danuśka patrzy na niego, ale nic nie mówi, sama układa ciaśniej te śmieci, które raczył cisnąć na przyczepkę.

Już czubato.

– Uff, kawałek okopu gotowy – wzdycha Bożena. – Zawsze coś do przodu. – Śmieje się.

Szyf może też się czasem śmiać.

Odprowadzam ją kawałek na bok.

– Ojciec nie odszedł – mówię. Nie ściska mi się żołądek przy słowie „ojciec”, co zaliczam do sukcesów. – Matka mówi, że sama go wyrzuciła z domu.

– Tak mówi? – Ciocia Bożena chwyta grabie, żeby zagarnąć śmieci z jakiegoś zapomnianego kawałka.

– Tak mi powiedziała. Wyrzuciła go z domu. Po tym... No, po tym.

Ciocia Bożena patrzy na zębki grabi.

– Trudne to wszystko, Andżelika, uwierz mi. Naprawdę trudne.

I prostuje się, stękając.

– Źle się czujesz?

– Dawno się tyle nie ruszałam. Zima w końcu.

Ale mnie nurtuje co innego niż zima.

– Wiedziałaś, że moja matka wyrzuciła go z domu? Na pewno wiedziałaś, prawda? Ale nigdy mi nie powiedziałaś, gdy się widziałyśmy w Warszawie.

– Nie chciałaś nic słyszeć o Świątkowicach. I wcale się temu nie dziwiłam.

– Miałam prawo wiedzieć.

– A to by coś zmieniło?

Dobre pytanie. Bardzo dobre.

Przykrywamy przyczepkę siatką. Rozglądam się wokół. Nie wystarczy nawet dwadzieścia przyczeppek. Ani dwa kontenery.

Ani tydzień pracy. Zresztą jaki w tym sens, skoro zaraz na pewno ktoś „oszczędny”, kto lubi mieć czysto w domu i koło domu, przywiezie tu kolejną porcję śmiecia.

Sobótki wiozą śmieci do kontenera, a my z młodym Bożkiem łazimy po polanie, po okopach, przypominam sobie, jak skakaliśmy po nich z Sebastianem i Dawidem.

– Nie wiesz, kto tu ciągle stawia znicze?

– Co to znicze?

– Takie świeczki na groby.

– Czerwone?

– Tak, te były czerwone. Co za dziwny zwyczaj stawiać znicze w środku lasu.

Młody coś pomrukuje.

– Co mówiłeś?

– Że dziwny zwyczaj.

– Ano.

– Ano – powtarza jak papużka, śmieszny jak nie wiem co, i pociąga nosem.

MARECZEK

Ano. W Świątkowicach nikt tak nie mówi. Teraz będę mówił ja. Jak Aniela wyjedzie – tylko ja. Ano.

Pewnie, że wiem. Wiem, skąd wzięły się znicze na śmieciowej polanie. Dużo wiem, bo przecież nie mogę cały czas stać przy płocie, czasem chodzę za ludźmi. Dlatego zauważyłem. Też myślałem, że to dziwne, ale ludzie robią dużo dziwnych rzeczy. Co to za pomysł nosić świeczki do lasu. Moja babcia i mamusia noszą świeczki tylko na cmentarz, do dziadziusia. Najtańsze, bo ludzie i tak kradną. Zawsze stoimy i czekamy, aż świeczka wypali się przynajmniej do połowy. Kiedy się pali, wtedy trzeba modlić się za dziadziusia. Modlę się. Powtarzam, żeby Pan Bóg wziął go do nieba, jeśli jeszcze tego nie zrobił. Jeśli jeszcze nie zrobił, to gdzie teraz nasz dziadzius siedzi? Babcia nie lubi, żeby o to pytać. Nie pamiętam dziadziusia, bo byłem malutki jak umarł.

Śmiesznie pomyśleć, że leży pod tym płaskim kamieniem i zmienia się tam w zombie. A może już jest nawet szkieletem. Chciałbym kiedyś zobaczyć, jak teraz wygląda, skoro nie mogłem zobaczyć, jak wyglądał przedtem.

Jakbym chciał, mógłbym Anieli powiedzieć, skąd tutaj te znicze. Wiem więcej niż ona i przez to czuję się ważniejszy. Kiedy jej powiem, przez chwilę będę jeszcze ważniejszy, bo będzie wiedzieć, że to ja powiedziałem. Ale potem będziemy wiedzieć oboje i już nie będę ważniejszy. Więc nic nie mówię. Chociaż dobrze pamiętam. No bo kiedyś, kiedy jeszcze nie było ferii, ja i tak nie poszedłem do szkoły. „Nie poszedłem” się mówi. A jak się myśli? Więc wtedy chodziłem daleko od domu, żeby babcia nie widziała, że wagaruję. Chodziłem po lesie, potem zobaczyłem, kto przyjechał tutaj samochodem, zapalił te znicze i postawił. Gdy samochód odjechał, podeszłem, znaczy podszedłem, i zdmuchnąłem je, jeden po drugim. A potem nie mogłem spać, bo nie wiedziałem, czy to nie był zły uczynek.

Ano nie wiedziałem.

ANIELA

Znowu w domu. Młody ma niezłą kondycję. Fajnie się z nim chodzi, nie jest głupi. Tylko nieokrzesany. Aż kusi mnie, żeby go troszkę wychować. Wy tłumaczyć dzieciakowi, że pies ma potrzeby. Że las ma potrzeby. Że śmieci mają swoje miejsce, które nie znajduje się w lesie. Ciekawe, co by zrobił z tą wiedzą. Ciekawe, co by zrobił z nią w Świątkowicach.

– Sobótki sprzątają polanę z okopami – oznajmiam matce nowość z ostatniej chwili.

– To dobrze. Poprosiłam je o to. Po tym, co mi powiedziałaś.

Robi mi się miło.

– Ciocia Bożena jest z nimi. – Patrzę na matkę uważnie.

– To dobrze. Bo powinna.

Wszyscy powinni tak naprawdę. Cała ta cholerna wiocha powinna lecieć do lasu i pozbierać, co tam nawyrzucali.

Matka zasiada w kuchni z młodym Bożkiem. Będą zagniatą kopytka. Chłopak wałkuje ciasto palcami. Paznokcie ma czarniawe, mam nadzieję, że przynajmniej ręce czyste.

Co tam, w sumie i tak kopytka idą do wrzątku.

Fajnie razem wyglądają, dzieciak z moją matką. Gdyby zostali razem, w tym domu, obojgu byłoby lepiej.

A tak wszystkim będzie źle.

MARECZEK

Nie lubię pani Sylwii. Tak sobie powtarzam. Nie lubię pani Sylwii. Staram się nie lubić nikogo, bo potem wszyscy znikają. Lubiłem tego Sebastiana, to się przeprowadził, ożenił i umarł. Lubiłem panią Stańską, to nie uczy już mojej klasy, bo została dyrektorką. Pewnie mógłbym lubić dziadziusia, tak myślę, ale wziął i umarł tak dawno, że go nawet nie pamiętam. Lubiłem kaczoza Stefana, bo podchodził do mnie i wsadzał mi dziób pod nogawkę, a ja go wtedy głaskałem. W końcu zrobili z niego pieczoną kaczkę na moją komunię.

Pani Sylwii staram się nie lubić.

Sylwia jest bardzo zielonym imieniem.

– Nic dziwnego – powiedziała mi pani Stańska. – Sylwia znaczy „leśna” po łacinie.

Znaczy, że czuję, co słowa mogą znaczyć po łacinie. Kolejna dziwna rzecz na świecie.

Pani Sylwia jest smutna, bo jest sama. Tak mówi moja babcia. Że kiedyś pani Sylwia miała męża i dwoje dzieci, teraz nie ma nikogo, tylko córkę marnotrawną. Mąż od niej uciekł, córka uciekła, syn uciekł, a potem umarł. Zastanawiam się, co jest takiego w pani Sylwii, że wszyscy od niej uciekają. Chciałbym jej powiedzieć, że ja nie ucieknę, ale przecież tego nie wiem. Mam zasadę, żeby nie myśleć o jutrze, a wieczorem o pojutrze.

ANIELA

Wczesny wieczór. Ktoś puka do drzwi wejściowych i zaraz sam naciska klamkę, jak to tutaj przyjęte. Młody aż się kuli na krześle. Kurde, znam ten stan. Do domu jednak nie wtacza się jego stary, lecz wchodzi dużo hałasu, ciemnych loków i białych zębów, czyli Dawid. Z tego wnioskuje, że ostracyzm, jaki dotyka w tym domu ciocię Bożenę, jego akurat nie obejmuje. Zdecydowanie nie obejmuje, bo Dawid zaraz zaczyna roztaczać urok, uśmiecha się, zagaduje i flirtuje, więc nawet na twarzy mojej zbolełej matki pojawia się lekki uśmiech. Zamknął sklep, bo przy sobocie robi to wcześniej, i wpadł spytać o zdrowie cioci Sylwii.

Matka pokazuje mi, gdzie nalewka, wyjmuje karty, gramy w kierki aż miło, nawet zazwyczaj oficjalny Bożek się lekko rozkrochmała. Patrzą na Dawida z wdzięcznością, a on się do mnie uśmiecha. Pasujemy do siebie jak dwa puzzle, zawsze tak było.

– A teraz ją porywam, jeśli pani pozwoli – oznajmia Dawid. – Weź kostium kąpielowy.

– A macie tu gdzieś basen?

Uśmiecha się tylko tajemniczo.

Znowu wchodzę do swojego pokoju, przetrząsam zawartość szuflad w poszukiwaniu czegoś do pływania. Znajduję jakieś stare bikini. Będzie musiało wystarczyć. Dopiero kiedy już je wsunęłam do kieszeni swetra, uświadamiam sobie, że wizyta w moim starym pokoju przebiegła prawie bezboleśnie. I właśnie teraz, kiedy o tym myślę, puls przyspiesza. Wychodzę więc szybko, zamykam drzwi, opieram się o nie. Oddycham głęboko.

– Aniela! – woła Dawid.

Słyszę, że matka się dziwi:

– Dlaczego tak na nią mówisz?

– Bo tak kazęła.

I znowu będę się musiała tłumaczyć, przecież jej nie powiem, że głupio się w Warszawie nazywać Andżelika. Nie chce mi się znowu kajać, w tym tygodniu zdecydowanie przekroczyłam normę przeproszania.

– Aniela? – mówi matka na mój widok.

– Łatwiej się wymawia, a znaczy przecież to samo – rzucam i porywam płaszcz z wieszaka.

Nie jedziemy daleko. Kawalek za wsią Dawid wjeżdża w boczną drogę, parkuje między drzewami.

– No, idziemy.

Basen? Tutaj? I nagle mi się przypomina. To dróżka, którą Sobótki chodziły do kąpieli.

– Nie, nie wierzę – oznajmiam. – Nie idziemy nad rzekę. Nie w lutym.

– Pewnie, że idziemy.

– Też mi spacer po ciemku.

– Spacer? A kto tu mówi o spacerze. Będziemy pływać. Ty też.

– I ja też – dorzuca Mateusz, który stoi kawalek dalej, przy swoim samochodzie. – Już myślałem, że się nie pojawicie.

Cieszę się, że go widzę. Całus w policzek jest bardzo przyjemny.

Dawid zostawia włączone światła w samochodzie. Łąka, zarośla straszą w tej zimnej poświacie.

Podchodzimy do krzewów jeżyn. W lutym łyse, ale ciągle groźne, wyciągają te swoje cholerne wici upstrzone haczykami, których potem nie można wyplątać z ubrań ani skóry.

– Nie mów, że wreszcie znalazłeś przejście.

– Przecież zawsze je znałem. Nie pamiętasz?

– I kąpiecie się tutaj w soboty?

– Przez całą zimę. Jak trzeba, wycinamy przerębę. Latem to żadne wyzwanie. Teraz jest fajniej, zobaczysz.

Chyba zwariował. Nawet Sobótki się w takie rzeczy nie bawiły. Zimno jest, wiatr podwiewa mi płaszcz, na samą myśl, że miałabym tu dygotać bez tych wszystkich warstw, robi mi się nieswojo. Mateusz coś tam majstruje przy kiju wbitym w ziemię. Przytwierdzono do niego zielonkawy drelich. Mateusz za kij unosi drelich razem ze skłębionymi wąsami jeżyn. Tworzy się wąskie przejście przez krzewy. Dawid wchodzi w nie pierwszy. Idę za nim. Światło reflektorów nieco ułatwia sprawę. Kolejny drelich podnosi Dawid. I już jesteśmy nad wodą. Przy brzegu trwają na niej jeszcze resztki lodu.

Tamci, zagrzewając się okrzykami, zrzucają szatki. W świetle samochodowych reflektorów widzę, jak ładnie umięśniony jest Mateusz, za to Dawid w majtkach wygląda jeszcze bardziej chłopaczkowato niż w ubraniu. Rozgrzewają się na brzegu, machają ramionami.

– Trzy, cztery! – I wbiegają do wody, drąc się nieprzytomnie, że zimno. Zatrzymują się tam, gdzie woda jest do pasa. – Raz! – Zanurzają się po szyję. – Dwa! – Znowu. Dochodzą do pięciu i parskając, wybiegają z wody.

– To jest raj! – krzyczy Dawid. – To jest orgazm! To jest życie! – I ciszej, już do mnie: – I co, masz ochotę? To są endorfiny!

Kręcę głową, otulam się szalikiem, aż przykro patrzeć na tych wariatów. Tamci lecą w cień, żeby zrzucić kąpielówki i przebrać się w suche ciuchy. Niespecjalnie kryją się za krzakami, ale i ja niespecjalnie się im przyglądam.

– Żałuj. Nie wiem, czy zasłużyłaś w takim razie na herbatę z prądem.

– Zasłużyła na wszystko! – oponuje Mateusz. – Jedziemy do mnie.

Sprzeciwiam się, mówię że muszę posiedzieć z matką, że ostatni wieczór, że kolacja, ale są nieubłagani. I całe szczęście, bo z nimi jest weselej i nie muszę ani razu przeproszać, mogę pokazać dredy i wyciągnąć stopy w dziurawych skarpetkach. Mogę dolewać sobie wódki do herbaty i śmiać się głośno, nikt mi też nie powie, że nie wypada, bo mój brat nie żyje. Śmiech trochę znieczula. Mój brat nie żyje, a kiedy jeszcze żył, był przemocowcem jak jego ojciec, i im więcej o tym myślę, tym więcej alkoholu w siebie wlewam. Wódka pali przełyk, ale koi duszę. Obaj chłopcy są śliczni i gdybym kiedykolwiek planowała związek z jakimkolwiek mężczyzną, to wzięłabym jednego z nich. Albo obu, bo tworzą ładną całość. Dotykamy się stopami pod stołem jamnikiem, chętnie bym się podotykała czymś jeszcze, jest mi ciepło i coraz lepiej, słucham ich przekomarzanek, sama czasem rzucę jakimś dowcipem, aż przymykam oczy z zadowolenia.

Kiedy je otwieram, w pokoju jest ciemno i cicho. Leżę przykryta,

z poduszką pod głową. Podrywam się, sprawdzam. Tak, mam na sobie bluzę i spodnie, stanik i majtki. Nikt mnie nie rozbierał i chyba nikt nie zgwałcił, przykryli mnie tylko kołdrą. Buty, jak pamiętam, sama zdjęłam już wcześniej. Gdzie oni są? Widzę poświatę dochodzącą z drugiego pokoju, słyszę stłumione szepty, chichoty. A potem skrzywienie. Skrzywienie łóżka. Rytmiczne skrzywienie łóżka.

Robi mi się nieswojo. W pokoju obok ktoś uprawia seks.

Nie lubię słuchać tych odgłosów. Zawsze mnie krępują. Poza tym chce mi się siku i muszę wracać do domu. Czy zapamiętałam, gdzie u Mateusza jest łazienka? Wymykam się boso na korytarz, mijam pokój pełen odgłosów, dochodzę do łazienki. Zimno tam i pachnie kanałem, deska sedesowa też lodowata, tak jak podłoga ze śliskich kafli.

Spuszczać wodę? Nie spuszczać? Nie chcę, żeby mnie usłyszeli.

Ale kto usłyszy? Kto tu z kim uprawia seks?

Nie, przecież nie zostawię żółtych siuśków w cudzym sedesie. Naciskam cicho spłuczkę. Ta huczy z siłą wodospadu. Piję wodę z kranu. Wychodzę z łazienki. Jeszcze nie zdążyłam wyłączyć światła, gdy otwierają się drzwi drugiego pokoju. Wychodzi zza nich Mateusz, dopinając koszulę. Spodnie ma już na szczęście zapięte.

– Myśleliśmy, że będziesz spała do rana.

– A która jest?!

Martwię się o Niuśkę.

No dobrze, o mamę też. O mamę, która została sama w nasz ostatni wspólny wieczór.

– Dopiero druga.

– Druga w nocy? Dawid już poszedł? Szkoda, że mnie nie obudził.

Na twarz Mateusza wypełza rumieniec. Nic z tego nie rozumiem.

I wtedy widzę, jak zza jego pleców wygląda Dawid. Upycha krzywo zapiętą koszulę w spodniach. Przeciąga dłonią po lokach, zwichrzonych jeszcze bardziej niż zawsze. A ja ciągle nie jestem pewna, o co w tym wszystkim chodzi.

W końcu zaczynam rozumieć. I jestem jeszcze bardziej zdziwiona. Dałabym głowę, że ci, którzy zostali w naszej wiosce, będą na sto procent hetero, natomiast wszyscy wahający się w temacie uciekną czym prędzej do jakiegoś większego miasta, gdzie gejom łatwiej żyć. Tymczasem mało że Dawid tu został, to jeszcze sprowadził sobie do tego grajdoła faceta.

– Trzeba mieć jaja, żeby w takiej sytuacji zostać w Świątkowicach – mówię z podziwem.

– Nie ukrywam. Mam jaja – uśmiecha się Dawid, a Mateusz klepie go po plecach. Obaj się troszkę rozluźnili.

– A ja się już zastanawiałam, za którego z was dwóch powinnam wyjść za mąż.

– W sumie nic straconego – oznajmia Mateusz, a Dawid zaraz strzela go w bok. Mateusz jednak ciągnie: – Dawid zawsze mi opowiadał, że gdyby miał być z dziewczyną, byłby z tobą.

Podchodzę do niego i całuję go w policzek. Potem Dawida. Dawid ma gładszą skórę, Mateusz szorstką, ale cieplejszą. Dawid całuje mnie w czoło, Mateusz przygarnia ręką. Mogłabym tu z nimi nawet zamieszkać, przytulać się co wieczór, pić herbatę z prądem, potem słuchać skrzywienia łóżka Mateusza i spać sobie bezpiecznie na miękkiej kanapie. Nie, nie będę teraz szła do domu, wystarczy, jeśli pojawię się tam o poranku. Matka przecież nawet nie zauważy, że spałam gdzie indziej.

Mateusz parzy herbatę dla nas wszystkich, hojnie dolewa do niej wódki.

– Pytasz, dlaczego nie wyjechałem – przeżywa Dawid. – Rozumiem, że pytasz. Ale ja nie mogłem, rozumiesz, nie mogłem mamusi samej zostawić. Karolina prysnęła pierwsza, nie zastanawiając się. Ale ja uznałem, że po tym wszystkim mnie nie wolno stąd wyjechać.

– Po tym wszystkim?

– To taka trochę głupia opowieść. Naprawdę bez sensu. Nie chcesz tego wiedzieć.

Chcę.

– Rozumiesz, był ten czas, gdy ojciec wyjechał zarabiać do Belgii.

- Pamiętam.
- Mamusia dzwoniła do niego, potem przestała.
- To też pamiętam.

Bardzo dobrze pamiętam, jak rozeszło się po Świątkowicach, że ojciec Dawida wyjechał zarabiać do Belgii, a ciocia próbowała ogarnąć sprawy sklepu, który został na jej głowie. Marnie jej szło, wypłakiwała się Sobótkom, które usiłowały jej pomóc w układaniu towaru, w zrozumieniu, co służy do czego. Myśmy z Dawidem siedzieli u niej na zapleczu, wpadaliśmy zaraz po szkole, odrabialiśmy lekcje, odgrzewaliśmy zupę na palniku elektrycznym, jedliśmy chłodną (oszczędzajcie prąd!) w smrodzie smaru. Posiedzieliśmy chwilę, a potem szliśmy na kotlety do mnie, żeby było sprawiedliwie.

A ponieważ ciocia Bożena niewiele wiedziała na temat tych wszystkich typów uszczerek, syfonów, zaworów, przyznawała się od razu. Gdy klient zadał pierwsze pytanie, zaraz dzwoniła do męża, żeby spytać, gdzie schował daną część lub czy sklep w ogóle nią dysponuje. On jednak często nie wiedział albo już nie pamiętał. Wtedy ciocia prosiła, żeby klienci sobie sami radzili. Ludzie więc wchodzili za ladę i wybierali, czego potrzebowali. A ciocia zapisywała, gdzie co stoi, a później czytała sobie w internecie opisy, zastosowanie.

- To takie moje technikum – śmiała się. – Dla pracujących.

Bo zawzięła się, że poradzi sobie sama. I radziła sobie sama, zwłaszcza że pieniądze z zagranicy chyba raczej nie przychodziły, w każdym razie ciocia smutniała, gdy się ją o to pytało.

- Pamiętam, że ona do niego dzwoniła, do tej Belgii. I ty też – mówię.

– Ja raczej strasznie chciałem do niego zadzwonić. „Drogo”, mówiła mamusia. „Poczekaj, aż on sam zadzwoni. Albo pieniądze przyśle”. A potem mówiła: „Tatuś dzwonił i cię pozdrawia. Tęskni za wami. Wróci. Prezenty przywiezie”. Wkurzałem się na niego. I na nią jeszcze bardziej, że mi nie pozwala z ojcem pogadać. Że ciągle powtarza: „Taniej wyjdzie, jak list napiszesz”. Nigdy nie lubiłem pisać, sama wiesz. Ale wpadłem na pomysł. Kiedy znowu

dzwoniła, z domu, ze stacjonarnego, krótko, bo drogo i same ważne sprawy, wziąłem drugą słuchawkę, co kiedyś Karolina zainstalowała u siebie w pokoju, żeby z chłopakami rozmawiać. Myślę sobie: powiem coś do ojca, chociaż parę słów. I wtedy usłyszałem, w tej słuchawce, że mamusia stoi i gada do pustego telefonu, tylko sygnał buczy w ucho.

Bardzo dziwna opowieść. Akcja zupełnie nie w stylu cioci Bożeny.

– Ale po co miałyby to robić? Po co miałyby udawać?

– Ja też nie wiedziałem. Ale w końcu... W końcu zrozumiałem. Zrozumiałem, że ojciec wcale nie wyjechał zarabiać na nas. Ojciec ją po prostu zostawił. I nas też. Dlatego się z nami nie pożegnał, bo wcale nie miał zamiaru wrócić. I pojąłem, że mamusia chce nas z Karoliną chronić. A przed ludźmi tak ściemnia, żebyśmy się nie dowiedzieli, że nas porzucił. Rozumiesz? Wszystkie te udawanki były dla nas, żebyśmy się dobrze czuli, żebyśmy dobrze o nim myśleli. I o sobie też. Tak to sobie matczyśko wymyśliło... – Dawid wzrusza się i ociera oczy, jak w filmie familijnym. – Potem, kiedy znowu udawała, że z nim rozmawia, nie mogłem tego słuchać, wyłączyłem z domu. Wreszcie przestała się bawić w te telefony, powiedziała nam, że tatuś zmienił numer. I że ma nową rodzinę. Ale ja już wcześniej przestałem o niego pytać. Prosić, żebym mógł zadzwonić.

Pamiętam Dawida z tamtego czasu. Właściwie nie przestawał kpić ze wszystkiego. Ale o tych jednostronnych telefonach nic mi nigdy nie powiedział.

– Nigdy się do was nie odezwał? Nie przyjechał?

– Tak, dzwoni do mnie w każde urodziny – odpowiada.

Przez chwilę nawet mu wierzę, aż przypominam sobie, że to przecież Dawid.

– Sama rozumiesz, że nie mogłem zostawić kobiety, która robiła dla mnie i dla Karoliny takie rzeczy. Nie mogłem zostawić matki samej. Na szczęście Mateusz zgodził się przyjechać do mnie.

I panowie całują się miło w usta.

Happy, kurwa, end.

– Bardzo śmiesznie marszczysz czoło – zaśmiewa się Mateusz.

Dopiero o czwartej rano, gdy już wszyscy ziewamy jak krokodyle, wyruszamy z Dawidem w drogę powrotną. Piechotą, bo przecież samochodem byłoby co najmniej nierozsądnie. Idziemy przez czarno-szare Świątkowice, lekko przykryte mgiełką. Nie, jaką mgiełką, mgła nie ma zapachu, a te opary mają. To smog. Chwilowo mi to jednak nie przeszkadza, bo nadal tkwię w ciepłej, życzliwej, wódczanej rzeczywistości. Z trudem uświadamiam sobie, że dziesięć lat temu też szliśmy tak razem z Dawidem, tyle że w drugą stronę. Światło było wtedy inne, a ja miałam w sobie gniew i strach. Teraz mam w sobie wódkę, ciepło i jestem nasycona cudzą odwagą. Właściwie czuję się prawie dobrze na świecie.

Prawie.

kiedyś

Od nas z domu do stacji Świątkowice jest półtora kilometra. Skupiam się na liczeniu kroków, żeby nie myśleć o niczym innym. Sto dwadzieścia cztery, sto dwadzieścia pięć, sto dwadzieścia sześć. Z każdym krokiem jestem coraz dalej od domu i jego spraw. Sto trzydzieści. Każdy krok jest krokiem w dobrą stronę. Sto trzydzieści dwa. Jest jeszcze chłodno, jak to przed szóstą, ale ptaki obudziły się już dawno. Słońce mam przed sobą, idę od ciemności do jasności, wszystko jest w porządku.

– Wszyst-ko-jest-wpo-rząd-ku – skanduję półgłosem do kolejnych kroków.

Nagle słyszę hałas, oglądam się za siebie. Torba ciężka, ale biegnę w podcienia poczty, chowam się w mroku.

To motocykl. Hurgot motoru może oznaczać jedno: Świątkowice zaczęły się budzić. Nie, nie całe Świątkowice, uświadamiam sobie z ulgą, gdy widzę, że zza zakrętu wyjeżdża Dawid na swojej magicznej maszynie, którą sam kupił i wyremontował. To Dawid, to tylko Dawid. Hamuje przed pocztą z piskiem opon. A ja myślałam, że tak dobrze się schowałam w tych podcieniach.

– Tak wcześniej? Dokąd lecis z tą torbą?

– Wyjeżdżam do Warszawy.

– Na zakupy?

– Na zawsze.

– Kurde, myślałem, że to ja pierwszy stąd wyjadę – narzeka Dawid, ale przypatruje mi się uważniej i milknie. – Jeśli chcesz zdążyć na ten szósta dwadzieścia, to może cię podrzucę?

Ładuję się na tylne siodelko, zanim skończył mówić. Torba łąduje mi na kolanach. Jedź. Byle dalej stąd. Ale cholerny motocykl krztusi się i krztusi, krztusi i krztusi, nie zapala jednak. Dawid zeskakuje, przygląda mu się, po czym kopie w oponę,

chwytą moją torbę i zarządza:

– Lecimy!

Zwalniamy dopiero przed stacją. Pociągu jeszcze nie widać.

Stajemy na peronie, ludzi przybywa, wszyscy dojeżdżają do pracy, będą wysiadać w Warszawie albo przed. Rozglądam się niespokojnie, kłaniam niektórym. Dobrze, że stoję z Dawidem, przynajmniej nikt nie zagaduje. Nie muszę opowiadać, dokąd i po co. Nic nie muszę, bo Dawid milczy, buja moją torbą i pogwizduje pod nosem. Jestem mu za to wdzięczna.

Mam sto trzydzieści siedem złotych, z których osiemnaście wydam u konduktora na bilet. Kolejne dwa na bilet MZK do Karoliny, do akademika. Znam adres, dopytam, jak dojechać. Karolina przytuli mnie na parę nocy. A potem? Nie mam pojęcia.

Wiem jedno: nigdy tu nie wrócę.

Gdy już siedzę w pociągu, dzwoni mamusia. Wyciszam. I znowu. Wyciszam. I znowu. Mam dość tego ohydneho dzwonnka, mam dość jej. Zamiast odebrać, wyjmuję z telefonu kartę SIM, próbuję ją złamać, nie wychodzi, więc przegryzam ją na wylot i wyrzucam przez okno. Nic mnie z nimi więcej nie łączy, nic. Nigdy więcej ich nie zobaczę, wymażę ich z pamięci, znikną.

W Warszawie od razu kupuję kartę SIM (pieniędzy coraz mniej), wysyłam nowy numer bratu. Od razu też go proszę, w tym samym SMS-ie, żeby matce i ojcu ani słowa. Ale on ma do mnie koniecznie zadzwonić. Ma do mnie dzwonić jak najczęściej. Już za nim tęsknię.

Dzwoni. Mówię, co i jak, że wyjechałam, że odezwę się za parę dni, żeby za nic nie zdradził mamie ani ojcu tego numeru, to tylko do jego wiadomości.

Odzywam się za parę dni.

A on nie odbiera, podły szczeniak.

Znowu nie odbiera.

I znowu.

teraz

Alkohol przestał mnie grzać, zimno mi jak wtedy. Dawid przytula mnie mocniej. To dobrze, jest taki ciepły. Całuje w policzek. Pachnie wódką. Ja też.

– Jesteś bardzo dzielna – mówi. – Bardzo. Najbardziej.

Dzielna? Bo uciekłam?

– Dałaś sobie radę. Bez nich wszystkich. Bez nas wszystkich. Bez sentymentów.

– No, z Karoliną.

– Z moją dzielną siostrzyczką – mówi poważnie, ale nie jest w stanie długo utrzymać powagi. Bo zaraz zapowiada: – My im wszystkim jeszcze pokażemy. – I zaczyna śpiewać na cały głos: – Wstawaj, wstawaj, do pracy się weź!...

– Óóóóó – uciszam go, kładę mu dłoń na ustach, ale śpiewa, śpiewa na cały głos spomiędzy moich palców:

– Wstawaj, wstawaj, do pracy się weź! Do pracy cię woła i miasto, i wieś!

– Cicho, buraku, jest niedziela! – Ktoś wrzeszczy z okna.

Dawid zaśmiewa się. Przyciskam mocniej dłoń do jego ust. Całuje mnie w palec.

Jeszcze czeka, aż wejdę za furtkę, i idzie do siebie.

Opieram się o płot. Dygoczę, jakby temperatura powietrza spadła o dwadzieścia stopni.

„Wstawaj! Wstawaj! – Z drogi dochodzi śpiew Dawida. – Do pracy się weź...”

To była jedna z najdziwniejszych nocy w moim życiu.

W oknie kuchni kogoś widzę. Zastygam w połowie podwórka, ale zaraz dostrzegam, że o szybę rozplaszczają się włosy matki. Śpi z głową na parapecie? Musiała zasnąć, czekając na mnie. Jasny gwint. Wślizguję się cichutko do domu, żeby jej nie obudzić, ale się nie daje, bo Niuśka na mój widok buczy z radości, szczeka,

wali ogonem we framugę.

Matka otwiera oczy, podnosi głowę. Teraz widzę, że płakała.

O kurde.

– Przepraszam, mamo.

Robię dwa kroki do przodu. Stoję przy niej, na siedząco sięga mi do pasa.

– Myślałam, że znowu nie wrócisz, jak wtedy.

Ależ mi głupio.

Potyknąwszy się o Niuśkę, podnoszę matkę, prowadzę ją do łóżka, przykrywam kołdrą. Matka niby wielka, rozłożysta, a jednak bezradna.

– Obudź mnie za godzinę. Chcę spędzić z tobą ten ostatni dzień – mamrocze jeszcze, choć już właściwie śpi.

Wypuszczam Niuśkę na podwórko, nie mam siły na spacer, rozpalam w piecu, dorzucam, ile wlezie, i owijam się w pierzynę, z głową, ale stopy nadal mam lodowate. Duszę mam lodowatą. Nie uda mi się zasnąć.

Budzi mnie wściekłe szczekanie. To Niuśka, mój najlepszy alarm, znowu daje znać, że obcy! Obcy u bram. Głowa boli, jednak nie udało mi się bezkarnie wypić tego morza wódki (z herbatą). Za oknem jasno. Na zegarze kuchennym dziesiąta czterdzieści. Nie, błagam, nie chcę żadnych nowych ludzi w moim życiu, żadnych nowych spraw do rozwiązania. Nie dzisiaj. Przecież już prawie mnie tutaj nie ma.

– Kto? Kto przyjechał? – jęczy matka.

Przez okno widzę pod bramą samochód. To auto Sebastiana.

Wychodzę, łapię Niuśkę za obrozę. Podchodzimy. Już widzę, że w samochodzie siedzą dwie osoby. Kobiety.

Otwieram bramę, niech wjadą.

Niuśka uspokaja się pod moją ręką. Jakimś dziwnym trafem ona naprawdę lubi ludzi.

Za kierownicą matka Marleny. Na siedzeniu pasażera – Marlena. Z tyłu – fotelik niemowlęcy, a w nim maleństwo, z którym ja i matka mamy trochę identycznych genów.

Zapraszam panie do środka, sumituję się, że trochę bałagan, wstawiam wodę na herbatę i idę po matkę, która już stoi obok

łóżka, podpierając się na gipsie, a dłońmi poprawia włosy. Wsparta o mnie i o kulę wkracza dostojnie do kuchni, tamte podrywają się z miejsc. Gabryś leży w ramionach swojej matki. Moja wpatruje się to w przybyłe panie, to w dziecko.

Podprowadzam ją do Marleny i małego, a matka, ostrożnie wyciągając dłoń nad kulą, dotyka jego policzka i zaczyna płakać.

– Sebastian w jego wieku wyglądał tak samo! Skóra zdarta z ojca.

Sadzam matkę obok synowej, tamta przekazuje małego w ramiona babci. Przekażcie sobie znak pokoju, tak, to właśnie jest ta czynność. Teściowa Sebastiana patrzy na moją matkę bez uśmiechu, ale mały gaworzy, łapie babcię za palec. Cud, ile może sprawić taki jeden nieduży, obśliniony gościu, któremu na dodatek zaczyna właśnie jechać z pieluchy.

Marlena idzie z nim do łazienki, umyć mu zadek pod kranem, ja zrywam się, żeby podać herbatę i ciasto. Obie starsze kobiety siedzą naprzeciwko siebie, mierzą się wzrokiem. Ale nie wypada przejść do meritum, zanim herbata nie stanie na stole. Sytuacja napięta się jednak na tyle, że small talki również nie wchodzą w rachubę.

– Bardzo nam przykro, że Sebastian odszedł tak szybko – zaczyna teściowa mojego brata. – Moje najszczerze kondolencje.

Matka kiwa głową.

– I moje najszczerze kondolencje, dla was wszystkich ode mnie – odpowiada.

Ustawiam szklanki z uszkiem, cukiernicę, resztki biało-czerwonego ciasta, które udało się ocalić przed młodym Bożkiem. Nie jest wystawnie. Mam nadzieję, że to nieważne.

Siada Marlena z już pachnącym małym. Siadam ja.

– Mieszkamy nie tak daleko siebie – kontynuuje uroczyste przemówienie teściowa Sebastiana. – Jesteśmy rodziną. Chciałam powiedzieć, żebyśmy zapomniały o tym, co złe, i trzymały się razem w tej żałobie. Gabrynio na pewno czasem chciałyby zobaczyć drugą babcię.

Jestem pełna podziwu: ma klasę kobieta.

– W emocjach mówi się różne rzeczy – odpowiada moja matka

nie wprost, a ja mam wizję dwóch indiańskich wodzów, którzy negocjują nad herbatą pokoju. – Ale mam nadzieję, że umiecie wybaczyć prędkie słowa matce, która straciła syna.

Cisza nabrzmiewa. Wreszcie jednak teściowa Sebastiana wyciąga dłoń do mojej matki. Matka ściska ją. Patrzą sobie w oczy. Cieszę się, że mogę przy tym asystować.

Skubię trochę ciasta, niby niegrzecznie, powinnam raczej poczęstować gości, ale głodna jestem na tym cholernym kacu.

Teraz odzywa się Marlena.

– Sebastian kupił samochód jeszcze przed ślubem. Więc przyszyliśmy go oddać. Wam się należy, nie nam.

Matka jest zaskoczona.

Ja się nie powinnam odzywać, wiem o tym. Więc czekam, co powie ona.

A ona gładzi małego po policzku, odchrząkuje.

– Mam samochód. Jeden wystarczy. Ten zatrzymajcie albo sprzedajcie, niech będzie na chowanie małego.

Ściskam jej dłoń pod stołem. Oddaje uścisk.

– Ale... – zaczyna Marlena.

– Sebastian by tak chciał.

Natężenie wzniosłości wzrasta do poziomu, którego nie jestem w stanie znieść. Wychodzę więc, chronię się za drzwiami łazienki, siadam na sedesie, dzięki czemu poziom patosu w powietrzu dookoła opada do znośnych wysokości. W brzuchu mi burczy, twarz zdradza wszystko, co robiłam wczoraj. Życie jest niesprawiedliwe, bo po kobietach za często widać, że piły zamiast spać. O co zakład, że i Dawid, i Mateusz mają teraz buźki świeże jak tulipanki?

W drzwi drapie Niuśka, która ewidentnie chce na spacer. Mocno chce.

Wracam do gości.

– Przejdiesz się ze mną i z psem? Mały by się przewietrzył – proponuję. Marlena jest za, w końcu teraz stałyśmy się prawie siostrami. Z bagażnika wyjmuję wózek, który czekał tam na moment, aż będą musiały wracać z Gabrysiem autobusem do domu.

Łocko nieco wyszło, wiatr zrobił w tej sprawie wszystko, co mógł, więc idzie się nieco lepiej. Ciągniemy z Marleną wózek za sobą, każda jedną ręką. Dziwnie to przyjemne. Młody usnął od razu, zachłyszawszy się leśnym tlenem. Niuśka zatacza kółka dookoła nas, chyba zaakceptowała fakt, że Marlena i Gabryś stali się członkami jej stada.

– To dziś wyjeżdżasz, tak? – zagaja Marlena.

Idziemy w stronę polany z okopami, opowiadam Marlenie o wczorajszej akcji Sobótek, przemilczam sprawę zniczów, ale dydaktycznie chwalebę sprzątanie w lesie. Marlena coś pochrząkuje bez entuzjazmu. Może sami wyrzucali w lesie, gdzieś tam koło siebie.

Jest i polana, wygląda nadal tak sobie, ale o niebo lepiej niż to, co widziałam tu zaraz po odwilży.

– Widzisz, jak fajnie posprzątały? Siła kobiet! – cieszę się.

Marlena rozgląda się bez entuzjazmu, sprawdza, czy nie pobrudziła sobie butów, Gabryś posapuje, Niuśka szaleje w okopach. Węszy. Kopie. Popiskuje. Grzebie pazurami i generalnie jest w amoku. Zwęszyła pewnie jakieś maleństwo w norze. Ale nie pozwolę jej go zadusić.

– Chodź tu, dranico! – wołam. – Zostaw zwierzcza!

Przeskakuję przez okop, teraz to jeszcze lepsza zabawa niż kiedyś, bo nogi mam dłuższe.

Dranica odwraca się na chwilę, by sprawdzić, czy mówię poważnie, po czym znowu rzuca się do tej samej dziury, w której ryje nosem, dmuchając. Może jakaś padlina, taka jest podniecona. Może jakieś...

Kości!

Szarawe kosteczki, większe, mniejsze, zęby osadzone w szczęce. Niuśka grzebie w nich nosem, łapami.

Zastanawiające, jak bardzo świńskie zęby są podobne do szczęki człowieka.

– Pójdziemy już? Zimno! – woła Marlena. Stoi parę metrów dalej i buja wózkami, aż skrzypi.

– Chodźże, durny psie! – wołam do Niuśki.

Ale ta udaje, że nie słyszy. Grzebie, niucha, wierci nosem.

Zeskakuję do okopu, wyciągnę ją stąd za obrożę, dość tej zabawy, bo już widzę oczyma duszy, że zaraz się w tym wytarza, cokolwiek to jest.

– Co tam robisz? – denerwuje się Marlena. Ciągnie wózek w naszym kierunku, ale nie jest łatwo, bo przez okopy nie przejedzie, a teren obok okopów zarósł krzakami.

Przywiązuję Niuškę do jakiegoś pieńka, szarpie się trochę, bo wolałaby jeszcze pokopać, a sama podważam kość szczęki patykiem, bo zakopana jest w ziemi prawie cała. Nie idzie mi. Odgarniam błoto, ale pod cienką warstwą ziemia jest jednak ciągle sztywna od mrozu. Próbuję nawet wyrwać krzaczek czarnej jagody, choć wrywanie roślin to chamstwo, prawie takie jak ścinanie małych drzew (ścinanie starych drzew to jeszcze większe chamstwo), ale ten daje się jedynie podważyć z jednej strony. Mógłby ktoś spytać, czego tak szukam. Nie wiem, widzę tylko, że te zęby, ta szczeka nie do końca wyglądają na świńskie. Wyglądają trochę, jakby spadły z pirackiej flagi.

A piraci, jako żywo, nigdy nie malowali świńskich czaszek na sztandarach.

– Kurde, Niuška chyba wykopała ludzką czaszkę – mówię Marlenie.

– Pewnie z wojny. – Wzrusza ramionami. – Idziemy? Zimno. Błoto.

Ja też powinnam się pospieszyć, jeśli chcę wyjechać jeszcze dzisiaj. Ale chyba wypada komuś zgłosić takie znalezisko, prawda? Choćby po to, żeby przenieśli je na cmentarz, a nie tu, gdzie psy i lisy będą sikać na to, co zostało z bohatera. Albo żołnierza wyklętego. Wyjmuję telefon.

– Jaki macie numer na posterunek?

Marlena znów wzrusza ramionami.

– W niedzielę?

Na sto dwanaście też chyba nie będę dzwonić, nie sądzę, żeby policja specjalnie fatygowała się w niedzielę po czaszkę żołnierza sprzed ponad siedemdziesięciu lat. Kocham Świątkowice. Tu wszystko jest albo niemożliwe, albo bez sensu.

Zostawiam więc czaszkę w okopie, ciągnę rozczarowaną Niuškę

w kierunku domu. Matce powiem, niech jutro do kogoś zadzwoni. Może do pani Stańskiej? Ona będzie wiedziała, co robić.

I jesteśmy w domu.

– No, dobrze, że już wróciłyście. Jak na pierwszą wizytę wystarczy – oświadcza mama Marleny.

Ale jeszcze zdążę wspomnieć o czasce. Dziwią się.

Po czym mama Marleny odchrząkuje, żeby się pożegnać, i wychodzą, a my jeszcze zdążymy uścisnąć małą rączkę Gabrynia. Jest coś wzruszającego w tych paluszkach jak ziarnka fasoli. Naprawdę trudno je wypuścić z dłoni.

Do pakowania wiele nie mam.

– Zostawiasz szczoteczkę do zębów? – pyta matka.

Kiwam głową twierdząco.

Uśmiecha się do mnie. Nie przypuszczałam, że jeszcze kiedyś wymienimy uśmiechy. Albo przeprowadzimy taką rozmowę.

– Ktoś cię odwiezie na pociąg? Dawid?

– Przecież mam rower. Niuśka do koszyka i dajemy radę. Jak zawsze.

– Dziwne, że teraz w mieście wszyscy jeżdżą na rowerach, jak kiedyś na wsi. Można powiedzieć, że narzucamy mody. – Mama się uśmiecha, choć widzę, że jej smutno.

Tak, i nawet ją obejmę. I ucałuję. Sobótki mają przyjść pod wieczór. Ale już coraz lepiej sobie radzi sama. Złamana noga to nie koniec świata. Przypomina mi się, że zawsze była dzielna. Mam to po niej.

– Dobrze, że tę nogę zламаłam – mówi matka to, co obydwie myślimy. – Dzięki temu miałam cię trochę przy sobie.

No i wychodzę. Niuśka mości się w koszyku, a ja pedałuje. Nawet słońce świeci, przez co i kostka Bauma, i tęczowe tynki, i placyk zabaw wydają się bardziej optymistyczne niż poprzednio. Mijam kościół (chwilowo wyludniony, piętnasta przecież, ksiądz pewnie je obiad). Mijam „Sprzedaż miodu. Lipowy, spadziowy, wielokwiatowy”. Mijam Zieloną Budkę z lodami i napojami. Mijam kolejny spożywczy i Paradise, potem mięsny. Pusto, jak to przy niedzieli, pewnie wszyscy siedzą za stołami. Matka dała mi kanapki do pociągu, chciałabym już je

zjeść.

Przed mięsnym bawi się jakiś chudy dzieciak. Kopie kamyk, w tę i we w tę, szura, kopie i szura, dobrze, że wyjeżdżam, bo wydaje się wysoce irytujący. Niuśka wierci się w koszyku, poszczekuje. A ja w pochylonej ku ziemi głowie rozpoznaję młodego Bożka. Podjeżdżam.

– Chciałam się z tobą pożegnać. My z Niuśką już wyjeżdżamy.

– Cześć – bąka młody pod nosem i wcale na mnie nie patrzy, zerka jakoś boczkim tylko i niewyraźnie komentuje: – Na rowerze do Warszawy jedziesz? Z psem w koszyku?

Zahaczam palcem o jego brodę i podnoszę ją do góry, żebyśmy spojrzeli sobie w oczy.

Patrzymy, choć on ucieka wzrokiem. Oko ma podbite, usta spuchnięte, ze strupkiem.

– Co się stało?!

Próbuje poświstywać, ale za bardzo bołą go usta.

– Mamusia wzięła mnie do pracy. Ma remanent. Do domu wrócimy razem.

– Twoja mamusia tu pracuje? W mięsnym?

– A co ma nie pracować? Pieniądze na drzewach nie rosną.

– Pytałam, co ci się stało w twarz.

Wzrusza ramionami.

– Nic takiego.

– Warga ci krwawi.

Wyciera rękawem.

– To co się stało?

– Nic. Pyskowałam.

– Komu pyskowałeś?

Nie wiem, po co pytam, przecież wiem.

– Do was chciałem wyjść. Znaczą dzisiaj. Pomóc pani Sylwii.

– Trzeba przyłożyć coś zimnego, bo siniak będziesz miał. Matka ma tam w sklepie jakieś mrożonki?

Młody wzrusza ramionami, ale wlecze się za mną do sklepu. Drobną kobietą krząta się, myjąc lady chłodnicze. Nawet nie podnosi wzroku, mówi tylko:

– Wędlin ci tam nakroiłam, zjedz trochę, może dasz radę

pogryźć z tą biedną buzią.

– Dzień dobry – mówię.

Kobieta podskakuje, upuszcza ścierkę, podnosi na mnie wzrok.

– Andżelika Julków – przedstawiam się. Andżelika, nie Aniela, żeby nie komplikować i nie tłumaczyć, bo po co. I tak zaraz wyjeżdżam. – Byłam kiedyś...

– Wiem – odpowiada kobieta. – Jesteś naszą sąsiadką. Znaczący moich teściów.

Zupełnie jakby ona tam nie mieszkała.

Jest blada, oczy ma podkrążone, włosy marne.

– Może Mareczkowi coś przyłożyć na te siniaki? – kontynuuję. – Prędzej znikną.

– A, siniaki. Przewrócił się, niezguła.

Wiem, w Świątkowicach o przemocy się nie mówi. Powinam udawać, że nie widzę tych śladów. Ale mam już na to za mało czasu.

– Mogła pani zostawić dzisiaj Mareczka u mojej mamy, zamiast ciągnąć go do sklepu.

– Wczoraj miał przynieść za to pieniądze, a nie przyniósł ani grosza – mówi kobieta.

Kurde, kurde. Zapomniałam uprzedzić matkę, żeby zapłaciła młodemu parę złotych. A sama poszłam się bawić z Dawidem i Mateuszem.

– Daleko do domu nie miał, a zdążył wydać – narzeka kobitka.

Wydać?

Chłopak patrzy na mnie zza pleców matki. Kładzie palec na ustach. Kryje nas. Woli sam oberwać, niż zdradzić, że to myśmy dały ciała i nie zapłaciły. Coraz bardziej mi głupio.

– Może mu pani przyłoży coś zimnego na te siniaki? Mrożonkę jakąś?

Znajduje wreszcie jakiś ochłapek w plastiku, młody przytula go do twarzy przez ręcznik papierowy. Jego matka sprawia wrażenie bardzo zajętej, wzdycha i popatruje na mnie z irytacją. Powinam stąd wyjść, przestać się wtrącać w życie rodziny, która zawsze radziła sobie beze mnie. Teraz też sobie poradzi.

Tak samo uważa Niuśka, która ujada na zewnątrz, przywiązana

do barierek. Mam nadzieję, że nikt nie kradnie mi roweru. Zresztą zaraz mam pociąg.

Cholerny świat.

– Mam taki pomysł – rzucam. – Jeszcze został tydzień ferii, a moja matka nie daje rady sama z tą nogą. Może Mareczek by się do nas przeprowadził choć na ten jeden tydzień?

Mur, obraza. Smutna twarz.

– Mamy oddać dziecko do roboty na całą dobę?

Nie rozumie czy udaje, że nie rozumie? Ale to nie czas na obrażanie się.

– A gdyby przychodził rano i wracał na noc do domu? On zarobi, nie będzie się nudził, ojca denerwował.

Ostatni z argumentów chyba do niej wreszcie przemawia, bo zastyga nad rynienką, z której splukwała przed chwilą krwistą ciecz wyciekającą z jakichś ochłapów.

– Za ile? – pyta. – Mój Piotrek nie zgodzi się na byle parę groszy.

– A ile by pani chciała?

– Chłopak jest silny, umie w domu wszystko zrobić.

– To ile?

– Piętnaście złotych dziennie? – strzela i pochyła głowę. Wie, że przesadziła.

Czuję się jak na targu niewolników. Mięso obelżywie patrzy na mnie z metalowych tacek.

– Niech będzie – mówię.

Potakuje. Obie wiemy, że za tę kasę kupiłam małemu tydzień spokoju. I że pieniądze wcale nie trafią do dzieciaka. Cóż, ja kiedyś miałam panią Stańską. Teraz nadszedł czas oddać dług.

Wyjmuję telefon.

Już zdążyłam zmarznąć pod tym sklepem, a Niuśka obwąchać cały trawnik i krawężnik, gdy wreszcie podjeżdża Dawid. Faktycznie, w odróżnieniu ode mnie wygląda świeżo jak tulipanek. Zgadza się zawieźć mnie do Łaskarzewa, gdzie podobno jest bankomat.

Jedziemy. Wyjmuję z konta sto pięćdziesiąt złotych. Na Mareczka pójdzie sto pięć.

– Po co to wszystko? Przecież mogłem ci pożyczyć? – dziwi się

Dawid.

Tłumaczę co i jak.

– Pewnie, że ci mogłem pożyczyć. Poza tym wszystkich nie uratujesz – stwierdza, chowając kasę. Ma ją dać mojej matce, żeby było dla Marcuszka.

– Nawet nie planuję ratować wszystkich – odpowiadam. – Ledwie daję radę z jednym.

Zostało mi jeszcze czterdzieści minut do kolejnego pociągu, więc postanawiam pokazać Dawidowi czaszkę w okopie, skoro już tak fajnie jeździmy sobie po świecie. Nic mu nie mówię, niech ma niespodziankę.

Parkujemy przy leśnej przecince, zostawiamy Niuškę w środku, zostawiamy też światła, żebyśmy się nie pozabijali wśród śmieci. Brniemy przez jagodziny, przeskakujemy przez okop, Dawid chichocze, jak to robił dziesięć lat temu przy analogicznych okazjach. Dochodzimy do opróżnionego ze śmieci kawałka. Rozglądam się. Ciemno, ale widzę, że to nie mogło być tutaj, bo czaszki nie ma, żadnego dołka również. Idę kawałek dalej, błoto kłaska pod stopami. Tu też nie ma kości. Rozgarniam liście stopą. Dokopuję się do czegoś. Nie, to tylko jakaś dętka, czaszkę musiałam widzieć gdzieś indziej. Wracam więc, ślepię z nosem przy ziemi jak Niuška w niewyraźnej poświacie reflektorów, ale nie widzę żadnych kości, żadnej czaszki, żadnego dołka wykopanego przez mojego psa, żadnej jagodziny nawet.

– No i? – niecierpliwi się Dawid. – Gdzie ta niespodzianka?

Wreszcie trafiam na wyrwany niemal doszczętnie krzak czarnej jagody, wsadzony luźno w dołek, w którym chyba przedtem coś leżało. Rozgarniam liście dłonią. Tak, jest tu jama. Odcisnął się nawet ślad czegoś owalnego.

– Była tutaj. Daję ci słowo, że była. Tu była czaszka. – Dźgam palcem w dołek. – Pod tym krzaczkiem Niuška wykopała czaszkę, słowo ci daję.

– Eros i Thanatos – kpi Dawid. Widzę, że znowu odrobił lekcję z Freuda. – Nie wyspałaś się, prawda? No cóż, był problem, nie ma problemu. Cześć ich pamięci i żyjmy dalej.

Jedziemy w milczeniu na stację. Już niczego nie jestem pewna.

Ale przecież mi się nie zdawało, więc pewnie lisy wykopały. Wsiadam, Dawid otwiera bagażnik, by wysunąć rower, który zmieścił się tam dzięki złożeniu tylnych siedzeń. Zaklinowało się, więc przechodzi z drugiej strony, żeby wysunąć koło, które zaczepiło się między fotelami. Ja ciągnę od strony bagażnika. Pochylam się, odsuwam dłonią pakunek w plastikowej reklamówce, żeby zaprzeć się kolanem. Pakunek jest twardy, okrągły, wielkości piłki do siatkówki. Nie, właściwie troszkę mniejszy. Stukam w niego. Głuchy odgłos. Odwiązuję uszy reklamówki, rozsuwam tę drugą, która była w środku. Żółtawy błysk na okrągłej powierzchni. Przesuwam rękę w dół i cofam ją z obrzydzeniem, bo natrafiłam na coś zimnego i wilgotnego. Błoto wypełniające oczodół.

Dawid wozi w bagażniku owiniętą w reklamówki czaszkę.

Owijam ją naprędce, odkładam szybko z powrotem. Rower stoi już na zewnątrz, więc poprawiam sakwy, koszyk, wrzucam do niego Niuškę. Biegniemy na peron, bilet kupię w pociągu, bo w niedzielę kasa nieczynna. Dawid pomaga mi wstawić rower do środka. Żegnajcie, Świątkowice. Żegnajcie, okopy, znikające czaszki, czaszki wożone w bagażniku. Żegnajcie, śmieci, pokrywające groby bohaterów, żegnaj smrodzie palonych pampersów, żegnaj, grobie mojego brata.

Stoję w pociągu w przejściu, przy samych drzwiach. Z kibla dolatuje kolejowy smród, Niuška niucha z zainteresowaniem, bo dla niej nie ma brzydkich zapachów, a ja patrzę przez szybę na znikające Świątkowice. Perony przechodzą w nasyp, nasyp w skład węgla, potem pojawia się tych parę domów, gdzie mieszkają świadkowie Jehowy, za nimi jeszcze kilka betonowych płotów i domów z łuczkami, a potem zaorane pole, łąka, las. I po Świątkowicach. Żegnaj, Dawidzie, z twoimi tajemnicami. Żegnaj, Marcyczku, z fąblem, wiecznie pod płotem. Żegnaj, Piotрку Bożku, mój kolego z prędkimi pięściami.

Las. Las. Las w ciemności. I znowu zaorane pole i jakieś płoty, domy, zaraz będzie następna stacja. Marnotrawka, zawsze mnie ta nazwa śmieszyła. Zwalniamy. Przystajemy. Drzwi się otwierają. Dwie osoby przepychają się obok roweru, wsiadają.

Kolejne zaczynają się pchać do środka.

– Chwileczkę! – wołam. – Chwileczkę!

Przepycham się, żeby zestawić na dół rower, potem znoszę po schodkach Niuškę.

Stoimy na peronie w Marnotrawce, Niuška patrzy na mnie z dołu bardzo zdziwionym wzrokiem.

– Nie wiem, kochana – wyznaję jej. – Sama nie wiem, co robię.

Drzwi pociągu się zamykają, żółto-granatowa gąsienica rusza w dalszą drogę. A ja tkwię na peronie, o stację od Świątkowic, i zastanawiam się, co też najlepszego zrobiłam.

W lesie spuszczam Niuškę, niech poszuka jeszcze, może znowu wygrzebie spod ziemi jakieś miejscowe tajemnice. Między Marnotrawką a Świątkowicami, jeśli nic się przez tych dziesięć lat nie zmieniło, mieszka pani Stańska. Bywałam czasem u niej, kiedy pożyczała mi książki albo kiedy przychodziłam, żeby je oddać i obgadać. Parkuję pod jej płotem, przypinam rower. Pani Stańska nie uprawia ziemi, więc nie ma tu żadnych zabudowań gospodarczych. Podwórko zadbane, latem pewnie dużo kwiatów, teraz jakaś stłumiona porą roku trawa, przykurzone tuje. Pukam do drzwi, zastanawiając się, w czym przeszkodzę. Kolacja? Nie, raczej drzemka przed telewizorem. Pani Stańska poprawia przygniecioną z jednej strony fryzurę, obciąża na biodrach obszerny szary sweter, uśmiecha się do mnie, aż przy oczach pokazują się jej pajęczyny zmarszczek.

– Niemożliwe. Jednak postanowiłaś mnie odwiedzić? Moja ulubiona uczennica!

Znowu robi mi się głupio. Nie, nie będę kręcić, ona przecież i tak się domyśli, że przyszłam z interesem. Ale nie wygląda na rozczarowaną.

– Marek Bożek? – szuka w pamięci. – Marek Bożek? Od kiedy zasiadłam w dyrektorskim gabinecie, już go nawet nie uczę. Ale to ciche, grzeczne dziecko. Prawie go nie widać.

– Zupełnie jak jego ojca, w swoim czasie – mówię i opowiadam, co się działo ostatnio za płotem.

Pani Stańska kręci z troską głową.

– Poproszę wszystkich nauczycieli, żeby się temu przyjrzeni.

Może niech mały odrabia lekcje w szkole, skoro w domu awantury? Mogę spojrzeć na niego, póki siedzę w gabinecie.

Obie wiemy, jak krucha jest taka pomoc. Ale też obie wiemy, ile może dać jedno popołudnie u osoby, która dziecko wspiera. A już kilka popołudni... Parę podsuniętych książek...

– Albo niech po lekcjach siedzi z matką w sklepie, zamiast wracać do domu. Tak, porozmawiam z nią. Razem się zastanowimy, co robić.

– Jeśli w ogóle będzie chciała o tym rozmawiać.

– Tak, wiem. Jeśli o czymś się nie mówi, to to nie istnieje – dorzuca z goryczą.

Oj, pani Stańska, nie ma co ironizować. Całe lata żyłam zgodnie z tą regułą. Działała.

Sprawa Mareczka została tak jakby załatwiona. Tak jakby.

W drzwiach jeszcze wspominam o drugiej sprawie, która mnie dręczy.

– Okopy w lesie? Pewnie, że pamiętam. Ale już dawno zrezygnowałam z prowadzenia tam zajęć, bo aż wstyd – tłumaczy moja była wychowawczyni. – Na wiosnę spróbuję namówić starsze klasy, żeby tam posprzątały, ale uwierz mi, nikt tego typu akcji nie lubi. Śmieci są, muszą być, wywóz kosztuje, więc właściwie wszyscy zwożą do lasu, choć nikt się specjalnie tym nie chwali. Pocięszam się tylko, że kiedyś archeolodzy będą mieć z tego miejsca pociechę – dodaje po zastanowieniu.

Szukanie plusów w każdej sytuacji jest tak bardzo w stylu pani Stańskiej, że nie wytrzymuję i gładzę ją po dłoni. Uśmiecha się do mnie.

– Tam podobno zaraz po wojnie ludzie szukali skarbów. Ale już dawno wszystko znaleźli. A i kości wtedy było mnóstwo, nikt się tym nie przejmował. Tym bardziej że partyzanci tutaj nie cieszyli się szczególną sympatią, bo głównie wpadali do wioski i zabierali jedzenie. Zapasy na przednówku. Odchowane świnki. Więc te kości w okopach przysypywało się ziemią i tyle.

Wiem, pamiętam, jak mi babcia opowiadała. Nie słuchałam uważnie, bo te żale zawsze brzmiały podobnie.

– A czaszkę, jeśli jeszcze jakąś znajdziesz, najlepiej zgłosić

księdzu. Dołoży ją do tego zbiorowego grobu żołnierskiego na cmentarzu. Poświęci.

Święcenie wszystkiego zawsze wydawało mi się pogańską czynnością. Poświęcona ziemia na cmentarzu, żeby złe nie miało dostępu. Święcenie pól, żeby się darzyło. Święcenie jajek i kielbasy w koszyczkach, żeby poszły na zdrowie. Święcenie plonów, żeby podziękować, że się darzyło. Święcenie kości, żeby... Nie mam pomysłu.

Mówię o tym pani Stańskiej. Kiwa głową z zapalem. Tak, właśnie za to ją lubiłam: ona nigdy niczym się nie gorszy. Spróbowałabym poczynić takie zwierzenia przed księdzem proboszczem, obecnym albo poprzednim. Albo choćby przed własną matką.

– Ludowa religijność faktycznie wyrosła na żyznym gruncie słowiańskich wierzeń. Nie ma się co na to zżymać. Należy raczej doceniać, że przyjęto duchowość istniejącą wcześniej na naszych ziemiach.

Dobrze się czuję u pani Stańskiej, rozmawia mi się z nią dużo lepiej niż z własną matką. I bez tych wszystkich zaszłości. Pokrewieństwo duchowe kontra wspólnota krwi.

Ale dość tego, mam jeszcze coś do zrobienia.

*

– Sam jesteś? – upewniam się, gdy tylko Mateusz otwiera mi drzwi.

Opowieść o Marczyku nie rusza go specjalnie.

– Kiedy tu przyjechałem, też się angażowałem we wszystko. Młody nauczyciel idealista. Wzywałem więc rodziców do szkoły. Jeździłem po domach. Przemawiałem do rozsądku. Myślisz, że coś podziałało? Nie wygrasz z tradycją. Wielowiekową, zdaje się. Jeszcze jakby ksiądz w kościele powiedział jednemu facetowi z drugim, że to grzech bić dziecko. I żonę. Wtedy może coś by ich ruszyło. Ale wiesz, co mi proboszcz powiedział, kiedy do niego z tym poszedłem? Przesadza pan. Pan nie jest stąd, więc pan nie rozumie, tak powiedział. Od wieków dzieci dostawały klapsy i mimo tego wyrastały na porządnych ludzi. A może nawet dzięki

temu. Na przykład ja, tak powiedział proboszcz. A poza tym to są sprawy domowe, rodzinne, prywatne. Rodzice biorą odpowiedzialność za wychowanie dziecka i starają się jak najlepiej. Umywa pan ręce, skrytykowałem. Nie wierzę, że te siniaki sprawią, że dzieci będą lepsze. To wtedy się przyczepił, że mówię do niego „pan”, a nie „proszę księdza”. O umywaniu rąk nic nie powiedział. Ani o siniakach. Niech go szlag.

– Zwalasz na księdza, a sam nic nie zrobiłeś.

– Pewnie za mało. Czasem w szkole pytam uczniów, czy wszystko w domu okej. Myślisz, że ktoś powie, że nie? Kryją swoich starych i tyle. Naprawdę uważasz, że powinienem działać wbrew wszystkim? Przecież wtedy wywozą mnie stąd na taczkach, a ja chcę tu mieszkać. A może myślisz, że powinienem zgłosić dzieciaka do opieki społecznej? Wtedy mnie ta wiocha ukamieniuje, że donoszę na ojca i że jestem za oddzielaniem dzieci od rodziców.

W takim razie dobrze, że nad Marcem czuwać będzie pani Stańska. Chociaż ona. Oddycham głęboko. Krzykiem niczego tu nie zmienię, więc odzywam się cicho.

– Ech, Świątkowice. Po co tu przyjechałeś? Dlaczego postanowiłeś mieszkać akurat tutaj?

– Nie opowiadaliśmy ci? Dawida poznałem w pociągu. Jechałem na imprezę do Otwocka. A on wracał do domu z Warszawy. Usiadłem obok i zaczęliśmy gadać. I wcale nie wysiadłem w Otwocku, bo pojechałem z nim aż do Świątkowic, wysiedliśmy razem. Wszystko kwitło, bzy, jaśminy. Pachniało. Zielono. Pokazał mi przejście przez jeżyny, poszliśmy się kąpać w tej lodowatej wodzie. Był maj. A potem leżeliśmy na trawie i nikt nam nie przeszkadzał. Ptaki śpiewały. Gimnazjum i liceum w Świątkowicach szukały nauczyciela historii, na płocie wisiało ogłoszenie jak byk. Nie pomyślałabyś, że to znak z niebios?

– To było w zeszłym roku?

– Trzy lata temu.

– Ukrywacie się już trzy lata? Z tym waszym związkiem?

– Dawid najpierw ukrywał się nawet sam przed sobą. Przedemną. To był długi proces.

– Planujecie zostać tu na zawsze?

– Wiesz co, nauczyłem się jednego. Nic nie planuję. Zawsze może się trafić jakiś pociąg do Otwocka. Mam tu gdzie biegać, mam internet, może mało zarabiam, ale i mało wydaję. No i mam kogoś, kogo Kocham. To naprawdę bardzo dużo.

Uświadamiam sobie, że chyba mu zazdroścę.

– A propos Dawida – mówię. I opowiadam Mateuszowi o czaszce. Słucha, wpatrując się we mnie głębokimi, brązowymi oczami, nawet głowę przekrzywia, jak Niuśka. Nie wierzy mi chyba specjalnie.

– Opcja pierwsza: zdawało ci się.

Kręcę głową.

– Opcja druga: nie zdawało ci się. Ale przecież wiesz, jaki jest Dawid.

No wiem. Pewnie ubierze czaszkę w okulary i pilotkę, a potem będzie rzucał do niej kulkami z papieru. Tak właśnie wyglądają tutejsze sekrety: coś między żenadą a rozczarowaniem.

– Opcja trzecia...

Pukanie do drzwi. Szczekanie Niuśki. I zaraz ktoś też otwiera sobie kluczem.

– Przyszła trzecia opcja – oznajmia Mateusz. – Zapytaj go sama.

Dawid wchodzi i kiedy widzi mnie, cofa się za próg.

– Ale to mi się wydaje, prawda? Aniela, ty nie podrywasz mi właśnie faceta?

– Nie wydaje ci się. Podrywam. – Mrugam do niego. – Natomiast mnie się wydawało, że wozisz czaszkę w bagażniku. A przedtem mi się wydawało, że nic nie wiesz o żadnej czaszce.

Dawid buja się na stopach u wejścia do pokoju.

– Ja też bym się chciał dowiedzieć, o co chodzi z tą czaszką. To jakiś fetysz? – Mateusz bacznie wpatruje się w swojego chłopaka, który pod naciskiem dwóch spojrzeń zaczyna śpiewać marsz żałobny Chopina. Tą, tą, tądą, tatatatataadą. Tą, tą, tądą, tatatatataadą.

Przerywa po paru taktach.

– Słyszeliście kiedyś o żołnierzach wyklętych? – pyta Dawid.

Przytakuję. Mateusz też. Czy można w Polsce nie słyszeć

o żołnierzach wyklętych?

– No więc to nie jest żaden z nich – kwituje Dawid i wraca do śpiewania. Tą, tą, tada, tatatatadą. Tą, tą, tada, tatatatadą.

Patrzymy na siebie z Mateuszem. On wzrusza ramionami. Ja mam dość. Wymijam Dawida i wychodzę przed dom. Podchodzę do jego samochodu. Nie zamknął, jak zwykle, więc otwieram bagażnik.

Poza błotnistymi śladami opon mojego roweru w środku nie ma nic. Żadnej czaszki. Żadnych okrągłych pakunków. W ogóle żadnych pakunków. Nawet pustych reklamówek z błotem w środku.

Mateusz zagląda mi zza pleców. Po czym patrzy na mnie i wzrusza ramionami.

– Opcja pierwsza?

Mam dość. Znowu mi się odbija Warszawą. Tam też niespecjalnie ktokolwiek słucha tego, co mówię. Bo kto by słuchał sprzątaczk.

Tą, tą, tada, tatatatadą, akompaniuje moim myślom Dawid. Niech spływa. Gwiżdżę na Niuškę, podchodzę do roweru.

– Na nas czas. – Wrzucam suczysko do koszyka.

Ostatni pociąg wywozi nas do Warszawy.

MARECZEK

A było tak. Marnotrawna Aniela pojechała. W takim razie pani Sylwia będzie sama w domu, tak pomyślałem. Popatrzę więc, co robi, kiedy jest sama. Lubię patrzeć na ludzi w ich domach, choć nie zawsze mogę, bo prawie wszyscy trzymają psy na podwórku, a one ujadają, kiedy ktoś się kręci pod oknami. Po to się przecież trzyma psa. Dziwny pies, który mieszkał u pani Sylwii, jedzie teraz w koszyku dziwnej Anieli, i są pewnie już gdzieś daleko. Więc stanę pod oknem i poszukam przerwy w zasłonkach, i będę patrzył do środka, jak sobie żyje nasza sąsiadka.

Ale już widzę, że przed bramą pani Sylwii stoi samochód. Ktoś do niej przyjechał i ten ktoś pewnie zje do końca zielone

i czerwone ciasto. Na pewno, bo przy stole siedzą panie, duże jak niedźwiedzie. Pani Sylwia też nie jest mała, siedzi z jednej strony, naprzeciwko niej druga, jeszcze większa, z ciemnymi, nastroszonymi do góry włosami, pani Bożena. Między nimi ta ogromna, ze złotymi lokami, co wygląda jak grubachny Kopciuszek i ma męża stolarza. A plecami do mnie najmniejsza, ona pracuje w restauracji i ma na imię Danuśka, co jest imieniem zgrabnym i malutkim. Poznają je po plecach, fryzurach, chociaż jest mało światła, tylko jakaś boczna lampka. Nie od razu zauważam, że przed nimi na stole wcale nie ma talerza z ciastem. Cieszę się z tego. Ale krótko się cieszę. Bo nagle robi się trochę strasznie.

Na środku stołu, między nimi, stoi coś dziwnego.

Nic nie rozumiem z tego, co widzę. Często nie rozumiem nic z tego, co widzę, ale teraz nie rozumiem jeszcze bardziej. Bo ta rzecz, która stoi między nimi, jest okrągła i trochę brudna. Miała też kiedyś oczy. Patrzą na nią jak zaczarowany. Kupiły ją w sklepie ze śmiesznymi rzeczami? Ale tamta była mniejsza. Ta wygląda jak piąta głowa. Taka dziwna, poważna, chudziutka i bez włosów. Nie wiem dlaczego, ale trochę się boję.

Między paniami stoi czaszka.

Cicho, na palcach, idę do furtki i wracam pod nasz płot.

Następnego dnia rano, w poniedziałek, mamusia zrywa mnie z łóżka, daje mleka z płatkami i wypycha za drzwi, zanim jeszcze tatuś się obudzi. Wnoszę pani Sylwii drewno do kuchni, zrzucam przy piecu.

Stół w kuchni jest pusty, nawet cukierniczki nie ma. Czaszki też. Podchodzę, przesuwam palcami po blacie. Stół jak stół. Podchodzę do kredensu, zaglądam do szafek. Nic. Otwieram lodówkę. Pachnie kiełbasą. Stan czaszek w lodówce: zero.

Pani Sylwia woła z pokoju, że zaraz się oporządzi i przyjdzie zrobić śniadanie. Czy jak mi płaci, to będę mógł coś zjeść?

Oporządzi, to słowo ma beżowy kolor i wygląda jak rajstopy.

Rozpalam. Zaraz robi się ciepło. I widzę, że jeszcze nie zaglądałem do kufra pod oknem. Podnoszę pokrywę.

– Czego ci trzeba? – Pani Sylwia już zdążyła znaleźć się

w połowie sieni i patrzy na mnie zdziwiona. „Tylko tam jej nigdzie nie grzeb – mówiła mamusia. – Ludzie tego nie lubią”. – Ciasta chyba już nie ma. A jeśli, to na pewno nie tam.

Wzruszam ramionami.

– Śniadanie chciałem pani zrobić. Za to mi płacą – mówię. Zawsze marzyłem, żeby powiedzieć takie dorosłe zdanie, że „za to mi płacą”, i wreszcie się udało.

Czy ja naprawdę widziałem tamtą czaszkę? Czy naprawdę stała między paniami i wszystkie na nią patrzyły? Nie wiem. To przecież może być jedna z tych rzeczy, które widzę tylko ja, tak jak tylko ja widzę kolory imion i innych słów.

Słowo „czaszka” jest szarobiałe, jak kość znaleziona w psiej budzie.

ANIELA

Nareszcie Warszawa. Karolina nie pyta, jak było w Świątkowicach, i dobrze, że nie pyta. Ale patrzy, jakby chciała coś wyczytać z mojej twarzy, z rąk, z tego, jak tulimy się z Niuską. Wzruszam ramionami, mówię:

– Jestem wreszcie.

Nigdy nie gadamy o niczym, co wydarzyło się w naszej wsi. Zresztą w ogóle rzadko rozmawiamy tak naprawdę, nie ma przecież kiedy. My się tylko zwięźle informujemy:

„Wypowiedział nam”.

„Prąd trzeba zapłacić”.

„Czyja kolej na kupowanie mleka?”.

Między nami jest niepisana umowa, a w niej tylko Warszawa, nie ma przeszłości.

I tak sobie idziemy przez życie obok siebie, rzadko się nawet widując, bo z powodu naszych godzin pracy wymijamy się jak w kadrylu. Tułamy się po Warszawie razem od dziesięciu lat. Czasem któraś odpadnie, jak ja do anarchistycznego squatu, kiedy przez krótki czas wydawało mi się, że znalazłam i receptę na życie, i kumpli na śmierć i życie. Albo jak Karolina, która na

osiem miesięcy wprowadziła się do tamtego faceta, ale coś jednak nie wypaliło. I znowu dzielimy kolejne dziwne ciasne mieszkanie, po kolejnym dziwnym pokoju, a jeszcze przedtem po kolejnej zagraconej suterenie w tym mieście marzeń. Gdyby Dickens mieszkał tu i teraz, może by nawet o nas napisał. A może i by nie napisał. Bo co jest ciekawego w naszej rutynie? Szósta rano, jadę sprzątać w siłowni. Zapocone od wczorajszego wieczora urządzenia, brudne ubikacje, zdeptane podłogi, zachlapanne lustra. Na koniec biorę prysznic w wyszorowanej przez siebie kabinie, wycieram ją do sucha, żeby nie było zacieków. Odpinam rower i do domu. Ale nie żeby odpoczywać, bo po powrocie mam w planie spacer z psem. Łazimy z Niušką po osiedlu, obchodzimy przysypane czarniawym śniegiem trawniki i przywykamy do tego, że znowu jesteśmy w mieście.

Parkuję Niuškę pod sklepem, nabywam nasze małe malownicze sprawunki, myśląc sobie, że i Dickens by nic z tego nie ukręcił, bo nie jemy spleśniałego chleba, tylko tostowy z folii. Ani żadnych ochłapów, tylko najtańszy ser z marketu, nijak nie romantyczny.

Ten facet miga mi gdzieś w dole ulicy Czarnomorskiej, ale przecież poznaję go od razu. Ciężki krok, ciężka sylwetka, ciężka, bo spuszczone głowa rzucająca spojrzenia bokiem, kurtka jak zawsze, czapka jak zawsze, minęło dziesięć lat, a mój ojciec wygląda jak zawsze i łązi po mojej Warszawie, po chwilowo moich Stegnach. Dziesięć lat go nie było, a musiał się pojawić właśnie teraz i – co gorsza – zaraz mnie zobaczy. Jeśli już mnie nie zauważył. Chowam się w sklepie, wciągam Niuškę za sobą, czekamy, aż ojciec zniknie z horyzontu, nie słuchamy protestów obsługi, że jak to z psem do spożywczego, odczekujemy, wychodzimy, czysto. Szybkim krokiem idziemy do naszej klatki, schody puste, co za szczęście, korytarze też, zamykam mieszkanie na oba zamki.

Skąd on, jak to, tutaj? Matka przecież przebąkiwała, że ojciec chyba wylądował za granicą. Czyżby wrócił? I zamieszkał przypadkiem akurat na Stegnach, obok mnie? Nie, niemożliwe, nie ma takich przypadków, musiało mi się zdawać. Przecież minęło dziesięć lat, musiał się postarzeć, na pewno teraz wygląda

inaczej. To nie mógł być on, powtarzam sobie, ale podchodzę do okna i zza załomu muru patrzę z naszego drugiego piętra na ulicę, po której porusza się wiele osób, i w każdej mocniejszej, ciemno odzianej męskiej postaci rozpoznaję ojca, by po chwili jednak stwierdzić, że to nie on. Prawdą jest jednak, że może być wszędzie, skoro go nie ma tam, gdzie powinien być, czyli w domu, na wsi, obok matki.

Grzebię w tapczanie, to chyba tam schowałyśmy zdjęte z karniszy firanki, wspólnie uznając, że bez sensu, by się kurzyły, a żadnej z nas i tak nie będzie się chciało ich prać. Teraz wiem, że w oknie dużego pokoju, który jednocześnie jest naszym salonem i moją sypialnią. Mówię „duży”, ale całe to dwupokojowe mieszkanie ma raptem trzydzieści metrów, więc ten „duży” ma ich pewnie ze dwanaście, ale to i tak luksus, bo na nas dwie mamy dwa pokoiki, co dawno nam się nie zdarzyło. Przez firanki za dnia nikt z ulicy nie zobaczy mnie w środku, prawda?

Adrenalina buzuje. Niepotrzebna mi nawet podwójna kawa, ale i tak ją sobie parzę, żeby przywrócić zwykły rytm dnia. Jak zawsze staję z kubkiem w oknie, ale po chwili cofam się w głąb pokoju. Kawa jest gorzka i parzy. Odstawiam ją na blat. Kanapka na drogę. Jabłko. Dać psu jeść. Wychodzę. W autobusie wydaje mi się, że czuję na sobie wzrok ojca. Rozglądam się. Nigdzie go nie ma, ale czuję to spojrzenie, aż mnie skóra swędzi.

I już siedzę w bibliotece na Koszykowej. Przychodzę tu regularnie. Czytam. Od jednej książki do drugiej, mądre, głupsze, trochę po omacku.

– A ty myślisz, że na uczelni mówią same mądre rzeczy? – łagodni zawsze moje niepokoje Karolina. Niczego tak jej nie zazdrościsz, jak studiów, które udało się jej skończyć. Przez pięć lat mogła robić to, co mnie się pewnie nigdy nie uda. – Studenci na pewno czytają mniej niż ty. Sama zrobisz więcej.

Tak, i papierek też sobie sama wystawię.

Karolina lepiej się urządziła w Warszawie niż ja. Skończyła studia, ma etat, porządną fryzurę i buty na słupku. Ale dostawała pieniądze, którymi regularnie wspomagała ją matka; pieniądze zarobione w sklepiku hydraulicznym w Świątkowicach. Miała

więc za co się utrzymać, gdy kończyła studia, nieważne, że to tylko wychowanie przedszkolne, ale jednak studia, po których zdobyła prawdziwą pracę, codziennie od siódmej do siedemnastej trzydzieści, w prywatnym przedszkolu. Prywatne brzmi dobrze, etat – jeszcze lepiej.

Ona więc w pracy, a ja w bibliotece, jak prawie co dzień. Czytam, ale dzisiaj nie widzę słów, tylko litery, którym trudno poukładać się w wyrazy. Zdawało mi się, musiało mi się zdawać, no bo skąd nagle ten ojciec, teraz, na Czarnomorskiej, gdzie mieszkamy z Karoliną ledwie od pół roku? Musiało mi się wydawać, pewnie dlatego, że ciągle myślę o mamie. O tym, jak wyrzuciła go z domu, zrobiła to dla mnie, a ja w podzięcie zapomniałam o niej. Zniknęłam. Na długich dziesięć lat. Byłoby nawet na dłużej, gdyby mój brat nie umarł. Gdyby nie pogrzeb Sebastiana, pewnie nie odwiedziłabym jej do końca życia, swojego lub jej. Cały czas o tym myślę i coraz bardziej mi przykro.

Gdy wracam do domu, gdy wychodzę na spacer z Niušką, rozglądam się pilnie i z lękiem, idę blisko ścian, blisko płotów, by w razie czego przywrzeć i zniknąć. I przywieram, bo ciągle mi ta ciężka postać z ciężką głową miga na horyzoncie. Niuška chwilami jest zadowolona, bo zabawa, a znowu chwilami zirytowana, bo nie rozumie, dlaczego nie może biegać, węsząc naokoło, tylko karnie, na smyczy, tulić się do murów.

Z ulgą odstawiam Niuškę do domu i lecę do kolejnej pracy, kryję się pod ścianami, spuszczam głowę osłoniętą kapturem i biegnę do autobusu, bo już jestem trochę spóźniona. I nagle przebiegam obok ciężkiej sylwetki z głową zwieszoną ku dołowi. Kiedy sobie uświadamiam, kto to, przyspieszam. Nie, nie chcę, dość, ojciec miał zniknąć z mojego życia, a ciągle tu tkwi, na każdym zakręcie. Przebiegam na drugą stronę ulicy, byle dalej od niego, ślepię z daleka, ciągle niepewna, czy to jednak nie był ktoś inny.

Nie wiem, kurwa.

Trzęsę się jeszcze, kiedy wchodzę do biura, gdy otwieram kantorek ze sprzętem i przebieram się w zielony kitelek sprzątaczkii. Widać, że odwilż, bo błotniste ślady prowadzące od

drzwi wejściowych pokrywają niemal całą podłogę. Wycieraczka pewnie została położona dla ozdoby, prawda? Ręce przestają mi latać dopiero, gdy zabieram się do sprzątanía niezliczonych kubków po kawie z biurek, parapetów, podłóg, z blatu w kąciku kuchennym, jeśli zabrakłoby kawy, padłby wszystkie biura w Polsce, już dawno to zrozumiałam.

Wreszcie nie wytrzymuję. Odsuwam ostatnie dwa brudne kubki, może przez tę chwilę zarosną pleśnią, siadam na biurku. Dzwonię do Karoliny.

– Widziałam go. Chyba go widziałam – mówię.

– Kogo?

– Mojego ojca.

Ona milczy. Mnie też niełatwo zapomnieć o niemal dziesięciu latach nierozmawiania o wszystkim, co dotyczy Świątkowic. Obie teraz czujemy się tak, jakbym nagle postanowiła rozebrać się do naga w autobusie.

– Widziałam go u nas na osiedlu.

– Zwariowałaś? Gdzie?

Opowiadam.

– Ja tam nigdy go w Warszawie nie spotkałam. – Karolina pociesza mnie, zelektryzowana zapewne tym, że dzwonię do niej z pracy, czego nigdy nie robię, chyba że stanie się coś ważnego, na przykład zabraknie w domu cukru i trzeba kupić.

– A gdzie go spotkałaś?

– Nigdzie. Ostatni raz w Świątkowicach. Potem już nigdy. Aniela, uspokój się. Zdaje ci się. Mnie się też tak kiedyś zdawało. Kiedyś, dawno.

– Zdawało ci się, że widzisz mojego ojca?

– Nie, swojego.

Milknę. Podejrzewam, że nasze przeżycia mogą być symetryczne, a przecież nigdy o nich nie rozmawiałyśmy, obie wymazałyśmy je z naszego życia grubą gumą do ścierania.

– Wydawało ci się... A nie myślisz, że to mógłby być naprawdę on?

– Nie sądzę – odpowiada Karolina i milknie. Tak, koniec zwierzeń, wracamy do normalności.

Wracam do domu trochę po dwudziestej trzeciej trzydzieści. Normalnie Karolina by już spała, ale dzisiaj kiwa się na kanapie przed buczącym bez sensu telewizorem i pije kawę plujkę, cedzi fusy zębami. Zrzucam buty. Klepie ręką w kanapę, obok siebie.

– Ale Niuśka...

– Już z nią byłam.

A przecież na ogół unika zajmowania się moim psem, tylko pod tym warunkiem pozwoliła mi go zabrać do domu.

– Powiesz mi, co tam się działo, w tych Świątkowicach? – zaczyna od razu, jakby się bała, że jeśli tego nie zrobi, to już nie będziemy umiały porozmawiać. – Dlaczego nagle, po tylu latach, zaczęłaś go widzieć?

– Nie nagle. Czasem zdawało mi się, że mi mignął. Gdzieś z daleka, jakiś cień, zarys. Ale teraz widzę go wszędzie. Całego. Takiego, jaki był.

– On nie wróci. Nie bój się, nie wróci.

– A skąd możesz to wiedzieć?

– Wiem. Oni są podobni. Oni są wszyscy strasznie podobni. Tak mówiła moja mama. Wyrwali się z domu i już ich więcej nie zobaczymy. Żaden z nich nie wróci. Możesz się nie łudzić.

Ona też, jak ja, nie mówi o mamie „mamusia”. Szkoła warszawska.

A poza tym w głosie Karoliny słyszę dziwną tęsknotę, o której wcale nie chce mi się myśleć.

W sobotę budzę się o piątej rano i gapię w okno jak w telewizor. Wyłączony, bo jeszcze ciemno. O piątej piętnaście postanawiam jeszcze się przespać. O piątej dwadzieścia rezygnuję. O szóstej dwadzieścia jesteśmy już z Niuśką i rowerem w pociągu. O wpół do dziewiątej siedzę naprzeciwko mamy w kuchni. Pytam, co wie o ojcu.

– Czy wiesz, dokąd poszedł? Czy dawał kiedyś znaki życia? Skąd? – dopytuję, a ona milczy, pewnie wolałaby traktować to jako sprawę zamkniętą i tu ją rozumiem, bo ja bym też wolała.

Mama wygląda blado i mizernie, więc proponuję, że posiedzimy trochę na dworze. Na ganku chociażby. Nieważne, że zimno, chodzi o tlen. Kroję jej jabłko na części, parzę herbatę, ustawiam

szklanę na taborecie na ganku, usadzam mamę na krześle, przykrywam kocem jak dziecko. Trochę świeżego powietrza. Kominy dookolne dymią czymś czarnym, na szczęście dym idzie wysoko, w chmury. Jeśli śmierdzi, to Panu Bogu. Jeśli Bóg istnieje.

Mamy dookoła siebie dużo jeśli i biegającego psa.

– Bo ja go chyba widziałam. W Warszawie. Możliwe, że to był on? Czy to możliwe, że ojciec pojechał za mną do Warszawy?

– Jak to: widziałaś go? – denerwuje się mama. – Przecież nikt poza Bożeną nie wiedział, gdzie jesteś. Skąd by wiedział, akurat on?

– Ale możliwe, że dekuje się w Warszawie?

– Niemożliwe. Ktoś by go chyba wcześniej zauważył? Tylu znajomych z okolicy tam przecież mieszka.

Wydaje się całkiem spokojna, nie protestuję więc, że ona też jakoś mnie przez dziesięć lat nie namierzyła, mimo tylu znajomych w Warszawie.

Wreszcie poklepuje mnie po plecach, pociesza takim „wszystko będzie dobrze”, w co chce się wierzyć, choć jest kłamstwem od początku do końca. Wiem, że pewnie nawet by mnie przytuliła, gdyby się nie bała, że na to nie pozwolę.

Policzki zaczynają jej się wreszcie rumienić. Z tego, co pamiętam, dzieciaki też się leżakuje na mrozie, żeby były zdrowe.

– Ale gdyby umarł, wiedziałabyś o tym?

Pewnie by wiedziała, przecież nie mają rozwodu.

Aż się wzdryga.

Wchodzimy do środka, rozgrzewamy się herbatą z rumem, siadamy na kanapie, przykrywamy kapami, tymi w różnobarwne paski, które babcia lubiła tkąć ze szmatek.

Mareczek przychodził przez parę dni, pomagał, ile się dało, oglądał telewizję, nawet ciasto drożdżowe upiekł pod kierownictwem mojej mamy, płaciła mu codziennie pod wieczór, ale potem Bożkowie zabronili mu wychodzić z domu. Pytała dlaczego, dowiedziała się, że podobno nabroił i ma karę. Mama się martwi o młodego, ja też, więc lecę sprawdzić, jak się miewa mój podopieczny, dla którego niemal opróżniłam swoje konto. Wchodzę na podwórko, ten biedny pies w budzie, za

ogrodzeniem, w malutkim boksiku, zdziera sobie gardło na mój widok. Pies na wsi wypada taniej niż alarm i jest bardziej skuteczny. Ale nikt nie wygląda z domu, nikt nie sprawdza, kto przyszedł. Podchodzę więc do drzwi ganku. Ze środka nic nie słysząc. Nie, źle mówię, słysząc telewizor. Pewnie dlatego nikt nie reaguje na moje pukanie. A pukam. I pukam. W końcu naciskam klamkę.

W środku telewizor aż huczy. Na kanapie Piotrek, przed nim obiad, solenny, jak to na wsi: ziemniaki, mięso, marchewka z groszkiem, obok garnek po rosole. Jego matka krząta się przy kuchni, podskakuje, gdy słyszy moje kroki. Żony jak zwykle nie widać.

Mareczka też nie.

– Witam sąsiadkę! – Piotrek się podrywa. – A co to za okazja? Mamusia, wyjmij flaszkę, trzeba uczcić, że ktoś z wielkiego miasta do nas przyjechał.

– Nie, dziękuję, ja tylko na chwilę – bronię się od progu. – Mam sprawę do twojego syna.

– A ten co znowu nabroił? Nie mam siły do tego bachora! Już tutaj, tłumaczyć mi się! – ryczy Piotrek w kierunku korytarza. – Chodź tu, gnoju!

Młody się pojawia niechętnie zza którychś drzwi, zgarbiony, jakby czekał na ciosy. Prostuje się trochę dopiero, kiedy mnie zauważa.

– Sąsiadka przyszła się na ciebie poskarżyć! Coś ty znowu nawywijał, gnoju? Kto cię tak źle wychował?!

W tym świetle nie widzę dobrze, ale młody chyba nie ma nowych siniaków na twarzy.

– Znowu głupot o sąsiadach naopowiadał?

– Ale ja nie... Ja tylko mam taką małą sprawę do Mareczka...

– Gnojek nie ma teraz żadnych spraw. Ma karę! Przeprós sąsiadkę i spieprzaj do pokoju!

Leciutko kręcę głową, że nie musi przecież przepraszać, ale Marek bąka pod nosem:

– No przepraszam. – I wychodzi.

– Sąsiadka się nie gniewa. Sąsiadka usiądzie, a mamusia poda

nam zaraz szklanki i coś do szklanek na przeprosiny.

Wymawiam się od wódki, ale ten już się zdążył obrazić, ryczy, że przez gnoja nawet sąsiedzi nie chcą ich znać. Wycofuję się do sieni, rzucam szybkie „do widzenia, przepraszam za najście” do pani Haliny i zmykam. Chciałabym zajrzeć do małego chociaż przez okno, ale pies znowu szaleje, skacze na swoją siatkę, ostrzega, że obcy przy oknie. Pies na dworze, pan w domu. Wrzask. Boże, jak mi szkoda tego dzieciaka.

Widzę, że Mareczek właśnie przeciska się przez okno łazienki, skacze w śnieg, podnosi się, otrzepuje i prostuje przede mną, jak ubabrany śniegiem niedorosły elfik ze świeczką u nosa.

– Już ci się skończyła kara? Podobno nakłamałeś o sąsiadach?

Młody wzrusza ramionami.

Jeszcze nie opracował dorosłych sposobów unikania odpowiedzi, więc tylko spuszcza głowę i skupia się na swoim patyku.

– Wiesz, jaki kolor ma imię Aniela? – pyta wreszcie.

– Kolor?

– Tak. Każde imię ma kolor. Wiele słów ma kolor.

– Gdzie ty widzisz te kolory?

– W mojej głowie. Kiedy mówię Aniela.

– To jaki ma kolor?

– Jest biała i ma takie czarne plamy.

– A Andżelika?

– Różowa. Jak lizak.

Kiedyś czytałam o widzeniu kolorów dźwięków. Mieszanie wrażeń zmysłowych, to się nazywa synestezja. Miewają to niektórzy poeci. Albo nadwrażliwcy. Albo dziwacy. Janko Kurwa Muzykant ze Świątkowic. Marko Kurwa Poeta zza Płota. To też jest jakaś rzeczywistość, cóż, że jednostkowa.

– Powiedziałem babci, że pani Sylwia trzyma w kuchni na stole ludzką czaszkę.

Motyw czaszki w Świątkowicach powraca jak bumerang.

– Moja mama? A po co? Cukier w niej trzyma?

– Jaki cukier? Nie, stała na stole, a one siedziały dookoła.

– One?

– Te panie. Te panie, co tu przychodzą do pani Sylwii.
Sobótki.

– Siedziały dookoła i co robiły?

– Rozmawiały. Krzyczały. Kłóciły się.

– O co?

– Nie słyszałem. Szyba.

– To skąd wiesz, że się kłóciły?

– Miały czerwone twarze. Machały rękami.

Tak, to mi wygląda na Sobótki.

– Ile ich było?

Mareczek zaczyna rysować patykiem w błocie. Prostokąt, czyli nasz stół. Czaszka pośrodku, odrobiona artystycznie, jakby rysował piracką flagę. Dookoła trzy duże owale z nastroszonymi włosami i małe kółeczko z dłuższymi kosmykami.

– Cztery kobiety?

– Trzy duże i jedna malutka.

Trzy duże? Niemożliwe, żeby przyszła do nas również ciotka Bożena, przecież panie się gniewają. Cóż, mały zmyśla, aż furczy.

Zresztą chyba powoli zaczynam rozumieć, co usiłuje mi powiedzieć.

– I tak samo widziałeś czaszkę na stole u mojej mamy w kuchni? W swojej głowie? Jak kolory moich imion?

Ale on tylko masuje się po tyłku. To tam prawdopodobnie zarobił razy za rozprowadanie głupot o sąsiadach.

– Nie wiedziałem, że takich rzeczy się nie mówi. Przecież nie jestem głupi. Ale nie wiedziałem.

Przejeżdżam ręką po tej jego wielkiej czapie.

– Nie gniewamy się. Wracaj do domu, żebyś sobie gorszej biedy nie napytał. I wpadnij do nas, jak ci się kara skończy. Zostaję do jutra. A moja mama czeka na ciebie cały czas.

Uśmiecham się do niego, w zamierzeniu krzepiąco, ale nie odwzajemnia uśmiechu.

– Podobno jest u ciebie jakaś czaszka – rzucam od progu domu.

– Ponoć używasz jej zamiast cukiernicy. To za te kłamstwa Mareczek ma karę i ma nie wychodzić z domu. Nie martw się, siedzi zamknięty w pokoju, ale dali mu obiad.

Mama jednak się nie śmieje, nie oburza, jak podejrzewałam.

– Takich rzeczy naopowiadał? – Kręci głową, że niby dzieciak ma wyobraźnię. – Znowu go zbili?

– Chyba nie. Nie widać. Trzyma się.

– Przyjdzie do nas?

– Na pewno. Kiedy mu się skończy kara. Lubi być tutaj.

A mama mówi, że musi do toalety. W życiu nie mówiła „toaleta” na kibelkę. Zamyka się tam, słyszę jej wzdychanie, nad którym nigdy nie umiała zapanować. Puszczą wodę z kranu i nagle słyszę jej ściszony głos. Szepcze do umywalki? Nie, do telefonu. A wodę puściła, żebym nie słyszała rozmowy. Z kranu ciurka, jakby matka nagle uznała, że są ważniejsze sprawy niż przepełnione szambo. A ja zastanawiam się, czy ta (chyba) czaszka ma coś wspólnego z tamtą, którą (chyba) widziałam w bagażniku samochodu Dawida. Wszystkim wydaje się ostatnio, że widzą czaszkę w Świątkowicach. W różnych, nieoczekiwanych miejscach.

Jakby jakieś miejsce było oczekiwane.

Chodzę po domu, zaglądam we wszystkie kąty, starając się to zrobić jak najciszej, choć przecież nie jest łatwo, gdy obok mnie uderza w podłogę pazurkami Niuśka. Ale łażę i zaglądam do kredensu, do szafy, do skrzyni pod oknem, i szukam, szukam czaszki. W końcu zyskuję pewność: nie ma jej tutaj. Mały zmyślił. Musiał zmyślić. Głupi, kto mu wierzy. Muszę wyłączyć podejrzliwość mojego umysłu, muszę wreszcie.

– Czego szukasz? – pyta mama, która wyszła wreszcie z łazienki z uchem i policzkiem aż czerwonymi od telefonowania. Gra obojętność, ale nie dostałaby roli nawet w telenoweli. – Zupełnie podgrzeję. – I zaczyna się krzątać o tej swojej kuli, udając dzielną jak zawsze.

A ja jej na to pozwalam.

Niepostrzeżenie zgarniam ze stołu jej komórkę i sama idę do kibelka. Nie mogę uwierzyć, że to robię, ale jednak: przeglądam historię połączeń. Mama przed chwilą dzwoniła do Bożeny. A przecież trwają w stanie wojny. Nic z tego nie rozumiem.

– A co tam u Bożeny? – pytam podchwytliwie, gdy tylko

wróciłam do kuchni i podrzuciłam jej komórkę na kredens.

– Wszystko dobrze – mówi mama.

– Pogodziłyście się?

– A czy myśmy się kiedyś kłócili?

I tak trudno było z nią gadać, a teraz podwójnie.

– Po co dzwoniłaś z łazienki? Żebym nie słyszała, jak rozmawiasz, prawda?

Mama jest wyraźnie zdenerwowana.

– Tobie nie można zrobić żadnej niespodzianki – narzeka.

Niespodzianki? Jakiej niespodzianki?

I wtedy zaczyna czekać Niuśka, a chwilę potem pod domem zatrzymuje się samochód.

– Po to dzwoniłam – oznajmia mama lekko obrażonym tonem. – Właśnie po to. Ubieraj się, córko.

Wyraźnie unika używania mojego imienia. I starego, i nowego.

Z samochodu wysiada pod bramą ciocia Agnieszka.

– Sylwia, masz wszystko?

Podnosi plastikową skrzynkę sprzed ganku, wypełnioną licznymi zawiniątkami, i wsadza ją do bagażnika, a ja wciskam mamę na siedzenie z przodu. Sama siadam z tyłu, obok Bożeny. A jednak pogodziły się. To już oficjalne. Dla mnie lepiej. Przecież ciocia Bożena to moja ulubiona Sobótko.

Parkujemy pod Magnolią, czyli restauracją Danuśki. Sobótki wprowadzają mamę do środka, wnoszą swoje pakunki do kuchni, a Danuśka oprowadza mnie z dumą po swoich włościach. Z zewnątrz – wystawnie, jest nawet ogródeczek z fontanną i ozdobnymi krzewami rozpiętymi na pergolach, obszar tak bardzo ceniony przez młode pary podczas poślubnych zdjęć pozowanych. Ścieżki wyłożone chodniczkami z kolorowej kostki, żeby się biała suknia nie upaprała, a szpilki nie zapadły. Duża liczba ozdobnie strzyżonych chojaków, żeby i zimą ładne zdjęcia wychodziły. Kiedy ciocia Danuśka wychodziła za swojego Mariusza, właściciela Magnolii, przed knajpą rozciągało się ponure klepisko używane jako parking. Danuśka może i jest delikatna jak elfik, ale ma siłę i parę do zmian, teraz to widzę.

Sobótki już zaczynają krzyczeć, że jeść im się chce, więc

Danuśka biegnie do kuchni, a ja za nią, chcę jej pomóc. Ale wypycha mnie, bo co to by była za niespodzianka.

Łażę więc po knajpie, podziwiam ściany pomalowane na różne kolory, obite sztuczną skórą krzesła, stoły przykryte bieżnikami, zastawione doniczkami z plastikowymi kwiatkami. Na ścianach tryptyki z Allegro, bezpieczne, niekonfliktowe, bo z kwiatami. W Warszawie śmialiby się z tego wnętrza, tak jak z mojego imienia, Andżelika. Tu i jedno, i drugie wydaje się całkiem na miejscu. Dwa światy równoległe rozdzielone dwiema godzinami jazdy pociągiem.

Zaglądam za kotarę, przykurzoną, z bordowego, grubego materiału. Boczna salka z automatami do gry, gdzie pachnie niespełnionymi nadziejami i latami dziewięćdziesiątymi. Tej ewidentnie jeszcze nie zdążyli wyremontować. Bordowe ściany sprawiają, że czuję się, jakby mnie połknął ktoś ogromny. Wieloryb. Lewiatan. Lewiatan to taki supermarket, twierdzą wszyscy, bo każdy tam jeździł i kupował piwo, natomiast Biblii nie czytał raczej nikt. Katolicka Polska.

Mój brat też chodził na te automaty i pewnie bywałyby tu częściej, gdyby miał pieniądze na granie, a nie tylko czas na patrzenie.

– Mój mąż przegrał tu mnóstwo pieniędzy – szepcze ciocia Bożena, która wślizgnęła się tu za mną, a teraz stoi wpatrzona w automaty, i kręci głową, jakby chciała unieważnić wszystkie te maszynki dla dorosłych chłopców. – A ty, widzę, całkiem się już ze Świątkowicami przeprosiłaś? To dobrze. Nareszcie.

– Wyście się też przeprosiły, prawda? Z moją matką?

– Tak powiedziała?

– Tak – blefuję.

– To dobrze. Bo to prawda.

– Dobrze. Ale tak nagle? Po latach?

– To chyba dobrze, że udało się nam wreszcie dogadać? Po latach?

– Ale dlaczego?

– Może wreszcie dojrzałyśmy do tego. A może chodzi o to, że ty się z nią pogodziłaś. – Ciocia Bożena kiwa głową. – Trzyma się

myśli o tobie jak kotwicy. Bo kiedy się dowiedziała, że Sebastian nie żyje, myślałam, że się rozsypie i już nie pozbiera. A teraz znowu zobaczyła cel w życiu. Dziękuję, że zostałam wtedy u niej. I że przyjechałaś do niej dzisiaj. Dużo się pozmieniało dzięki tobie. Sylwia pogodziła się z synową. Będzie miała kontakt z małym. Zawsze jakaś pociecha. Wielu dobrych rzeczy udało ci się tutaj dokonać, Andżelika. – I milknie na dłuższą chwilę. Po czym zadaje pytanie: – Karolina nie chciała z tobą przyjechać?

– Coś tam miała. Nie mogła – ściemnia w imieniu mojej współlokatorki.

– Zawsze coś tam ma. – Ciocia Bożena wzdycha głęboko. – Widuję ją tylko w Wigilię, chyba że sama do niej pojedę. Ale ty...

– Ja mam do nadrobienia dziesięć lat.

– Bardzo dobrze, nadrabiaj. A nie jest tak, że wróciłaś tu znowu trochę też z powodu Dawida?

Patrzy przez okno, jakby to pytanie wcale nie było ważne, jakby głos wcale jej się nie trząsł.

– Jak to „z powodu Dawida”? – pytam.

Ciocia wreszcie spogląda mi w oczy.

– No bo przecież z nim chodzisz?

Zaprzeczam. Ale ciocia drąży:

– A tamtej nocy, tydzień temu, kiedy oboje wróciliście do domu nad ranem? Szliście objęci przez całe Świątkowice? Myślałam, że się znowu zeszlście?

Świątkowicki wywiad działa nawet o piątej rano, czy która tam była. A poza tym: znowu? Zeszliśmy?

– Tylko się nie obraż, ale nie mam kogo o to spytać. Czy... Czy ty kiedyś kochałaś się z Dawidem? – wypowiada na jednym wydechu.

Słucham?!

Dopiero po dłuższej chwili załapuję. To nie jest atak na mnie, że podrywam ukochanego syneczka. To nie jest gwałcenie mojej prywatności, tym boleśniesz, że ciocia naprawdę o mnie dużo wie. To jest troska o Dawida, który ma dwadzieścia siedem lat, a tu zero dziewczyn dookoła niego. Jeden Mateusz, o którym ciocia pewnie nie wie, co myśleć. Albo wie i wypiera.

– Ciociu, myśmy się zawsze tylko przyjaźnili. Może czasem ja myślałam o czymś więcej. Ale on nigdy nie zrobił nic, co by wykraczało poza granice przyjaźni. Jest w porządku, naprawdę.

Ciocia Bożena wypuszcza ze świstem powietrze z piersi.

– A słyszałaś, żeby miał kiedyś jakąś dziewczynę? Mówił ci o jakiejś?

– Ciociu, nie uważasz, że o takie szczegóły najlepiej spytać właśnie jego?

Znowu ciężko wzdycha.

– Myślisz, że go nie pytałam? Tylko że wiesz, jak rozmawia się z Dawidem. Raz odpowiada, że zwiąże się z jakąś kłaczą, bo jeśli tyją, to tylko w brzuchu, a on nienawidzi grubych nóg. Potem mówi, że nie znosi dzieci i żebym w tym względzie liczyła tylko na Karolinę, bo on się boi, że nawet gdyby jakieś miał, to zaraz by je niechcący powyduszał.

Tak, rozpoznaję styl Dawida. Jego niepowtarzalne metody unikania odpowiedzi na poważne pytania. Jego skłonność do obrażania wszystkiego, co się rusza. Ale nie będę wchodziła w tę historię, o nie. Nie mam prawa zdradzać tajemnic kolegi. Sam powinien do tego dojrzeć.

Dawid. Dojrzeć. Hahahaha.

Nie wytrzymuję pełnego nadziei spojrzenia ciotki.

– Wiesz, jaki jest Dawid – oznajmiam. Jedno ze zdań, które nic nie znaczą, ale przerywają ciszę i zawiązują kolejną nitkę kontaktu. Wiele osób takie wypowiada. Do tej pory zdawały mi się bez sensu.

– Wiem. – Uśmiecha się smutno. – Wiem.

Ale nie ma czasu na smutki, bo wołają nas do sali restauracyjnej, gdzie ciotka Danuśka zaczyna tłumaczyć, jakie jest nasze zadanie. Otóż takie, że postanowiła trochę zmienić kartę, rozszerzyć ją, żeby ludzie czasem przyszli tu z ciekawości, zjeść coś innego niż w domu. Ciocia ogląda regularnie Kuchenne rewolucje, więc ma wiele nowych pomysłów. Znika w kuchni i zaraz wraca z pięcioma miseczkami na tacy. Na pierwsze zjemy szczawiową z ćwiartkami jajka rozłożonymi jak kwiat. W środku ciocia uformowała piękny kopczyk z ziemniaczanego purée.

– Szczaw w słoikach od lokalnego dostawcy – chwali się. I słusznie, że się chwali, bo zupa pyszna, wspomnienie wiosny zimą.

– Lokalny dostawca. – Sobótki się śmieją. – Sylwia, dałaś radę.

Wyjaśnia się więc, co było w skrzyni, którą kobiety wyniosły od nas z domu. Słynne przetwory mojej mamy, które zawsze pod koniec lata wypełniały spiżarnię. Nie miałam pojęcia, że teraz zaczęła je sprzedawać. Ale to super, że ma taki fajny pomysł na zarobek. Szybko okazuje się, że nie tylko taki. Otóż mama od jakiegoś czasu w Magnolii również pracuje. To znaczy pracowała, zanim się połamala. Pomagała Dance w kuchni przy większych imprezach. Podawała do stołów. Podsuwała pomysły. Sobótki dbają o siebie nawzajem. Kłóćą się, ale dbają. I mama wróci tu do pracy, miejsce na nią czeka, zapewnia ciotka Danuśka.

Druga wersja szczawiowej ma maleńkie przepiórcze jajeczka zamiast kurzych. Trzecia – skwarki na ziemniakach. Próbujemy, sprawdzamy. Wygrywa wersja z jajkami przepiórczymi i okrasą na ziemniakach. Ludzie lubią nowości, ale i znane smaki. Biedna zupa, ale na bogato. Genialnie.

– Będą kupować – chwalimy, a ciocia Danuśka rozkwita.

Sobótki są zadowolone i rozchichotane z powodu zawieszenia broni między Bożeną a moją mamą. Poważnieją, gdy przypominają sobie, że nie wypada chichotać przy kobietach w żałobie. Ale potem znowu coś im się przypomina i zaczynają się zaśmiewać. A mamie to dobrze robi.

Mnie w sumie też.

Na drugie pierś kurza moczona w jogurcie, przez co mięso ma nabrać szlachetności, faszerowana grzybami leśnymi, które zbierała i przerabiała na sos do weków również moja mama. Do tego kluseczki rozmarynowe z dziurką. Albo kluski koperkowe, mamy ocenić, które bardziej pasują. I zimowy, słodki, pieczony burak pokrojony w plastry, z orzechami. Albo z rodzynkami, też mamy wybierać.

Wybieram kluski rozmarynowe i buraka z orzechami.

– Jest pysznie, jest inaczej – mówię to od razu cioci Dance, a ona jest dumna.

– Jak w Warszawie, prawda? Jak w Warszawie? – dopytuje ciocia Danuśka.

Nie mam kasy na chodzenie w Warszawie po lokalach innych niż McDonald's, ale widzę, że jej zależy.

– Lepiej – oświadczam, a ona rozkwita. – Jest lepiej niż w Warszawie.

I w sumie nie kłamię. W Warszawie dania nie smakowałyby trochę latem, trochę lasem. Tu smakują bezpieczeństwem i beztrąską. Sobotnimi obiadami po grzybobraniach. Dzieciństwem.

Sobótki zgodnie uważają, że oto pojawiła się nowa szansa na podbicie miejscowych serc i żołądków czymś innym niż lokalne hity stypowe i weselne, czyli rosół, pomidorowa, schabowy i pierogi. Wszystkie zgodnie uważają, że Danuśka tchnęła nowego ducha w tę knajpę i że jeszcze będzie z Mariuszem tarzać się w forsie, bo cała okolica zjedzie się na te jej pomysły.

– Mariusz jeszcze o tym nie wie – mówi Danuśka. – Chciałam pokazać najpierw wam.

– Nie mówiłaś mu?

– Pozwolił mi eksperymentować z ciastami, dlatego zrobiłam to zielone i czerwone. Reszta menu jest taka sama od lat i Mariusz uważa, że się sprawdza. Że nie ma co dziwić. Ale ja chcę przyciągnąć innego klienta, nie tylko tego od stypy i wesela. Co szkodzi spróbować? Jak mówicie, że dobre, to nie będę mu się bała pokazać tych nowości.

– Zresztą i tak to ty zajmujesz się knajpą, Danuśka – dodaje ciocia Bożena. – Nigdy nie widziałam tu Mariusza.

– Klientów czasem przywozi, jak ma coś obgadać przy obiedzie. Poza tym wszystko spuścił na mnie. Więc się staram.

– Spuścił! – parska Agnieszka.

Znowu zaczynają chichotać jak dzierlatki. Czasem mi za nie wstyd, dorosłe kobiety, ale potem patrzę na twarz mojej mamy, dumnej, że może dorobić sobie tymi swoimi słynnymi przetworami, rozświetloną chichotem koleżanek, i mnie też lepiej.

I nagle ktoś z impetem wchodzi do środka.

– Ale dzisiaj przecież zamknięte. – Danuśka zrywa się z miejsca.
– Masz gości? A na kasę nic nie nabite – słyszę męski głos z pierwszej sali.

Ciocia Danuśka sztywnieje. Reszta Sobótek też.

– Mariusz miał być dzisiaj w Lublinie – szepcze do nas ciocia Danuśka. – Do samego wieczora.

Idzie do pierwszej sali, by tłumaczyć się mężowi przyciszonym głosem.

– Nabiję. To znaczy my tylko... – dobiega do nas. – To nie są pełnowartościowe dania. To są próbki.

Zza drzwi dzielących obie sale wychyla się mąż cioci Danuśki, jeśli ona wygląda jak lisiczka, to on wygląda jak aligator, jego wypukłe oczka oceniają gramaturę naszych kotletów, wielkość talerzy, obfitość jedzenia.

– Próbki?! – Chowa się znowu za drzwiami, które przymyka, ale ciągle słycać, jak syczy do żony.

– Rozważam zmianę karty.

– I po co tych głupot tyle w telewizji oglądasz, po co wymyślasz, po co tracisz pieniądze?! Po co karmisz przyjaciółeczki tym, na czym powinniśmy zarabiać? A poza tym ta stypa ciągle jeszcze nierozliczona.

– Ja chciałam... Ja zwrócę... To głównie koszt produktów i mojej pracy przecież... Za którą sobie nie policzyłam. To przecież nasza pracownica. Sąsiadka. Przyjaciółka.

Mama odkłada sztucce.

– Stypa? Co z tą stypą? – dziwi się półgłosem. – Płaciłam przecież. Dziwiłam się, że tak mało, ale pomyślałam, że policzyli mniej, bo po kosztach. Przecież tu pracuję.

– Nie martw się. To ciebie nie dotyczy – uspokaja ją ciocia Agnieszka.

– Jak to: nie dotyczy? Przecież chodzi o stypę Sebastiana.

– Podejdę zaraz do tej twojej Sylwii i sam spytam, skoro nie potrafisz tego wytłumaczyć – dochodzi z zaplecza głos męża cioci Danuśki.

– Serca nie masz. Ona niedawno straciła syna.

– Sercem się nie najemy. – Mąż Danuśki jeszcze bardziej

podnosi głos. – Sercem nie zapłacimy ludziom. Dostawcom. To nie jest zabawa, to jest biznes, zrozum to wreszcie, kobieto!

– A co, ona niby nie rozumie? – zżyma się Bożena, cicho, tylko do nas, żeby nie zadrażniać. – Danuśka siedzi w tej knajpie po kilkanaście godzin dziennie. I wszystko rozumie.

Mama o kuli podnosi się z trudem z krzesła i kuśtyka do drzwi.

– Chciałam wyjaśnić sprawę stypy, sąsiedzie – tłumaczy.

– Ty mi tu, Sylwia, nie sąsiaduj – denerwuje się tamten. – Restauracja musi zarabiać. Nie będziemy robić wszystkiego po kosztach. Tu co druga to wdowa albo samotna matka. Gdybyśmy wszystkie gościli za darmo, równie dobrze moglibyśmy zamknąć biznes. Rozumiesz to chyba?

– Oczywiście. Tak też się właśnie umówiłam z Danuśką – blefuje moja mama. – Zapłacę, gdy tylko mi ZUS przeleje zasiłek pogrzebowy. Czy już podliczyłeś, ile ci jestem winna, szefie?

Głos ma pewny, choć jeśli ktoś ją zna, wyczuje, że jest bliska płaczu. W takim razie chyba ją dobrze znam, uświadamiam sobie, bo słyszę. Podnoszę się więc i idę stanąć u jej boku. Sobótki robią to samo.

Ledwie się mieścimy w tych drzwiach, więc dotykamy się ramionami, biodrami. Zza barków mojej mamy widzę, że ciocia Danuśka ma łzy w oczach.

– To nasz wspólny biznes – tłumaczy mężowi. – Chciałam przyjaciółki spytać o radę.

– Wspólny? Zapisany jest na mnie. Miałem go jeszcze przed ślubem.

– Zasuвам tutaj od rana do wieczora. Nie mam z tego ani grosza. Ty czasem dowiesz mięso i tyle. Całą resztą zajmuję się ja. I nie mogę czasem ugościć tych, których bym chciała? Żebyś mi jeszcze pensję płacił.

– Pensję? Żonie? A czego ci się zachciewa? To jest nasz wspólny interes.

– Ciekawe, że wspólny jest tylko wtedy, kiedy bym chciała dostać z niego pieniądze – rozząła się ciocia Danuśka. – Ale dla ciebie jest wspólny, bo ja wkładam tu pracę, a ty wyjmujesz pieniądze.

– Chyba źle gotujesz, bo pieniądze są żadne. Albo wszystko rozdajesz.

Ciocia Danuška stoi ponizona, ze spuszczoną głową. Ciekawe, jaki ma teraz wyraz twarzy. Gdybym ciągle była dziewczynką, podeszłabym i zajrzała od spodu w jej twarz, a tak mogę się tylko domyślać.

Rozgrzebane dania zostały za naszymi plecami. Teraz, po tych wrzaskach, nic już nie zjem. Psychika ma stuprocentowe przełożenie na mój brzuch.

Słyszę z tyłu szelesty. Sobótki grzebią w torebkach. Moja mama wysypuje na blat stołu właściwie wszystkie pieniądze, jakie ma w portfelu, zgarnia je na dłoń i kuśtykając o kuli, zanosi do pierwszej sali, do bufetu, gdzie wysypuje wszystko przed mężem cioci Danuški. Kolejne kobiety robią to samo. Ja dorzucam dziesiątaka. Nie to, że nie doceniam wagi manifestacji, ale doprawdy muszę mieć z czego żyć.

Danuška podnosi głowę i mówi:

– Ale... Ale... Ale wy...

– To tylko pieniądze. Jeśli można za nie kupić twój spokój, chętnie damy, ile trzeba. – Z ust cioci Bożeny wieje patosem.

Źle znoszę takie wstawki, a z drugiej strony ma kobieta rację. Choć polemizowałabym co do formy.

Mąż cioci Danuški niezrażony jednak wcale zgarnia wszystko i przelicza banknoty, śliniąc palce.

– Za dzisiaj pokryłyście. Za stypę częściowo. Bo należy się jeszcze trzysta osiemdziesiąt. No, niech stracę, trzysta, rabat po starej znajomości. Kiedy się mogę spodziewać reszty, Sylwia?

Danuška siada przy którymś ze stolików i chowa twarz w dłoniach. Mogę się tylko domyślać, co się maluje na tej twarzy.

Choć nie, chyba się myliłam. Bo Danuška znienacka wstaje, idzie do sąsiedniej sali. Słysząc trzask, stukanie. Zaglądamy tam. Danka przechyla talerz za talerzem, wyrzucając nasze jedzenie to na stolik, to na podłogę. Po czym zostawia wszystko jak leci i idzie w kierunku wyjścia z restauracji.

– Wracaj! Wracaj i sprzątaj, kobieto!

Buraki mieszają się na stołach, podłódze z kluskami, kolory

atakują się ku ogólnemu niesmakowi. Robi mi się coraz bardziej niedobrze, boję się, że zwymiotuję. Ciocia Danuśka wychodzi z knajpy. Ja za nią, z żołądkiem zwiniętym w supeł. Za mną reszta Sobótek.

– Pożałujesz! Popamiętasz! – wrzeszczy mąż cioci Danuśki. – Jak wyjdiesz, możesz już tu nie wracać!

Danuśka stoi oparta o samochód cioci Agnieszki. Gdy słyszy, że nadchodzimy, unosi głowę. Nie, nie płacze. Zanosí się od śmiechu.

– Ale miał minę, co nie?

W oknie miga twarz jej męża. Jest ewidentnie wściekły, ale nie odważa się wyjść między zaśmiewające się kobiety. Wiem, że triumf jest tylko chwilowy, że ciocia Danuśka jeszcze pożałuje, że jeszcze będzie zaszuwać dniami i nocami w tej knajpie, by zmasać swoją winę, że może nawet będzie przykładać mrożonki do sińców. Z tego wszystkiego zdaję sobie sprawę, ale cieszę się też, że będzie miała wtedy do czego wracać pamięcią. Do chwili triumfu nad mężem i wspólnego z niego śmiechu, aż mu w piętę poszło.

Ładujemy się do samochodu i jedziemy. Nie, nie do żadnego domu. Cóż z tego, że dopiero zaczął się marzec, skoro my zgodnie ze starą tradycją wybieramy się nad rzekę, na stare kąpielisko Sobótek. Bo wszystkie uznały, że nic tak dobrze nie zmyje tego niesmaku jak lodowata kąpiel.

Jadę z nimi, jakbym była jedną z nich.

Idą tą samą drogą, co Dawid z Mateuszem parę dni temu, znowu widzę, jak sprytnie sznurki i płachty z drelichów chronią przechodzące przed napastliwością jeżyn. Moja mama już świetnie sobie radzi z tą kulą, zaszuwa na niej jak Janina Ochojska. Gips owinęłyśmy szczelnie folią spożywczą i reklamówkami, mama wygląda jak żywy baner Biedronki. Dochodzimy na brzeg, a przez Sobótki jeszcze przechodzą fale tamtego śmiechu spod restauracji. To nie jest damski chichocik, to śmiech z głębi trzewi, silny i grzmiący. Jak miło go słyszeć. Sobótki zrzucają te na wpół odświeżone ubrania, w które odstroiły się na obiad. Pomagam mamie rozpiąć stanik, zsunać spódnice. Zrzucam swoje ciuchy. Machamy ramionami, jakbyśmy chciały się unieść w górę, przy

czym jeden z ptaków macha tylko jednym skrzydłem, ten ptak to moja mama, bo drugim wspiera się o kulę. To część rytuału, tłumaczy mi ciocia Bożena, bo przed wejściem do lodowatej wody należy się rozgrzać. Stoję goła i chuda obok tych niedźwiedzi i lisicy, usiłuję jak one machać ramionami, poruszać nogami. Pierwsza wchodzi do rzeki ciocia Danuśka, kolejne za nią, podtrzymując moją mamę. Wchodzą do pasa, to jakieś dwa metry od brzegu. Patrzą na mnie.

Gdy zdejmuję buty, trawa wydaje się lodowata, piasek na brzegu aż parzy z zimna. Niemożliwe, żeby dodatkowo jeszcze wchodzić do wody. Tamte jednak już są w środku, wstyd nie dołączyć, gdy już się rozebrałam i zdeklarowałam. Daję krok. Woda jest tak niewiarygodnie zimna, że aż stopy zastygają ze zdziwienia. Łydki. Kolana.

– Nie zastanawiaj się, wchodzi! – krzyczą kobiety, wszystkie starsze ode mnie i takie dzielne, a zwłaszcza moja mama, która odrzuciła kulę i wspiera się na ramieniu cioci Agnieszki. Więc daję wbrew sobie krok do przodu, sama nie wierzę, że to robię. Zanurzam się do pasa, mróz, i żeby mieć to już za sobą, zanurzam się po szyję. Wszystkie się zanurzamy, parszając, piszcząc. Wynurzam się z ulgą, wybiegam czym prędzej na brzeg i nagle... robi mi się ciepło. W całym ciele zaczynają buzować strumyczki ciepła, energii, jak bąbelki w spienionym szampanie. Jest mi gorąco, niebo wydaje się bardzo niebieskie, a mnie się wcale nie chce ubierać, stoję naga na swoich butach i czuję, że jestem częścią tej zimy, tej wioski, tej grupy. Tamte się wcale nie spieszą, żeby wyjść z wody, przykucają wiele razy, żeby zanurzyć się po szyję. Dopiero później powoli i ostrożnie prowadzą moją mamę na brzeg. Czekam na nią z ręcznikiem, ale trudno mi ustać, bo aż mnie roznosi.

Proszą, żebym koniecznie się wytarła. Robię to, ale bez przekonania. Agnieszka narzuca na moje nagie ciało sweter.

– To uczucie zostanie, ale się ubierz.

Więc wciągam na siebie wszystko z powrotem, a krew we mnie buzuje z nową energią. Wsłuchuję się w swoje obudzone ciało, euforia! Żadnej kawy nie trzeba. Wszystko pięknie w środku

chodzi, wydziela ciepło, a świat jest przyjazny, nawet zimno jest po coś. Czuję się, jakby rzeka wypełniła mnie radością. Jakby mnie życie wypełniło.

Bożena patrzy z uśmiechem.

– Nie spodziewałaś się, co?

Podchodzę do niej i całuję ją w policzek. A potem mamę, dla symetrii. I trzeci raz, z trzeciej strony. Potem Danuskę i Agnieszkę. Stoimy na brzegu, lekko okryte, czujemy ciepło i wdzięczność.

– Dam radę – obiecuje Danuska. – Dam sobie z nim radę. Czas, żebym mu się wreszcie postawiła.

Kiwamy twierdząco głowami. Da radę. Nie ma innej opcji.

A teraz jedziemy do domu się rozgrzać i wysuszyć. Mam dwadzieścia osiem lat i wreszcie jestem jedną z nich.

kiedyś

Mam jedenaście lat i bolą mnie piersi. Nabrzmiały jak krosty i lepiej ich nie dotykać. Nawet bluzkę wkładam ostrożnie, żeby ich nie urazić.

– Rośniesz – mówi mamusia. – Dorastasz.

Ale kostiumu mi na lato nie kupiła, znowu. Szkoda pieniędzy na te krosty, mówi, za rok przecież będzie za mały – muszę się więc przez całe wakacje kąpać w majtkach i w bluzce, żeby się ze mnie chłopcy nie śmiali. Teraz już się nie kąpię, za zimno. A Sobótki się kąpią co sobota, zimno nie zimno. Tyle że się tym nie chwala na wsi, bo nie chcą uchodzić za dziwaczki.

Niedawno wróciły znad rzeki. Siedzą za stołem, rozczesują długie, mokre włosy i swobodnie gawędzą. Są pewne, że Dawid już dawno śpi w swoim pokoju na górze, a ja we własnym łóżku, tych kilka domów dalej. Tymczasem my z Dawidem siedzimy u góry schodów, schowani za ręcznikami, które suszą się na poręczy, i chłoniemy wszystko, co się dzieje na dole. Tutaj, z góry, z tymi spływającymi na plecy pelerynami z włosów, mamusia i jej koleżanki wydają mi się jakimiś królowymi, może aktorkami, choć scena jest mizernie oświetlona pojedynczą lampką z okapu kuchennego. Może gdyby nie szeptały, nie staralibyśmy się ich słuchać tak uważnie. Ale co chwila ściszą głos, a my wtedy pochylamy się, żeby nic nie uronić. Tyle że nie jest łatwo: wiele słów zagłusza grzmiące chrapanie, które dochodzi zza którychś drzwi na piętrze. To tatuś Dawida, pan Jurek, odsypia w małżeńskim łóżku trudy tygodnia.

Mam jedenaście lat i cała jestem czekaniem na to, co ma się zdarzyć. Na przyszłe życie. Podejrzewam, z tego co wyczytałam w książkach, co obejrzałam w filmach, że będzie piękne. Widzę się na ukwieconej werandzie, obok stoją drinki z palemką, a z ogrodu wychodzi tajemniczy brunet. Niekiedy myślę, że będzie miał loki jak Dawid. I będzie się śmiał jak on.

– Nie wytrzymam już dłużej – opowiada ciocia Bożena. – Czuję się taka bezradna. Czy wy wiecie, co to za męka, gdy...

Zaczyna szeptać. Nawet pochylanie się niewiele nam z Dawidem pomaga. Nic nie słyhać, ledwie widać twarze kobiet, podświetlone z góry, od tyłu. Zastanawiam się, kiedy mi pozwolą do siebie dołączyć. Do osiemnastki brakuje mi jeszcze siedmiu lat. Do szesnastki – pięciu. Szesnastki są już dorosłymi kobietami, wiem o tym, noszą przecież staniki, malują się i inaczej pachną. Tak, jeszcze pięć lat. Ocean czasu. Nie wytrzymam z ciekawości, pęknię przedtem, uszy mi urosną, aż sięgną parteru i dopełzną między nogi kobiet, do ich tajemnic.

– Wiecie co? – mówi ciocia Bożena, tym razem głośniej. – Wiecie co? Czasem jestem na niego taka wściekła, że miałabym ochotę go zabić.

Patrzemy na siebie z Dawidem ze zgrozą.

– Rozrabiałeś dzisiaj? – szepczę mu wprost do ucha.

Dawid wzrusza ramionami.

Czyli rozrabiał. Ale przecież cokolwiek zrobił, matce nie wolno tak mówić o dziecku. Głaszczę Dawida po plecach, bo wiem, że dobrze pocieszyć, gdy ktoś się boi.

– I tak sobie myślę – ciągnie ciocia Bożena – ja wytrzymam wszystko. Już się przyzwyczaiłam. Ale jeśli on... Jeśli on jeszcze raz uderzy Dawida. Albo Karolinę... Nie, Karolina nie może nauczyć się myśleć, że zasługuje na bicie.

Dawid oddycha z ulgą, że to nie o niego chodziło, a potem sztywnieje, bo uświadamia sobie o kogo.

Kobiety kiwają głowami, włosy poruszają się na ich plecach jak matowe węże.

– Pisałyście się na to, gdy wychodziłyście za mąż? Czy kiedy się wam oświadcza, któryś powiedział: i ślubuję ci, że za każdym razem, gdy mi świat dopiecze, podzielę cię w plecy? Że będę walił dzieci w tyłek, odkąd tylko nauczą się chodzić? Czy któryś coś wam takiego powiedział? – rozpędza się ciocia Bożena. – A w kościele, gdy ślubowali miłość, wierność i uczciwość małżeńską? W której to kategorii się mieści? Uczciwości? Uczciwie ci pokazuję, że nienawidzę ciebie, bachorów i swojego

życia?

Ciocia Bożena zawsze jest zbuntowana, zawsze jest przeciw, zawsze też buntuje mamusię. Tatuś nieraz miał o to pretensje. To znaczy ciocia mówi głośniej i się buntuje tylko wtedy, gdy pan Jurek jest w pracy albo śpi jak teraz. Gdy pan Jurek pojawia się na horyzoncie, ciocia spuszcza głowę i zaczyna mówić cicho. Albo milknie.

– Nie chcę go prowokować – tłumaczy Sobótkom. – I tak dzieci się naoglądają, nasłuchają. Aż za dużo.

Ale słyszę, że tli się w niej ten gniew, który my widzimy całkiem często. Tli się, wystarczy spojrzeć od dołu w jej spuszczoną ku ziemi twarz, w oczy. Czasem się boję cioci Bożeny. Ale częściej daje mi nadzieję.

– Powiem cioci Bożenie – pyskuję, gdy tatuś na nas krzyczy, gdy nazywa nas niemiłymi wyrazami, gdy mówi, że żałuje, że urodziły mu się takie niewydarzone dzieci. – Powiem jej wszystko.

Tatuś wtedy odwraca się do mamusi i krzyczy:

– A ty powiedz swoim koleżaneczkom, żeby mi dziecka nie buntowały. W ogóle ci zabronię spotykać się z nimi, jak tak dalej będzie.

Mamusia spuszcza głowę. Podchodzę do niej i patrzę jej w twarz od dołu. Zaciska usta, milczy, ale jej oczy lśnią wściekłością.

– Niczego mi nie zabronisz – szepcze. – Niczego.

teraz

Nie wiem, dlaczego przypomniał mi się akurat tamten wieczór, jeden z serii podobnych wieczorów, gdy chodziliśmy za Sobótkami jak psy. Chybabym oszalała, gdyby za mną łąził bez przerwy taki dzieciak. Dzieciaki. Chociaż, myślę sobie, to też jest forma komplementu.

Teraz siedzę wśród tych kobiet. Dotykam ramionami mojej mamy, cioci Bożeny. Pochylamy się do siebie, jakbyśmy mówiły coś ważnego. Mówimy coś ważnego, bo pytam o Marka Bożka.

Sobótki się cieszą, że na razie Mareczek nie ma rodzeństwa.

– Nie ma, bo przecież Agata trzy razy poroniła. Ten jej Piotrek Bożek bił ją i roniła. Może i lepiej, że roniła, bo nie ma kolejnych udręczonych dzieci – dorzuca ciocia Bożena.

– Porządni ludzie umierają, a taki Piotrek chleje mimo chorej wątroby i nic. Żyje sobie. Jak pączek w maśle. Mógłby wreszcie zapić się na śmierć. Wszyscy by odetchnęli – wzdycha ciocia Danuśka.

Sobótki potakują. Tak, niechby umarł wreszcie. Halina Bożek też by przeboleła, nieraz przecież od niego dostała, matka od syna, no w głowie się nie mieści. Zresztą Halina na pewno chciaaby ochronić wnuka. Tak, śmierć Piotrka brzmi jak proste rozwiązanie, najlepsze z możliwych. Świat stałby się lepszym miejscem, na którym byłoby mniej siniaków, mniej stania przy płocie, mniej mrożonek przytkniętych do twarzy, mniej wrzasku.

Wiemy, że dla dobra dzieci w tej rodzinie, wszystkich dzieci, również tych, które miałyby się urodzić, najlepiej by było, gdyby Piotrek umarł. Albo wyjechał, jak mój ojciec. Znowu się wzruszam, cholerny świat, i łapię mamę za rękę, ściskam, bo wyrzuciła swojego męża z domu, może o kilka lat za późno, ale jednak to zrobiła, nie jak Agata Bożek.

– Gdyby ktoś Piotrkowi skrócił cierpienia, wyświadczyłby jemu

i świata przysługę – oznajmiam. – Może trzeba podbuntować tę jego nieszczęsną żonę?

I wtedy w kuchni robi się cicho. Ciotka Bożena odchrząkuje, mama patrzy na mnie nieodgadnionym wzrokiem, Agnieszka patrzy bławatkami w przestrzeń. Wreszcie odzywa się ciocia Danuśka:

– To nie są dobre myśli. Zatruwają nas złem – mówi jak świątkowicki Paulo Coelho i wiedzie spojrzeniem po koleżankach.

– Może i niedobre. Ale to, co robi Piotrek, też jest złe. Za dwadzieścia lat Marek będzie robił to samo swoim dzieciom. Piotrek też kiedyś był takim Mareczkiem, nie pamiętacie?

Sebastian też nim był. Ale tego już nie mówię.

Sobótki kiwają głowami, wzdychają smutno. Euforia pokąpielowa gdzieś uleciała, a znika ostatecznie, gdy Danuśka wypowiada kaznodziejskim tonem:

– Zło dobrem zwyciężaj.

Kręcę głową. Narasta we mnie wkurwienie. Że jestem taka bezradna. Łatwo wypowiedzieć wzniosłe słowa tym namaszczonym głosem, ale jak to ma w praktyce wyglądać? Zresztą dobro zawsze wydawało mi się słabsze od zła.

– A niby jak to zrobić? – pytam, ale nie pada żadna odpowiedź. Tamte popatrują na boki, na swoje paznokcie, ile kobiet patrzy na swoje paznokcie, gdy jest skrępowanych, dawno to zauważyłam. Przy takich marnych obrończyniach nigdy nie uratuję tego dzieciaka. Nigdy.

Wstaję i kucam nad Niuśką, lekiem na wszelkie zło. Wtulam w nią twarz, chłonę zapach. Moja suka buczy z radością, że jesteśmy tak blisko. Wstaję z kucek, Niuśka przytula się do moich łydek i razem idziemy do mojego pokoju, bo odechciało mi się gadać z Sobótkami. Tak, dobrze mówię, idziemy do mojego pokoju, nie do pokoju Sebastiana. Włączam światło i siadam na swoim gładko zaścielonym łóżku, którego nie dotykałam od czasu tamtej nocy dziesięć lat temu. Może jest tu ciągle ta sama pościel? Zaglądam, ale jednak mama zdjęła powłoczki. I całe szczęście. Niuśka wsadza mi pysk między kolana, znam ten gest,

to takie: „Nie jesteś sama”. Lekko ściskam jej pysk kolanami, gładzę ją po gładkim łbie. Nasz rytuał.

Wreszcie odważam się odwrócić wzrok od jej mądrych oczu i rozejrzeć się dookoła. Wygląda tu jak przedtem i jednocześnie zupełnie inaczej. Znam dobrze te przedmioty, potrafię powiedzieć, że biurko mama kupowała na bazarze w Maciejowicach i facet przywiózł nam je furgonetką do domu, postawił przed bramą, a za wniesienie domagał się dwudziestu złotych. Nie dostał, jeszcze czego. Wnieśliśmy biurko sami, z Sebastianem. A znowu pluszaka zestrzelił mi Dawid, kiedy w Świątkowicach rozbiło się obok stacji wesołe miasteczko. Półki robił mąż ciotki Agnieszki, stolarz, podobny do żuczka, zawsze mnie fascynował, że taki maleńki jak chłopczyk, a wąsaty jak stary. Koraliaki na haczyku obok lustra pochodzą z miejscowego KupCiuszka, czyli taniej odzieży. Nigdy ich nie nosiłam, ale lubiłam na nie patrzeć. Wyglądały jak inne życie, kolorowe i pełne niespodzianek. Maryja z ciemną, pociętą twarzą zawisała nad drzwiami tuż po mojej komunii, wszystkie dzieci z klasy dostały wtedy takie od proboszcza. Na obrazie jest sama twarz Madonny, brązowa jak u uchodźczynie, mądra. Następny rocznik (czyli Dawid) i kolejne (czyli Sebastian) dostawały na komunię jasnolichych Jezusów z dwukolorowymi promieniami światła płynącymi z serca. To powodowało, że czułam się trochę innym pokoleniem niż reszta. My byliśmy od brązowej Maryi ze szramami, oni od białoskórego Jezusa z promieniami. Tak, w tym pokoju wszystko wygląda zupełnie jak kiedyś, a jednocześnie wydaje się mniejsze, brzydsze, poszarzałe, przypadkowe. I tak naprawdę niewiele o mnie mówi, może więcej o Świątkowicach.

Z pewnym wahaniem, ale wreszcie to robię. Kładę się na swoim starym łóżku. Nie, nic nie czuję. Nic. Tamto zdarzyło się dawno i byłam wtedy kimś innym. Próbuję sturlać się na podłogę, jak tamtej nocy. Bum, już leżę pod łóżkiem. Wtedy od razu się zerwałam i wybiegłam z pokoju. Teraz leżę na dywaniku obok zdezorientowanej Niuśki i narasta we mnie bunt. Żaden ojciec nie powinien stawiać córki w takiej sytuacji. Zabrał mi zaufanie i dzieciństwo, zabrał mi mamę i dom, wywrócił mi życie do góry

nogami, a potem spokojnie sobie poszedł. Nieukarany, a może nawet zadowolony z tego, co zrobił. I żyje sobie gdzieś spokojnie, żyje, jakby nic się nie stało. A ja przez niego musiałam zapomnieć o Świątkowicach, przez niego ciągle z siebie muszę wymazywać przeszłość, przez niego nie widziałam mamy przez dziesięć lat, przez niego wystawałam pod tym pieprzonym Pałacem Kultury jak głupia. Walę stopami w łóżko, kopię z całej siły w jego fornirowany bok. Boli. Niech boli, lepiej noga niż dusza.

– Co tu się dzieje?! – Do pokoju wpada ciocia Bożena. – Myślałam, że ktoś cię bije. Dlaczego leżysz na podłodze?

Oddycha szybko i ciężko, wyraźnie przestraszona.

– Walczę z myślami – odpowiadam w stylu Dawida. Siadam, opieram się o łóżko. Gniew powoli opada. Puls powoli zwalnia.

– Jego już nie ma. Nie ma. Nie musisz się bać.

Nie będę jej opowiadała o ciężkiej sylwetce z ciężką głową, którą ostatnio tak często widuję w Warszawie.

Ciocia Bożena siada obok mnie, na podłodze przy łóżku, przygarnia moją głowę do siebie, na ramię. Pachnie czymś domowym. Ładnie. Bezpiecznie.

Trwamy tak. W żyłach już nie mam szampana, mam coś dużo cieplejszego.

Do drzwi ganku ktoś puka, słyhać męski głos. Obie drętwiejemy. Ciocia Bożena się zrywa, biegnie sprawdzić kto to.

– Paweł, mąż Agnieszki – rzuca wreszcie za siebie, żeby mnie uspokoić.

Do sieni wchodzi nieduży, szczupły pan z wąsami jak u suma, sumika raczej, taki jest malutki. Uśmiecha się, wąsy idą mu do góry. Żuczek, a nie sum. Pan Żuczek, który kiedyś zrobił mi piękne regały na książki.

– Gdzie jesteś, moja kobieto? – Zagląda do kuchni, gdzie nadal siedzi reszta pań.

– Paweł! – cieszy się ciocia Agnieszka, zrywa się ze stołka, podchodzi do niego, pochyla się, całuje w czoło. Mąż sięga jej do pól ucha. Dałoby się z niej wykroić i trzech takich. – Jak mnie tu znalazłeś?

– Łatwo nie było, skoro nie odbierałaś telefonu.

Zamieram w oczekiwaniu burzliwej reprimendy.

– Wyciszyłam i zapomniałam. – Ciocia Agnieszka się śmieje.

– Tak myślałam. Pochodziłem trochę. W restauracji zamknięte na głucho, nad rzeką pusto, więc to jest trzecie miejsce, w którym sprawdzam.

Niezły jest. Zna ją. Zna swoją żonę. I wcale się na nią nie wścieka, że nie odbierała, że musiał jej szukać, choć ja zastygłam w oczekiwaniu wrzasku, tak zastygłam, że aż szyja mnie boli.

– Napijesz się czegoś? – Moja mama uśmiecha się do niego. – My pijemy wódkę bez popitki.

Wszystkie się do niego uśmiechają. A więc istnieją fajni faceci, uświadamiam sobie, jest ich na świecie trochę.

Dlaczego się tak przestraszyłam? Przecież pan Żuczek zawsze uśmiechał się do mnie miło pod wąsem. I nawet mnie słuchał, dzięki czemu półki do pokoju zrobił mi w swoim czasie prawie takie, jak chciałam.

Ale ledwie żyję po moich ostatnich bojach. Po starciu z ojcem Mareczka. Po awanturze w Magnolii. A wszystko to okraszone nawracającymi wspomnieniami związanymi z mężem cioci Bożeny, panem Jurkiem.

Tak, nigdy go nie lubiłam, bo też i kogo było lubić. Siedział zawsze w swoim śmierdzącym smarem sklepie, przeganiał nas od razu, jeśli zdarzyło nam się tam z Dawidem zajrzeć po szkole. Sklep był miejscem na poważne sprawy i zarabianie pieniędzy, a nie na dziecięce wygłupy. Po lekcjach siedzieliśmy więc u Dawida w domu. Zanim jego tatuś wrócił z pracy, było tam bardzo przyjemnie. Ciocia Bożena śpiewała i klepała kotlety albo mieliła mięso na pierogi, zmywała i zamiatała, szyła i prasowała, czesała kobiety, które przychodziły do niej na strzyżenie, a myśmy robili lekcje i z nią pogadywali.

Gdy wracał ojciec, na ogół późno, bo po zamknięciu sklepu musiał jeszcze, dla rozluźnienia, pograć na automatach w Magnolii, Dawid zaczynał się do niego przymilać, co było nudne, a pan Jurek odpowiadał mu głośno i w nerwach, co było nieprzyjemne. Kiedy bardzo się ciskał, a nie zdążyłam zawczasu zwać do domu, ukrywałam się na stryszku, zazwyczaj szybko

wbiegali tam za mną również Karolina i Dawid. Kładliśmy dłonie na uszach, powtarzając: Lalalalalalalalala, żeby zagłuszyć słowa śmierzące smarem i na początku pokorne, a potem coraz głośniejsze, odpowiedzi cioci Bożeny.

Tyle że coraz częściej i „Lalalala” nie pomagało, bo oboje ryczeli coraz głośniej.

– Widziałaś, kobieto, że grałem i jakoś ci przed ślubem nie przeszkadzało! Sama czasem ze mną na automaty poszłaś.

– Tyle nie grałeś, nie kłam teraz! I nie piłeś!

– Tobie wszystko przeszkadza! Taka atmosfera panuje w tym domu, że na trzeźwo trudno wytrzymać! Przez ciebie piję! Przez ciebie, rozumiesz?! Wszystko ci źle. Nie pij. Nie graj. Tylko pracuj od rana do wieczora i przynosź pieniądze!

– Nie kłam, nic takiego nie mówię! Nigdy nie mówiłam!

– Co chwila mówisz!!! Nie pij, nie pij, jak papuga! Nie graj, bo jeszcze za bardzo sobie odpoczniesz, a pracować musisz! I przynosić pieniądze!

– Nie mówię, żebyś nie odpoczywał!

– Tego by jeszcze brakowało, leniwa flejo!

– Mówię, żebyś nie przegrywał bez sensu! Na wszystko by nam wystarczyło, gdybyś nie przegrywał całych zarobków ze sklepu w tej cholernej Magnolii!

A potem słychać było z dołu huki i trzaski, wtedy z Dawidem i Karoliną mantrowaliśmy jeszcze intensywniej. Lalalalala. Lalalalala. I dociskaliśmy dłonie do uszu.

Kiedy wracałam w końcu do domu, nie przymilałam się do swojego ojca, raczej starałam się mu nie wchodzić w drogę. Bo też dużo krzyczał. Za to dzieci miały być w jego obecności ciche. I zajęte. Wiecznie zajęte.

„Ścieżkę zgrab, nierobie!”.

„Schodki zamieć natychmiast!”.

„Syf w tym domu, a ty oczywiście siedzisz i czytasz!”.

„Śmiejesz się jak głupia do sera! Do roboty!”.

Przecież zarabiał na nas, żebyśmy mieli życie jak w Madrycie. W zamian chciał przynajmniej porządku w domu. Dlatego krzyczał na mamę:

– Co ty cały dzień robiłaś, że nawet świeżej zupy na obiad nie ma? Wczorajszą mi dajesz?

Mama musiała się wtedy tłumaczyć, co cały dzień robiła, że pranie, że zakupy, że padało i musiała ze sznura zdejmować prześcieradła, że pomidory na zimę dusiła. Brzmiała wtedy jak ja, gdy się kajałam w szkole, że znowu odrobiłam tylko połowę zadań. Ona też zawsze robiła za mało.

– Ja przynoszę pieniądze. Chciałbym mieć w zamian co zjeść w tym chlewie! – krzychał ojciec. – W chlewie!

I wrywał mi książkę z ręki, i łapał za ramię, i ścisnął, mocno, aż do siniaków, i prowadził w miejsca, gdzie jego zdaniem było coś do zrobienia.

„Do kibla sedes myć. Ale porządnie, a nie tak!”

„W ogródku pielic. Ale porządnie, a nie tak!”

„Przy bramie oliwić. Ale porządnie, a nie tak!”

„Na ganku zamiatać. Ale porządnie, a nie tak!”

„W drewnutni rąbać. Ale porządnie, a nie tak!”

„A najlepiej zejść mu z oczu i robić lekcje, ale porządnie, a nie tak, bo nie można być takimi głupkami i leniami do końca życia!”

I przyskakiwał, krzychał, prowadził tam, gdzie powinniśmy być. I sadzał się za biurko, walił o blat zeszytami albo podnosił się i prowadził do miotły, i wrzeszczał, wrzeszczał, wrzeszczał, że chlew, że lenie niewydarzone, że porządnie, a nie tak!

Wtedy wydawało mi się, że wszyscy ojcowie tak mają. Matki są od gotowania, ojcowie od krzyczenia. Ci najgorsi są od bicia.

Nasz więc wcale nie był najgorszy.

– Nigdy na mnie ręki nie podniósł – mówiła mama z dumą. – Nigdy nie podniósł jej na was. Wasz tatuś jest kochany. Nie bije.

Też się starałam wtedy czuć dumę.

Z pieniędzmi w domu u Dawida wiecznie było krucho, nikt się więc specjalnie nie zdziwił, że pan Jurek któregoś dnia postanowił wyjechać do Belgii. Zupełnie niespodziewanie, naprawdę. Po prostu pewnego ranka przyszłam po Dawida, żeby iść razem do szkoły, a tam smutek, histeria jakaś i „tatuś wczoraj wyjechał” i „nawet się ze mną nie pożegnał”. Ja bym na miejscu Dawida nawet wolała, żeby się pan Jurek ze mną nie żegnał, gdyż

na ogół śmierdział wódką i krzyczał, no i walnąć zniecka potrafił, ale Dawid miał z tym problem. Że dlaczego. Że czy tatuś się obraził. Że z mamą się pożegnał, a z nim ani z siostrą nie, i jak wczoraj wrócili z wycieczki szkolnej, już go nie było.

– Spieszył się – tłumaczyła zdenerwowana ciocia Bożena. – Niecodziennie nadarza się okazja w Belgii dorobić.

Dobrze pamiętam Dawida z tamtego czasu. Tylko raz go widziałam w takiej rozsypce. Potem już nigdy. Potem już tylko kpił.

Pan Żuczek nie chce nic pić, ani herbaty, ani piwa, ani drinka. Stoi i patrzy pytająco na żonę. Wygląda przy Agnieszce jak księżyc przy Jowiszu. Jowisz w końcu namyśla się i zgadza opuścić towarzystwo, mąż więc podaje jej kurtkę, wychodzą.

Danuśka wychodzi niedługo po Agnieszce, wzdychając, że musi stawić czoło bestii i że jest nadzieja, że już się uspokoił. Nie chce wsparcia. Jeśli będzie sama, Mariusz poczuje się może mniej zagrożony, a co za tym idzie – będzie łagodniejszy.

W domu robi się spokojnie.

Siedzimy z ciocią Bożeną i mamą na kanapie, okryte wspólnym kocem, choć i bez tego nam ciepło, i rozmawiamy o wszystkich sobótkowych kąpielach, wspominamy, jaka to szlachetna mania, małym kosztem, lepiej niż się upić, naprawdę, Andżelika, sama zresztą widziałaś, że lepiej. Nie pytam już o żadne trudne rzeczy, o żadnych nie mam zamiaru rozmawiać, wolę zasypiać ze stopami, które dotykają stóp starszych kobiet, wolę czuć się wreszcie spokojna i bezpieczna.

MARECZEK

Ano świat jest dziwny. Chodzę po nim, ale chyba tak naprawdę wolałbym być niewidzialny. Bo nie chciałbym rezygnować z tego wszystkiego dookoła, ale przekonałem się, że gdy widać mnie za bardzo, obrywam. W szkole na przykład. Kulę się w ławce z tyłu, a i tak zawsze pani mnie jakoś wypatrzy. W domu chodzę cichutko jak pająk, ale tatuś i tak krzyczy, że co się tak skradam

pod tymi ścianami.

Gdybym był naprawdę niewidzialny, nie wiedziałby, kiedy jestem obok i nie wiedziałby, kiedy krzyczeć. Może wtedy krzyczałby cały czas? Na wszelki wypadek?

Wymyślam zadanie. Wyobrazić sobie, co by się stało, gdybym zniknął z tego świata. Mamusia by płakała i babcia. A tatuś nie miałby na kogo krzyczeć. Może by mu się wtedy zrobiło przykro? Może by pomyślał: Nie był taki zły ten mój syn, chociaż zawsze za wolno chodził do kiosku po papierosy. No bo jak już pójde po te papierosy, zawsze robię to za wolno. Wiem, że tatuś będzie krzyczał, ale i tak idę stópkami, stawiam nogę za nogą tak, żeby pięta dotykała palców drugiej stopy, i powolutku idę, a potem powolutku wracam. Może dlatego tatuś tak się wścieka. Że się wcale do niego nie spieszę. Może mu przykro. Może dlatego krzyczy: „Dawać mi tu tego gnoja!”.

Wymyślam sobie, co by się stało, gdyby tatuś zniknął ze świata. W domu byłoby cicho. Kioskowa (to słowo ma kolor tytoniu, takiego brązowego, jak z rozkruszonego papierosa) by się martwiła, że nikt nie kupuje u niej papierosów. Babcia by chyba płakała. Przecież płacze się, jak syn umrze. Mamusia chyba też by płakała, bo płacze się, kiedy mąż umrze. Ale mamusia teraz też często płacze, gdy myśli, że nie patrzę. Choć na razie nikt nie umarł. Tylko dziadziuś, dawno już przecież. A ciągle płacze.

Ale płkanie jest cichsze niż krzyki. Świat bez tatusia byłby cichszy.

Na razie jest strasznie głośny.

ANIELA

– Obudź się – mówi mama. – U Bożków awantura.

Otwieram oczy, od razu cała spięta. Rano zza szyb dochodzi nawet jakieś słońce. Leżę w kuchni na kanapie zakopana w poduszki. Mama już wstała, opiera się na kuli przy oknie. Cioci Bożeny nie ma. Spałyśmy z mamą obok siebie.

– Mareczek krzyczy?

– Nie, Piotrek. Pewnie znowu się napił, w niedzielę często mu się zdarza. Ja... Ja nie wiem, co robić. Nie mogę tam przecież wtargnąć jak jakieś wojsko. Dzwoniłam do nich, myślałam, że ona może odbierze, Agata albo Halina, to powiem, żeby do mnie dzieciaka przysłała, tak czasem robimy. Ale nikt nie odebrał, pewnie nie słyszą. A ona jakaś taka jest, że niezaproszona małego tu nie przyśle.

Mój dawny kolega ze szkoły ryczy jak raniony tur. Biorę telefon, wystukuję sto dwanaście.

– Do kogo dzwonisz?

– Na policję. Dość tego. Trzeba chronić tego dzieciaka.

– Sprowadzisz policję na sąsiadów? Mądra jesteś? Ty wyjedziesz, a ja będę musiała tu, obok nich, mieszkać do końca życia.

A ja będę musiała do końca żyć ze świadomością, że nie pomogłam temu małemu.

Odkładam telefon. Narzucam kurtkę. Niuśka już się cieszy, ale zaraz przestaje, bo każe jej zostać w domu.

Pies Bozków zaczyna szczekać, gdy tylko podchodzę do bramy, patrzcie go jaki czujny. Na ten dźwięk cichnie męski ryk z domu.

Drzwi domu uchylają się, pojawia się w nich Piotrek.

– Kto tam?

Podchodzę.

– Przyszłam po szklanę soli.

Piotrek jest ogromny i ledwie artykułuje słowa, bo nie słuchają go ani wargi, ani język, moczone pewnie od wielu godzin w dużych ilościach alkoholu.

– Przyszłam po szklanę soli, bo zapomniałam kupić, a gotujemy...

Ale wcale nie słucha.

– Sąsiadka? – cieszy się. – Sąsiadka, co nie chce pić z prostym chłopakiem ze wsi.

Z chłopakiem? Nie wyglądasz, kurwa, na chłopaka, wyglądasz na Godzillę ze Świątkowic.

– Chciałabym się napić, ale mam chorą matkę pod opieką – zagaduję i podchodzę bliżej, żeby wejść, a przynajmniej zajrzeć

i sprawdzić, czy ktokolwiek poza Piotrkiem jest w tym domu bezpieczny.

– Sąsiadka wejdzie, napijemy się, napijemy się, wejdzie, kurwa, sąsiadka – zaprasza uprzejmie.

Nieźle jest napruty. Przeciskam się obok niego do środka, próbując nie wdychać powietrza, które on wydycha, bo pełno w nim promili. Ze środka dobiega muzyka mniej czy bardziej symfoniczna, a na jej tle męski głos Janusza Szymańskiego, lektora telewizyjnego. Telewizor emituje jakiś nikomu niepotrzebny film. Śmierdzi wódką. Matka Piotrka usiłuje coś naprędce uładzać na moje przyjście, umyła już twarz, wyciera ją ścierką.

– Soli? Szklankę? – dziwi się. – Pożyczyć?

– Rosół gotuję mamusi na cały tydzień i zabrakło – łzę.

Pytam, a gdzie to nasz bohater, co idzie jutro po feriach do szkoły. Gdzie kochany Mareczek i czy ciągle ma karę? Czy przyjdzie ze mną porozmawiać?

Babcia Mareczka się płoszy. A Godzilla staje naprzeciwko mnie, ziejąc wódką i machając dłonią, w której ściska flaszkę.

– Napijemy się, Andżelika – nalega. – Napijemy.

Wieje beznadzieją.

– Nasypie mi pani tej soli, pani Bożkowa? A ja zajrzę na chwilę do Mareczka. – Ruszam w głąb domu, nie zważając na bełkoty i protesty.

Przy którychś drzwiach kuli się matka młodego.

– Bił was? Jego? Dzieciaka? – pytam ją cichutko.

Kręci głową.

– Po co się pani wtrąca. Będzie jeszcze gorzej, jak pani stąd wyjdzie.

– Chcecie przyjść do nas? Posiedzieć?

– Dopiero by się wkurzył, że nie wiadomo gdzie łązę. On jest strasznie zazdrosny.

– Mam zadzwonić na policję?

– Nie, gdzie? Jaka policja, do końca życia by mi nie wybaczył, gdybym policję na niego nasłała. Policjanci by pojechali, a ja bym znowu z nim została. On jeszcze trochę wypije, wtedy zaśnie.

Teraz tylko trzeba mu przed oczy nie wchodzić. Ja wiem, co robić. Pani tu nie pomoże.

Zostawiam ją, gdzie była. Sama wracam do kuchni, nalewam wódki do dwóch szklanek, stawiam przed Piotrkim, siadam naprzeciwko. Wychyla jednym haustem. Już prawie nie jest w stanie mówić, ale nadal próbuje mnie komplementować. Jego matka patrzy na nas znad kuchenki. Dolewam mu. Sama markuję picie. Wreszcie głowa opada Piotrkowi na stół.

– Będzie teraz spał?

Jego matka twierdząco kiwa głową. Agata Bożek pojawia się w kuchni.

– A jutro obudzi się wściekły. Ale Mareczek już wtedy będzie w szkole, a ja w pracy.

– A wieczorem?

– A wieczorem to się zobaczy.

Tamten chrapie oparty o stół, a ja myślę, jak łatwo byłoby teraz wbić mu nóż w ten silny kark. Ilu osobom by wtedy ulżyło.

– Ucichło – stwierdza z ulgą moja mama. – Co zrobiłaś?

– Dolałam mu.

– Pobiłaś go?!

– Wódki mu dolałam. Zasnął.

Jestem tak zmęczona, że zaraz się przewrócę. Niuśka liże mnie po rękach. Powinnam z nią wyjść, a potem powoli się zbierać do Warszawy, ale czuję, że nie jestem w stanie. Siadam za stołem i marzę, żeby ktoś mi podał szklankę wody.

– Mamo, to trzeba jakoś rozwiązać. Piotrek poszedł spać, ale to są półśrodki.

– Przecież biorę Mareczka do domu, kiedy tylko mogę. I jego matkę bym brała, ale ona nie chce. Przecież kobieta wie co robić, po tylu latach. Nie zjadłabyś czegoś?

Wzdycham.

– Mogłybyście zgłosić rodzinę Bożków na Niebieską Linie i na policję. Oficjalnie załatwić sprawę. Może by się uspokoił. A jeśli nie, to może by poszedł siedzieć.

Mama krząta się przy kuchni, już nawet kula jej w niczym nie przeszkadza, gips też wcale nie, bo odgrzewa, miesza

i w zadreptaniu odpowiada wreszcie:

– A nawet jeśli, to potem by wyszedł. A ja mieszkam obok. Sama. Musisz zrozumieć. To są Świątkowice.

Boże, jaka jestem zmęczona.

*

Ciocia Bożena wychodzi z drewnutni z kurą trzymaną za nogę. Druga gdzieś się majta z boku, dziwnie niekompletna, bo bez stopy, kurzej żylastej stopy z pazurami. W Warszawie trochę się odzwyczaiłam od takich widoków, bo tam kotlet to różowa substancja na tacce, zero podobieństwa do znanych przedtem zwierząt, często widywanych na podwórku.

– Sama zabijasz kury?

– A kto ma to robić?

Wzruszam ramionami. Ciotka Bożena ciągnie:

– Przecież nie Dawid. Jak się do tego biorę, to on zawsze ucieka z domu.

– Moja mamusia zawsze do tego wzywała sąsiada.

– Jacka.

– No właśnie. Pan Jacek był u nas od zabijania. Ojciec bał się krwi. A mama po prostu nie lubiła kurom łbów obcinać. Natomiast Jackowi jakoś nic nie przeszkadzało.

– No widzisz. Wszyscy go do tego brali, pół Świątkowic. Każdy się odwdzięczał kieliszkiem, nawet flaszka. To i chodził wiecznie pijany.

Klątwa seryjnego zabójcy kur, myślę sobie. Jacek z licencją na zabijanie.

– A ty obetniesz jej łeb i już? Zero emocji?

– A ile emocji czujesz nad rosołem? Ktoś to musi robić, zapomniałaś? A poza tym tej pies nogę odgryzł, jajek i tak by z niej nie było.

Bożena jest silna. Za każdym razem widzę to coraz wyraźniej. Rozsądna. Bez głupich sentymentów.

– Ciociu... Ty też uważasz, że to bez sensu zgłaszać na policję, że mężczyzna dręczy żonę i dzieci?

– Kochana, to są takie dawne sprawy. Tobie też bym radziła

zostawić przeszłość za sobą.

Przygarnia mnie do siebie tą ręką, w której nie trzyma kury.

Zewłok trzyma daleko od siebie, ale i tak na czarnych gumiakach widać mokre plamy. Z szyi kapie. Głowa pewnie jeszcze leży na pieńku.

– Ale ja przecież... – Nie załapała, że nie mówię ani o nas, ani o niej. Że chodzi o Mareczka i jego ojca.

– Muszę ją oskubać, zanim ostygnie. – Bożena kieruje się do letniej kuchni. Na skubanie jak znalazł, to nie jest czysta robota, z którą można iść do mieszkania.

Letnia kuchnia, pomieszczenie obok nieużywanej już obory, jest chłodna i pusta. W drzwiach wiszą niebieskie ceratowe paseczki, które latem mają za zadanie odstraszać muchy. W Świątkowicach panuje teoria, że muchy uciekają od niebieskiego, wszystkie więc paseczki we wszystkich letnich kuchniach w okolicy są niebieskie. Kuchnia węglowa zajmuje cały róg pomieszczenia, obok stoi pomalowany na biało wiejski kredens, stół nakryty ceratą (niebieską), trzy krzesła. Dla cioci, dla Dawida i dla Karoliny. Tu się gotowało i jadało latem, pamiętam. Zawsze tu, żeby w domu nie grzać i żeby muchy tam nie leciały. Tu się toczyło życie latem. Tu się czyściło grzyby. Tu się obierało fasolkę i huskało groch. Tu się skubało kury i odstawiało mleko na kwaśne. Lubię tę kuchnię.

– Powiedz mi, jak to jest. Jakim cudem Agata Bożek władowała się w taki związek? Naprawdę nie widać wcześniej, przed ślubem, że facet jest przemocowy?

– Przemocowy, jakie piękne słowo. Warszawskie. Tu się mówi, że pije i bije, po prostu.

Ciocia Bożena siada, wsadzając sobie bezgłowy korpus między nogi, szyją w dół, niech krew się wykapie do końca, i zaczyna wyrwać rude piórka wyćwiczonymi gestami, raz koło razu. Stoję oparta o drzwi i patrzę.

– Co chcesz usłyszeć? Że byliśmy głupie, że poszliśmy za takich gwałtowników?

– Chcę usłyszeć, jak to działa.

– Teraz, kiedy spojrzę wstecz, może coś tam można było

przewidzieć. Mówię teraz nie o Piotrku Bożku, mówię o sobie. Z Bożkiem sprawa może była prostsza, ojciec pijak i bijak, można było przewidzieć, że syn będzie taki sam. Wszyscy jego synowie. Pewnie dlatego wziął tę swoją Agatę z tak daleka, tutaj żadna nie chciała za niego iść.

– Ciebie mąż też wziął z daleka.

– Jeździł do mnie aż czterdzieści kilometrów. Zrozum, tak to właśnie działa. Przyjeżdża piękny, wypachniony, czekoladki czasem przywiezie czy perfumy. Uśmiecha się, z rodzicami pogawędzi. Moja matka go uwielbiała. Mój Jurek był taki nowy, fajny, zupełnie inny niż chłopcy z naszej wsi. Przystojny. W rękę całował mnie i matkę. W drzwiach przepuszczał. Ciężary nosił. W moim Jurku wszystkie się kochały, a wybrał mnie, właśnie mnie. Byłam wniebowzięta. I jeszcze taki silny, wiedział, czego chce. No to wolałam, żeby decydował za nas oboje, bo ja jeszcze nie miałam pojęcia, czego chcę od życia. Więc decydował. Po ślubie zamieszkamy w Świątkowicach, u moich rodziców. Nie farbuj włosów, wyglądasz jak kurwa. Nie, wtedy jeszcze nie mówił „kurwa”. Wyglądasz jak tania kobieta, mówił. Nie maluj się, nie pasuje ci. Nie bierz koleżanki na świadka, na świadka tylko rodzina. Nikt nie daje „co łaska” za ślub księdzu mniej niż pięćset złotych, wczoraj się rodziłaś? Ale więcej też nie dawaj, zwariowałaś? Głupie miejsce na wesele, bez sensu wybrałaś. Welon musisz mieć, nie pójdziesz przed ołtarz bez welonu. Nie gadaj głupot. Nie śmiej się tyle. Kolan nie pokazuj, grube masz. Ale przy tym wszystkim przecież kochał, często mówił, że kocha. A ja cieszyłam się, że jest taki zdecydowany, że wszystko wie, że umie postanowić za nas oboje, że będzie z niego silny ojciec rodziny.

Ciocia Bożena chwyta nagiego już ptaka za nogi, podpala maszynkę spirytusową i opala resztki piór na korpusie, szybkimi ruchami, żeby tłuszcz spod skóry się nie wytopił. Zapach jest silny, podchodzi mi do gardła. Otwieram szerzej drzwi, choć wieje zimnem.

– Dlatego potem... – wspomina ciotka znad kurzego zewłoka – kiedy powiedziałam rodzicom, co się dzieje u nas w domu... nie

uwierzyli. To co, że krzyczy? Pewnie ma powody. Tatuś: Nie da się ciebie słuchać, ciągle narzekasz, święty by się wkurzył, to co się chłopakowi dziwić? To przecież taki miły chłopak, dbaj o niego, mówiła mi mamusia. I pytała: A czy ty jesteś zupełnie w porządku? Spójrz najpierw na siebie. Więc znosiłam to w ciszy. U nas w rodzinie nie było rozwodów. U nas, w Świątkowicach, też właściwie nie.

– Nigdy nie zadzwoniłaś na policję?

– A myślisz, że chciałam, żeby dzieci widziały, jak policjant upomina ich ojca? Zresztą ciągle myślałam, że jeśli się poprawię, będzie lepiej. A on, jak mnie uderzył, na drugi dzień przeproszał. Uwierz mi, nikt nie przeprosza tak pięknie jak mąż, którego poniosło. Nikt. Ja się starałam, on się starał, było tak pięknie. Przez jakiś czas.

Kura już wyrolowała z siebie flaki, długie i wypchane jakimiś przedśmiertnymi posiłkami, teraz trzeba się pozbyć żołądka i innych krytycznych treści, które mogą trysnąć na mięso gorzką żółcią, więc ciocia Bożena podchodzi do ciała z delikatnością godną króla ginekologów.

– Kiedy pierwszy raz uderzył małą Karolinę, wybiegłam z nią z domu i od razu do sąsiadki. Tłumaczę jej, że Jurek w szale, że dziecko uderzył, że się boję o małą, że co robić. A sąsiadka mówi, że ona sobie radzi z mężem i ja też powinnam. Młoda jestem, ale się tego nauczę. Mówi, że trzeba być silną. Trzeba być stanowczą. Trzeba się umieć postawić, a nie być taką ofiarą losu. My, kobiety, musimy być silne, bo mamy dzieci – tłumaczyła mi ta sąsiadka i wypychała z domu, żebym wracała do siebie, i że ona wie, że sobie poradzę. To wracam i już z daleka słyszę, że ten się miota po podwórzu, i „gdzie jesteś, gdzie jesteś, kurwo!” i że „nie masz prawa zabierać mojego dziecka!”. Lecę więc z Karoliną na przystanek autobusowy i chcę jechać do mamusi, bo dokąd mam jechać. I kiedy tak czekamy na autobus, przed przystankiem zatrzymuje się samochód. „Czy coś się stało?“, pyta Sylwia, znaczy twoja mama, bo widzi, że jakoś jesteśmy z Karoliną za lekko ubrane, a tu całkiem zimno. I żebyśmy wsiadały, to nas podwiezie, gdzie trzeba. Opowiedziałam jej wszystko, zabrała

nas do siebie, dała zupy, ogrzała. Nie pouczała, pozwoliła się wypłakać. Mówiła, że trzymajmy się razem, obie świeże mężatki, obie nowe w tej wiosce. Że zawsze mogę do niej przyjść. Zadzwoić. Siedziałam u niej aż do wieczora, wtedy wrócił jej mąż. I w chwilę potem przyjechał mój, bo panowie do siebie zadzwonili. Wróciłam do domu. Tego wieczoru Jurek już nie bił, może się krępował. Tylko wrzeszczał, żebym nie wciągała obcych ludzi w nasze sprawy. Obiecałam, że nie będę wciągać. Ale zaraz rano, kiedy Jurek poszedł do pracy, wpadła do mnie Sylwia, sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Tak się zaczęły Sobótki?

– Tak właśnie. No i Sylwia mnie podbuntowała, więc następnym razem, gdy Jurek uderzył Karolinę, zadzwoniłam jednak na policję. Przyjechało dwóch takich i pouczyło Jurka, że nie wolno bić, bo się żona denerwuje. To ja mówię, żeby mi założyli Niebieską Kartę, ten taki dokument o przemocy domowej. „A po co pani to, tego się nie da potem wymazać z papierów, po co tak męża obciążać, dogadajcie się jakoś, niech pan z żoną porozmawia, a nie bije”. Kiedy poszli, Jurek zaczął wrzeszczeć, że go ośmieszyłam przed policjantami. Że wszystkim wygadają. Że jak on ma robić interesy w sklepie, skoro ja mu psuję opinię? Ale przynajmniej przez jakiś czas bał się mnie uderzyć.

Ciocia Bożena rozcina i opróżnia żołądek, a potem układa go na gazetach obok korpusu.

– Za godzinę będzie rosół. Zostaniesz?

„Zostaniesz” zakończone tym westchnieniem oznacza „mogłabyś już iść, mam dość tej trudnej rozmowy”.

– Mogę obrać włoszczyznę.

Znowu wzdycha.

Szukam w kredensie letniej kuchni obieraczki, bo nade wszystko nie lubię skrobać marchwi nożem. Przetrzęsam szuflady.

– Uważaj z tymi drzwiczkami, trzeba je... – Ciocia Bożena nie zdążyła powiedzieć „przytrzymać”, gdy drzwiczki łupią w szafkę obok, cały kredens się chwieje, spada z niego gar kamionkowy do kisenia ogórków, podobny stoi i u nas, od zawsze. Ale kiedyś

robili dobre gary, bo ten się tylko trochę obtłukuje przy brzegu.

I coś się z niego wytacza. Coś białawego. Okrągłego. Z oczodołami. Nie mogę uwierzyć własnym oczom.

– Jakaś nowa ozdoba? – pytam i stukam palcem w czerep. Nawet Dawid by się nie powstydział tego pytania.

Bożena wyciera zakrwawione dłonie w fartuch, wyjmuje mi czaszkę z ręki i chowa za siebie, jakby to cokolwiek mogło zmienić.

– To ta sama czaszka, którą Niuśka wykopała na polanie?

Milczenie.

– Wysłałaś po nią Dawida.

– A więc już wszystko wiesz. To dobrze – stwierdza ciocia Bożena.

Wszystko? Nie, nie wiem najważniejszego.

– Czyja to czaszka?

– Zaraz wyjeżdżasz, zostaw to. Uwierz mi, tak będzie lepiej. Kiedy się czegoś nie wie, nie ma się z tym kłopotu. Zaufaj mi, proszę.

Kolejna z cyklu próśb cioci Bożeny. Życie mnie nauczyło, że powinnam ich słuchać.

Zaglądam jej w oczy. Jej spojrzenie aż pali.

– Zostaw to – powtarza.

Wciągam powietrze, które pachnie Domestosem, tak jak pachnie nim cała czaszka. Nic nie rozumiem z tej cioci Bożeny, tak, nadal podziwiam jej siłę, ale też zaczynam się jej bać.

SYLWIA

Andżelika z hukiem wchodzi do domu, wali drzwiami. Gdy była mała, zamykała je cichutko, żeby taty nie denerwować.

– Bożena trzyma czaszkę w kuchni – mówi. – Wiedziałaś o tym?

Trę jabłko na surówkę, robię dużo hałasu, ale chyba nie mogę udawać, że nie słyszałam pytania.

– Czy to ta sama czaszka, którą Mareczek widział u nas? Ta sama, którą Niuśka wykopała w lesie?

Andżelika krąży dookoła jak pies, który złapał trop. Krąży, a ja nie wiem, czy mam siłę kłamać jej prosto w oczy.

– Zmierzcha się, już późno. Pospieszmy się z obiadem, bo nie zdążysz na pociąg – mówię, jakbym nie słyszała żadnego z jej pytań. To głupie, wiem, ona nie odpuści. Nawet jeśli spytam, czy nie zapakować jej do Warszawy pomidorowej w słoik.

Ale będę szła w zaparte. Nie powiem ani słowa. Im mniej osób o tym wie, tym lepiej. Leję olej pod ziemniaki, takie odgrzewane nawet w sumie lepsze, chrupiące.

Pamiętam tamten wieczór, jakby to było wczoraj. Wszystkie nasze dzieci były na wycieczce ze szkoły, w Warszawie, prosiłam, żeby nie przywoziły pamiątek, bo pieniędzy szkoda na te pierdółki, które potem się tylko kurzą albo przewalają po szufladach. To były bardzo trudne trzy dni dla nas wszystkich. Matki uczniów ze Świątkowic zostały w domu sam na sam z mężami. Nie wiem, jak to przebiegało u innych, ale u nas aż iskrzyło z napięcia, bo cały gniew mojego męża koncentrował się na mnie. U Bożeny pewnie było wcale nie lepiej.

Nie, wyglądało dużo gorzej, o czym się przekonałam, gdy tamtego wieczoru, ile to już lat temu, przybiegła, stanęła w progu, błada jakaś taka, nie umiała nic powiedzieć, tylko wzięła mnie za rękę i w ciszy zaprowadziła do swojego domu.

Potrząsam głową, bo chcę odegnać tamte wspomnienia. Andżelika podnosi się, bierze smycz.

– Zanim pojedę, wyjdę z psem – mówi.

I wychodzą. A ja opieram się o ścianę, nie mam nawet siły podejść do krzesła. Boże, co to się narobiło. Boże.

Dzwonię do Bożeny. Nie odbiera.

BOŻENA

Tyle lat leżał sobie spokojnie. Trochę się martwiłam, że leży pod tymi brudami, śmieciami paskudnymi, ale myślałam też, że może i lepiej, ludzie będą omijać miejsce szerokim łukiem, chyba żeby chcieli wyrzucić następną partię śmieci.

To właśnie te śmieci ratowały przez tyle lat sytuację.

Aż bez sensu zachciało nam się je sprzątnąć.

Przystąpiłam na to, wiadomo o co chodziło, skoro został pochowany płytko w lesie, to niech przynajmniej nie leżą na nim podpaski i dziurawe miski. Chociaż tyle byłam mu winna. Ale okazało się, że to jednak było złe myślenie, że nie byłam mu winna nic. Przeklęty pies, co on widział w tej starej kości? Kiedy ją myłam, nie było na niej nic poza błotem, piachem i korzeniami roślin.

Tak, po wykopaniu umyłam ją, umyłam całą jego czaszkę. Wyszorowałam ją szczoteczką w misce do skrobienia ziemniaków. Komuś mogłoby to wydawać się dziwne, ale kiedy dotykałam tych zębów, tych oczodołów, tego czoła, namydlałam i czułam się lepiej. Potem takiego czyściutkiego, pachnącego Domestosem, schowałam do kamionki na ogórki, wyniosłam do letniej kuchni. Co jakiś czas tam zaglądałam, patrzyłam na tę kamionkę na kredensie i powtarzałam:

– Wygrałam.

Bo wygrałam. Wielkim kosztem, ale wygrałam.

Ciężko było na duszy, ale obroniłam dzieci, dom, sklep i siebie.

Tylko ta Karolina, która w ogóle nie chciała się pokazać w domu, mnie martwiła.

Tylko ten Dawid, który w ogóle nie myślał o zakładaniu rodziny, mnie bolał.

Ale wtedy wydzwaniałam Sobótki. I przez chwilę było nam dobrze i wesoło, razem.

A potem znowu nie.

ANIELA

Niuśka wącha, odbiega i wraca, las kryje dla niej nieustające podniety. Dla mnie nie, na pewno nie nazwałabym tego podnietami. Raczej przerażającymi tajemnicami.

Nogi same niosą. Już z daleka na polanie z okopami widzę światło. To nie znicz, bo światło jest całkiem silne. Łapię Niuśkę,

przypinam jej smycz. Niech tylko nie szczeka, szlag by to.

Podchodzimy cichutko. Na drodze stoi samochód, oświetla reflektorami polanę z okopami. Nie ten fragment, gdzie Niuśka znalazła czaszkę, ale ten, gdzie ziemię pokrywa jeszcze nienaruszone śmietnisko.

Już naruszone.

Widzę bowiem, że Dawid odturlał stamtąd opony, odsunął zlew żeliwny. Kopie. Dołek mały, ale głęboki. Ciocia Bożena trzyma latarkę. Świeci nią z dołu, bo siedzi obok Dawida na zimnej ziemi, z czaszką na podołku jak Maria Magdalena Georges'a de la Toura i gładzi łysą kość po czole. Potem Dawid opiera się o szpadel, a ona podaje mu latarkę i wstaje z pewnym trudem, bo przecież nie siedzi się bezkarnie na zimnej ziemi w marcu. Po czym owija miłośnie czaszkę w swoją chustkę i chce składać ją do dołu.

Dawid coś mówi, Bożena zdejmuje materię z byłej głowy, kuca i wkłada ostrożnie nagą czaszkę, po czym przysypuje ją garścią ziemi, jakby grała w filmie o włoskich wdowach. Po czym Dawid wbija szpadel w ziemię i wrzuca pierwszą porcję do dołu, jakby grał w Hamlecie sceny z grabarzami.

I wtedy Niuśka nie wytrzymuje. Zaczyna się szarpać, chce biec do nich, nie pozwalam, więc zaczyna szczekać, szczekać z wyrzutem. Tamci podnoszą głowy, rozglądają się. Ciągnę Niuśkę, ruszamy w stronę Świątkowic, zanim się zorientują, już nas tu nie będzie. Pracuję ramionami, żeby biec jak najszybciej. Niuśka może się trochę ociąga, bo chciałyby wrócić, ale lubi biec u mojego boku, więc jakoś dajemy radę.

Już prawie nie widać tamtego światła, gdy nagle wpada mi do głowy myśl: Po co ja właściwie uciekam? Boję się ich? Ale niby dlaczego? Grzebią czaszkę, którą już widziałam. I to kilka razy.

Poza tym przecież doskonale wiem, czyja to czaszka.

Przystaję i szukam w sobie strachu. Nie, nie ma go. Jest tylko zaskoczenie, że Dawid bierze w tym udział. Że nic mi o tym nigdy nie powiedział, że kłamał, kiedy go pytałam. I wtedy spuszczam Niuśkę ze smyczy. Biedaczka jest dezorientowana, ale po chwili docenia wolność i już szczeka triumfalnie, i już biegnie do tamtych.

A za nią idę ja.

Wchodzę na polanę, w krąg światła.

Dawid patrzy na mnie oparty o szpadel. Nie płacze, ale minę ma mało Dawidową. Po raz pierwszy w życiu wygląda dorośle.

– Sama jesteś? – pyta Bożena. Oczy ma czerwone, o ile mogę to ocenić w nieco wybiórczym świetle latarki.

– Z Niušką.

Bożena kiwa głową.

– Czyja to czaszka? – pytam, bo potrzebuję, żeby ona to powiedziała.

Ciocia Bożena wyjmuje synowi szpadel z ręki, wbija w ziemię, wysypuje do dołu kolejną porcję. I kolejną. Nawet jeśli ma na twarzy wyraz determinacji, to w ruchach pewność.

Wbija szpadel, pomaga sobie stopą, podnosi porcję, wysypuje do dołu. Kręci głową.

– Nie chcesz tego wiedzieć – mówi. – Niepotrzebne ci to.

BOŻENA

Myślę o tamtym dniu za każdym razem, gdy przyjdzie mi zabijać kurę. Ale gdyby tak ktoś kazał mi opowiadać, tak po kolei, co się wtedy właściwie stało, nie jestem pewna, czybym umiała. Pewnie dlatego, że najważniejszego nie pamiętam, ani w ząb.

Pamiętam tylko mojego męża pochylonego nad szklanką z wódką, pamiętam, jak sięgnęłam przed niego, podniosłam tę szklankę i wychyliłam duszkiem, pamiętam, jak palący płyn rozlał mi się w środku, pamiętam, jak zaczęłam na niego wrzeszczeć, wykrzykiwać żale za te wszystkie lata. Później jakby się telewizor popsuł. Nie ma filmu.

Kiedy telewizor znowu się włączył, już myłam podłogę w kuchni, kucając, żeby nie pobrudzić sobie kolan. Wyciskałam szmatę do miski, płukałam co chwila, bo krew była gęsta, mazała się i miałam wrażenie, że już nigdy nie skończę tego wycierać. Zwłaszcza że ciągle kapało ze stołu, na który opadła mu głowa.

Potem za każdym razem, tnąc kurze i kogucie szyje, patrząc na

krw ściekającą z pieńka, zastanawiałam się, czy przypomnę sobie, jak to zrobiłam. Ale nie. Krew kapłała, a do mnie nic nie wracało poza myciem podłogi. Może i lepiej, bobym zwariowała. Pamiętam za to resztę, wszystko przed i dużo po.

Tamtego dnia czekałam na niego, bo mieliśmy opłacić KRUS dla obojga i kupić ze składu węgla na zimę. Ale on nie wracał. I nie wracał. I ciągle nie wracał. Pojechałam więc po niego na rowerze, stał oczywiście w tej salce w Magnolii, nie zauważył mnie. Dopiero gdy stanęłam przed nim, obok automatu i dotknęłam jego ramienia, podniósł głowę, popatrzył na mnie rozjaśnionym wzrokiem, prawie takim jak wtedy, gdy się pierwszy raz ze mną kochał.

– Wygrałem – powiedział. – Cztery razy wygrałem, po kolei. Przyniosę do domu dwa razy tyle. Zobaczysz. Zaczniemy od nowa.

Prosiłam, żeby już nie grał, żeby wracał, pojedziemy po węgiel, na pocztę, zapłacimy co trzeba, ale odpychał mnie, wrzucał kolejne monety i grał, wrzucał i grał, a za każdym razem przegrywał, ale o krok od wygranej.

– Przynosisz mi pecha, wyjdź. Zanim przyszłaś, szło mi dobrze. Daj mi szansę na jakąś zmianę w życiu, kobieto! Zaraz skończę, możesz już obiad wstawiać. Żebym potem nie czekał godzinami!

Wysłałam. Nawet płakać nie mogłam. Namawiałabym go dłużej, ale bałam się, że mnie zdzieli przy tych wszystkich wpatrzonych w durne ekraniki facetach, którym przeszkadzałam, aż sykali. Przeszłam na zaplecze Magnolii, zapukałam do gabinetu Mariusza, męża Danuśki, który coś tam zliczał w Excelu na komputerze.

– Mam prośbę... – zaczęłam.

Wysłuchał.

– Bożena, nie mam żadnego prawa usuwać z mojego lokalu nikogo, kto nie zakłóca porządku. Naprawdę, daj facetowi się pobawić. Wy jesteście zawsze takie poważne. A my, mężczyźni, już tak mamy: musimy czasem odpocząć we własnym towarzystwie.

I wtedy spuściłam głowę, żeby wrócić do moich poważnych,

nudnych, kobiecych spraw w domu.

Mój mąż wsunął się do sieni dwie godziny i czterdzieści minut później, głowa spuszczonej, cichutki i śmierzdzący wódką. Przecież wiedziałam, ale spytałam dla porządku:

– Zapłaciłeś KRUS? Kupiłeś węgiel?

Nic nie powiedział, siadł ciężko przy stole, wyjął z kieszeni małą wódkę, nalał sobie.

Podeszłam do niego.

– Zapłaciłeś? Kupiłeś?

Tyle zasuwałam przy weselach, żeby było na życie, na dzieci, stawałam na głowie, żeby dorobić, robiłam sąsiadkom hennę (płaciły ledwie parę złotych, ale zawsze do przodu), nawet podcinałam włosy, umiałam właściwie robić tylko dwie fryzury, ale za to dobrze, pięknie wycieniowane, włosy się same układały, kobiety chwaliły. W niedzielę w kościele od razu było widać, kto u mnie był. I nakładania henny, i podcinania włosów nauczyłam się z internetu, jak się wkurzę, to się i więcej nauczę. Umówiliśmy się, że on będzie płacił stałe wydatki, przynajmniej tyle, co na ten KRUS. Opał też obiecał, że kupi, facet ze składu był znajomym, zgodził się na jakiś rabat. Czy barter. W każdym razie zgodził się na coś, żeby było taniej. „Moja w tym głowa, kobieto”, przechwalał się mój mąż i przez chwilę miałam wrażenie, że znowu jest tym silnym facetem, który jeździł kiedyś do mnie czterdzieści kilometrów.

A potem znowu wracał do domu spóźniony, ze spuszczonej głową, pachnący wódeczką i mówił, że zapłaci KRUS za miesiąc. Czasem też, to może zależało od tego, z kim pił, wracał i wrzeszczał, żebym się przestała czepiać, zatruwać mu życie i że nic nie rozumiem. Wrzeszczał coraz głośniejsze i walił w stół, a potem walił we mnie. Robił to wszystko tak często, że już nie pamiętałam, nie odróżniałam tych razów. Z tego ostatniego pamiętałam ciągle tylko ciepło wódki spływającej w głąb gardła i narastający gniew, który kazał mi podnieść wreszcie głowę. I jeszcze jak krzyczałam, że on się bawi na automatach, że gra i przegrywa, i że chyba zapomniał, że ma dom i dzieci na utrzymaniu, i że nie będzie czym palić zimą, bo jego pieniądze

liczy już sprytny mąż Danuśki. Że życie to nie zabawa. Że czy tylko ja jedna pamiętam, że mamy dzieci. Tak krzyczałam, coraz głośniej, a potem już nic nie pamiętałam. Tylko czerń.

ANIELA

– Ojciec Dawida nie siedzi w żadnej Belgii z nową rodziną – mówię wreszcie głośno to, czego już dawno się sama domyślałam. – Pochowaliście go tutaj.

I patrzę na Dawida.

– Ile ty miałaś wtedy lat? Trzynaście?

– Nieważne, ile miał. Nic nie wiedział – odpowiada ciocia Bożena i wreszcie na mnie patrzy. – Dawid ani Karolina nic nie wiedzieli. Zadbaliśmy o to. Wszystko zrobiłam sama.

Gdy to mówi, kręci głową, jakby chciała sama sobie zaprzeczyć.

– Wina spada wyłącznie na mnie – ogłasza ciocia Bożena uroczyście jak w sądzie, po czym zaczyna spacerować w tę i nazad po zakopanym dołku, uklepując ziemię, jakby łąziła w beczie z kapustą. Po czym rozgląda się i uznaje, że opona uczyni ten krajobraz jeszcze bardziej swojskim. Jednak w pół drogi z oponą zamiera.

– Chyba nie wypada, prawda?

Odkłada oponę i idzie na bok, by przynieść kamieni, i zaczyna układać z nich koncentryczne kręgi nad czaszką.

– To są nasze sprawy, Andżeliko – oznajmia. – Tylko i wyłącznie nasze. Naszej rodziny. Zapomnij, co tu widziałas. Nie myśl o tym i oczywiście nie mów nikomu. Dawid, odprowadź koleżankę do domu.

Ostro i stanowczo, jakbyśmy, wyprawiając w domu imprezę pod nieobecność rodziców, urwali umywalkę w łazience.

Nie czekam na nikogo, gwizdzę na Niuśkę, odwracam się na pięcie i odchodzę. Ciocia Bożena dogania mnie po chwili, łapie za rękaw.

– Nie rozumiesz. On przegrywał wszystkie pieniądze. A kiedy protestowałam, wrzeszczał i mówił, że zniszczyliśmy mu życie.

Myślisz, że dlaczego moje dzieci do tej pory nie założyły rodzin? Bo się boją. Bo się napatrzyły w domu na to, czego dzieci oglądać nie powinny. To wszystko przez niego. Przez niego Karolina nie ma nikogo. Przez niego Dawid jest sam. Andżelika, nic nikomu nie powiesz, prawda? Zrobisz to? Zrobisz to dla mnie? Dla Dawida? Dla Karoliny?

To wszystko jakoś nie chce mi się zmieścić w głowie.

kiedyś

BOŻENA

Tego wieczoru jeszcze musiałam przywitać dzieci, gdy wróca z wycieczki. Bałam się jednak, że nie podołam. Wolałam siedzieć na kanapie i zaklinać czas, żeby się cofnął. Przepraszać, sama nie byłam pewna kogo. Sylwia siedziała przy mnie, przytulała i pouczała, żebym się nie wsypała, że przecież nie mogę zrobić tego swoim dzieciom. Ani sobie. Bo Jurkowi już nic nie pomoże, a wy przecież jeszcze macie przed sobą przyszłość, tak tłumaczyła, i dzieciom matka potrzebna w domu, a nie w więzieniu. Ledwie jej jednak mogłam słuchać, bo ciągle nie rozumiałam, że jak to, że ja, że swojego męża, że już po nim, że tak nagle wszystko się skończyło. Sylwia ciągle powtarzała, co powiedzieć dzieciom, że tatuś i że niespodziewanie, i że okazja, i że zarobek, i że zagranica, ale potem musiała iść do siebie, witać po wycieczce swoje dzieci. I obsługiwać swojego męża, ale tego już przy mnie nie powiedziała.

Kuchnia była czysta jak nigdy, Jurek byłby zadowolony, że tak błyszczą, że pachnie Domestosem. Wstałam z kanapy i odstawiłam w kąt czwarte krzesło, to, na którym zawsze siadał mój mąż. Przecież nie będzie już potrzebne. Między siedzeniem a oparciem zauważyłam czerwoną plamkę, którą pominęłam. Pośliniłam palec i startam ją, później długo szorowałam dłonie szczotką.

A potem wrócili Karolina z Dawidem, to nauczycielka przywiozła ich do domu. Dzieci się denerwowały, że nie przyjechałam po nie, a potem denerwowały się jeszcze bardziej, że nic nie wiedziały, jak to, tatuś wyjechał i nawet się nie pożegnał. Zwłaszcza Dawid chodził struty, chciał wydzwaniać, chciał się dopytywać i przypominać, że jestem, tatusiu. Serce mi się krajało. Ja mu to robiłam. Jurkowi. I Dawidowi. I Karolinie.

Z czasem pojawiła się we mnie pustka w środku, w sercu. Dużo uczuć musiałam z siebie wyrzucić, inne odeszły same. Na przykład strach, że znowu z domu znikną kolejne pieniądze. Że znowu nie będzie na KRUS. Że Jurek uderzy mnie przy dzieciach. Że uderzy dzieci. Po jakimś czasie nawet przestałam się bać, że ktoś znajdzie ciało.

teraz

ANIELA

Idziemy ciemnym lasem, Dawid obok mnie, Niuśka gdzieś dookoła. Światło zostało za nami.

– Nie wiedziałem. Bardzo długo nie wiedziałem.

Po paru metrach dodaje:

– Dziwnie mi tylko było, że się tatuś nie pożegnał. Z nikim. Ze mną. Z żadnym swoim kumplem, oni przecież pytali mnie, czy się obraził, o co chodzi. Dziwne też było, że wyjechał, kiedy byliśmy z Karoliną na wycieczce ze szkoły. Wracamy wieczorem, a tu nie ma tatusia. Przez to nie wierzyłem, że wyjechał na długo. Popatrzyłem w jego szafie: zostawił dużo rzeczy, dziwne. Ale przecież zniknęła szczoteczka do zębów i maszynka do golenia. No i zniknęła ze strychu walizka. Ale ta najstarsza, najbrzydsza. To wszystko mi się nie składało. Gdyby jechał za granicę, dostałby od mamusi najlepszą walizkę, żeby wstydu przed ludźmi nie było.

Las jest czarny, w świetle księżycy trochę bieleją koleiny przed nami. Takich słów lepiej słuchać w ciemności.

– Ale za każdym razem, gdy pytałem mamusię, dlaczego tatuś tak nagle wyjechał, dlaczego się nie pożegnał, dlaczego do nas nie pisze, to dziwnie się zachowywała. Zaraz się zrywała i szła myć podłogę. Z taką dziwną miną, jakby była zła. No więc pytałem coraz rzadziej.

Dawid milknie na kilkanaście kroków.

– A potem znalazłem tę walizkę w starej studni. Utopioną. Wyłowilem i popatrzyłem. W środku była jego szczoteczka do zębów. Maszynka do golenia. I trochę bielizny. Wtedy już zupełnie przestałem pytać mamusię o niego.

– Dlaczego?

– Nie wiem. To znaczy wiem. Nie chciałem, żeby mi kłamała. Ani żeby mówiła prawdę też nie chciałem. Więc o tatusiu się nie rozmawiało. Ani z mamusią, ani z Karoliną. W ogóle. Zasypałem tę walizkę w starej studni kamieniami, żeby nikt jej więcej nie znalazł.

– Nikt? Czyli policja?

– Tak. Ale głównie Karolina.

Świątkowice. Jeśli chcecie tu przetrwać, nauczcie się przemilczać.

– Ale w końcu musieliście o tym porozmawiać. Skoro was tu razem znalazłam.

– Tydzień temu twoja mama zadzwoniła do mojej. Z tej rozmowy dotarły do mnie jakieś skrawki. Zacząłem pytać, bo widziałem, że wpadła w panikę. Powiedziała mi. Sam się zgłosiłem, że pomogę. Wykopałem go. Znaczą tę czaszkę, którą znalazłaś. Reszta kości zarosła jagodzinami, może i lepiej. Wykopałem tę czaszkę i to było... To było dziwne. Patrzyłem i szukałem w niej rysów twarzy tatusia. Przywiozłem ją do twojej mamy, bo wszystkie tam siedziały, radziły, co zrobić. Ale jakoś nie uradziły, więc moja mama zabrała ją do siebie. No i w końcu czaszka wróciła tutaj. Wszystko z twojego powodu. – Dawid próbuje się śmiać, ale jakoś mu nie wychodzi.

Zresztą wie, że raczej bym nie podchwyciła. Podsumowuję:

– Twoja mama zabiła twojego ojca. I później pochowała go w lesie, a wszystkim powiedziała, że niespodziewanie wyjechał za granicę. Dobrze mówię?

Zero reakcji.

– Odpowiesz wreszcie?

– Przecież kiwałem głową – oznajmia, znowu tym swoim zgrywnym głosem. Zgrywnym w jego wypadku znaczy zwyczajnym.

– Jak to się stało? Jakim cudem...

– Nas wtedy nie było przecież w domu. A między nimi była jakaś awantura. Kłócili się. Mama mówi, że reszty nie pamięta. Że jak się ocknęła z szału, to już siedział w kałuży krwi. Nie żył.

Zgrywny głos przy ostatnich słowach jednak drży. Odzywam

się:

– Wytrzymała z nim osiemnaście lat. Dlaczego się nie mogła rozwieść? Podać go na policję, żeby poszedł siedzieć za przemoc domową? Było przynajmniej kilka innych rozwiązań. Nie musiała przecież od razu zabijać.

– Zrobiła, co zrobiła, ochroniła nas. Jakoś tam ochroniła. Jak umiała – przekonuje sam siebie. – Myślała, że nie ma innego wyjścia.

Miała, myślę. Miała. Na pewno miała. Głowa mi pęka.

Dlaczego od razu dzisiaj nie pojechałam do Warszawy, po co wlokłam się do tego cholernego lasu? Dziesięć lat Świątkowice radziły sobie beze mnie. Poradzą sobie przez kolejne dziesięć.

Biegnę do domu, zbieram swoje rzeczy, rower, macham do mamy na pożegnanie i lecę w świat, do Warszawy. Pedałuję, trzymam Niuškę za smycz, żeby biegła obok roweru. Nie wolno mi się specjalnie rozpędzać, bo ma za krótkie łapki. Powoli mijam więc mięsny, ciemno w oknach. Mijam ryneček przy stacji. Mijam skład węgla oświetlony sodowymi lampami, żeby nikt nie kradł. Docieram wreszcie do stacji kolejowej, o tej porze dnia niemal widmowej. Co się dziwić, większość pociągów, które tędy przejeżdżają, zupełnie lekceważy Świątkowice, miejsce niewarte przystanku między Warszawą a Dęblinem. Ale ten przystaje, na tych kilka sekund. Tarabanimy się do środka. Podejrzenia jednak nie chciały zostać na wsi, wiozę je ze sobą, do Warszawy, razem z Niušką i rowerem, a im bardziej je od siebie odpędzam, tym bardziej wydają mi się logiczne.

W Warszawie wrzucam Niuškę do koszyka i pedałuję z dworca Śródmieście pod Pałac Kultury. Idę w prawo od wejścia głównego, gdzie w środkowej niszy czeka na mnie tak dobrze znana postać kobieca, ta, która wygląda dokładnie jak moja matka. I trochę jak ciocia Bożena, teraz to widzę. Mocarna, o silnych ramionach, silnych łydkach. Tylko udaje zrezygnowaną, ale gdy się lepiej przyjrzeć, widać, że spuściła głowę, bo zbiera siły, żeby znowu zacząć działać. Niuška, wyjęta na chwilę z koszyka, sika sobie tu i ówdzie, popatrując na mnie z troską spod zmarszczonego czoła, a my mierzymy się wzrokiem

z kamienną kobietą.

Znowu wraca uczucie, że po co ta Warszawa, że prawdziwe życie jest tam. Nie czuję się w Warszawie u siebie, bo jej nie rozumiem. Ale przecież ciągle pamiętam uczucie ze Świątkowic, że co ja tu robię, w tym przygnębiającym kłębowisku cierpień i sekretów pachnących Domestosem. Słoikowe przekleństwo: tu źle, a tam nie na miejscu. I tu, i tam nie mam z kim pogadać. I tu, i tam gonię bez sensu. I – z pozytywów – i tu, i tam towarzyszy mi Niuśka, jedyna istota na świecie, z którą rozmawiam o wszystkim i której nie boję się przytulić. Istota, kurde, trzydzieści centymetrów wzrostu, cztery łapy. Chujowość mojego życia wali mnie w twarz, więc wołam swoje suczątko, podnoszę je z ziemi, wtulam przepraszająco nos w jego futro, a ono wytrzymuje, bo mnie kocha.

W mieszkaniu Karolina odpoczywa rozwalona na kanapie przed telewizorem. Tak, to kanapa, na której sypiam. Zrywa się.

– Herbaty? – pyta. Idzie do kuchni, nie czekając na odpowiedź.

Znowu ta mieszanek sprzecznych uczuć: dobrze, że nie jestem tu sama, szkoda, że nie mogę być tu sama.

– Od dziesięciu lat tam nie zaglądałaś, a teraz jeździsz do Świątkowic co weekend? – dziwi się, stukając naczyniami. – Zakochałaś się? – dorzuca jeszcze, zupełnie niepotrzebnie, ale też zupełnie nie oczekując odpowiedzi.

Nie jestem w stanie z nią rozmawiać, ciągle myślę o scenie na polanie z okopami, Maria Magdalena z czaszką na kolanach, Dawid oparty o szpadel. Czy Karolina wie o tym wszystkim? Czy dlatego nigdy nie chce rozmawiać o domu?

Myśli mi uciekają, ale nie jestem pewna, czy chcę je łąpać.

– Mogę wyłączyć telewizor? – pytam. – Jestem wykończona.

Karolina pstryka pilotem i zostawia mnie samą w pokoju. Dyplomatycznie nie wnika, dlaczego jestem wykończona.

Wyśpię się, przynajmniej się wyśpię, bo jutro przecież wstaję o piątej. W siłowni mam być o szóstej, na sprzątanie. Karolina wstanie o szóstej trzydzieści, bo pracuje w przedszkolu od wpół do ósmej. Kiedy jej nie będzie, odeśpię w domu wczesne wstawanie, a potem pojedę do biblioteki. Tak się mijamy, tyle

czasu przebywamy tu same, jakby każda z nas miała to mieszkanie na własność. Kiedyś to lubiałam, teraz mi doskwiera. Co z tego, że mieszkam z krajanką, skoro się niemal nie widzimy? Co z tego, że rozumiemy się w pół słowa, skoro i tak nigdy nie rozmawiamy? Co z tego, że zobaczę w ciągu dnia mnóstwo ludzi, skoro z żadnym nie mogę pogadać tak naprawdę?

Biorę telefon i dzwonię do Ilony, mojej kumpeli ze squatu. Nie to, że jesteśmy blisko, ale tak naprawdę nie mam tu z kim gadać. Ale rozłączam się, zanim Ilona zdąży odebrać. Bo o czym będę z nią rozmawiać? O tym, co zrobiła mężowi ciocia Bożena zamiast rozwieść się z nim, jak to robią normalni ludzie? O ojcu Dawida? O moim ojcu? Czy o podejrzeniach, które mi się kłębią pod czaszką? Po co rozgrzebywać, rozkminiać, rozważać i budzić w sobie niepokój, przez który potem spać nie można?

Ilona chwilę później oddzwania, ale wyciszam. Nie, nie mam siły, zrozumie, ona rozumie takie rzeczy. A ja będę ciągnąć do przodu, nie oglądając się za siebie, na Świątkowice. Przecież niedługo nadejdzie Wielkanoc, co oznacza mycie okien w każdym domu, zarobię kupę kasy. Odkuję się finansowo, znowu zadomowię, jest nadzieja, że znów wrosnę w miasto, poczuję się bezpiecznie. I tak będzie szło jak przedtem, nie najgorzej przecież: siłownia, Niuśka, łóżko, biblioteka, klinika, biura, łóżko. Źle mi z tym było?

Stoję przy przejściu dla pieszych. Sobieskiego, diabli nadali, że światła się popsuły, więc czekam, ale samochód wali za samochodem, wszyscy się spieszą i nikt mnie nie zauważa. Rowerem już bym się chyba włączyła do ruchu albo pojechała po chodniku, ale dzisiaj mróz, a ja jakaś zmarznięta do kości, więc uznałam, że autobusem wygodniej i cieplej, i można czytać w środku. Mogę oczywiście wejść na pasy i liczyć, że ktoś zahamuje, sądząc jednak z tego, jak bardzo jestem niewidzialna, boję się, że mogą nie zdążyć zahamować.

Jak się umiera po przejechaniu? Czy to bardzo boli?

Rzeka samochodów nie przestaje płynąć, a przerwy między nimi są za małe, żebym odważyła się wejść. Staję na krawężniku

i nagle unoszę dłoń w wielkiej rękawiczce, by pokazać przejeżdżającym kierowcom solidnego fucka. Stoję jak wkurzona statua wolności, aż tu nagle jednak ktoś się zatrzymał. Tuż za pasami. Z piskiem opon. I wysiada, i biegnie do mnie. Że jak śmiał! Mnie fucka, mnie?! Ty dziwko, smarkulo!

Nie wiem, dlaczego „dziwko”. Na smarkulę też zasługuję coraz mniej.

Przystają za nim kolejne samochody, wszyscy zahamowali przed przejściem dla pieszych, więc przemykam na drugą stronę, a za mną kolejni piesi, wymarznęci podczas oczekiwania. Ruszam w długą, biegnę jak wiatr po chodniku, rozgrzana powodzeniem, nie dogna mnie kierowca z tej czarnej beemki, jednak jazda na rowerze i spacer z psem lepiej kształtują kondycję niż dociskanie pedału gazu.

Nie jestem niewidzialna. Jestem wkurwiona jak cholera.

Kilkanaście metrów dalej, przy sklepie, widzę tak już dobrze znajomą przyciężką postać z dużą głową. Ojciec. A ten znowu nie daje mi spokoju! Po co za mną łązi?!

Już się odwracam, by zawrócić i umknąć, ale nagle przystaję. A potem obracam się na pięcie i ruszam z całym impetem w jego kierunku. To on, widzę go od tyłu, ale jestem pewna: on; ciężki, mocny, uparty. Szarpię go za ramię.

– Czego ty jeszcze chcesz?! Czego ty ode mnie chcesz?! – wrzeszczę, a facet odwraca się do mnie i uchyla jak przed biciem. Rozpędzona, jeszcze zdążę podnieść na niego rękę.

Tyle że to jakiś obcy mężczyzna, nieco przestraszony i z przodu zupełnie niepodobny do mojego ojca.

– Boże, przepraszam! – Wpatruję się w jego twarz. – Wzięłam pana za kogoś innego.

– Wolę nie wiedzieć, co tamten pani zrobił.

Oddała się ode mnie czym prędzej, oglądając się jeszcze, czy na pewno za nim nie gonię.

Stoję na środku ulicy i kręcę głową. Nie umiem tego wszystkiego zrozumieć.

– Na weekend przyjedziesz? – Dzwoni mama w piątek, który nastał zupełnie zniecka. – Bo jeśli tak, chyba zostawię ci klucz pod donicą.

Już dawno temu zauważyłam, że czas w Warszawie pędzi w porównaniu z czasem w Świątkowicach. Czas w Warszawie jest jak metro, mkniiesz z miejsca na miejsce i nawet nie zauważysz, że krokusy kiełkują. Czas w Świątkowicach porusza się, jakby człowiek jechał na rowerze: dojechać gdziekolwiek trudno po tych nawierzchniach, ale za to doskonale widać po drodze wszystko, czyli jaka pogoda i które rośliny zaczęły się budzić do życia. Nie wiem, co wolę.

– Jedziesz gdzieś, mamo?

– Danusi mąż jest w szpitalu.

– Co się stało?

– Strasznie chory. Chyba salmonella. Danusia prawie nie wychodzi ze szpitala. A my siedzimy z nią. Więc nie jestem pewna, o której wrócę. Ale przyjedź, jeśli możesz. Przyjedź.

– Zatrął się?

– No tak.

– Gdzie? We własnej knajpie?

– On tam nie jada. Tylko w domu. Tak przynajmniej mówi. Ale Danuśka zdrowa, a przecież jedzą to samo. Tatara pewnie gdzieś zjadł. – I dodaje: – Nigdy nie jedz tataru poza domem, córko.

Północ. Jestem wykończona, ale przewracam się w łóżku bez sensu, pytania moszczą się we mnie, kłują, uwierają. Wstaję, idę do kuchni i po ciemku nalewam sobie wody z kranu, bo innej żadna z nas nie kupiła. Kranówka smakuje Warszawą: niby zwykła woda, a jednak jakaś inna, z obcym posmakiem. Siadam półdupkiem na parapecie i patrzę przez okno na stolicę pełną ruchliwych świateł, tak bardzo nie moją. Niuśka, zdezorientowana, pomlaskuje pod stołem. I nagle uświadamiam sobie, że od chwili, gdy szarpnęłam tamtego faceta pod sklepem na Sobieskiego, to było chyba we wtorek, ani razu nie widziałam swojego ojca. Ani razu mi nie mignął za żadnym zakrętem, w żadnym końcu ulicy. A poprzednio widywałam go co chwila.

Powinłam poczuć ulgę, że się wycofał, zniknął. Ale nagle

wydaje mi się, że świat zamiera, że samochody za oknem przystanąły i wszystko ucichło. Przytykam czoło do szyby.

– Stało się coś? – Otwierają się drzwi pokoju Karoliny, a ona, poziewując, idzie do WC.

Tylko kręcę głową. Ale wcale nie chcę, żeby moja kumpela wróciła do łóżka. Potrzebuję człowieka.

– Napijesz się czegoś? – pytam.

Są dwa rodzaje pytań. „Napijesz się herbaty?” i „Napijesz się czegoś?”. Teraz zdecydowanie mam na myśli to drugie.

– A mamy coś?

Cóż, w odróżnieniu od butelkowanej wody, o „coś” zawsze któraś z nas zadba.

Karolina leje wódkę do dwóch małych szklaneczek. W przeciwieństwie do miejscowych piesszozszków lubimy ją z wiejska. Nie mrożoną, tylko taką prosto z kredensu.

– Na popitkę chyba herbaty zrobię – mówi Karolina.

Ale nie czekam na żadną herbatę, od razu wlewam sobie do gardła łyk wódki, wdziera się z mocą do żołądka, a mnie robi się trochę lepiej.

Karolina leje sobie wody z kranu i popija, głośno przełykając.

– Mogłybyśmy chociaż cytryny kupić.

Nie mam zamiaru ciągnąć wątku popitki, bo cały czas nie umiem się pozbierać.

– Mąż cioci Danuśki jest w szpitalu. Zatrucie – oznajmiam. – Salmonella.

Karolina zagapia się w okno.

– Kiedy byłam w Świątkowicach, strasznie się kłócili – dodaję i opowiadam jej o wydarzeniach z Magnolii.

– No to teraz ciocia Danuśka wreszcie ma spokój – stwierdza Karolina z satysfakcją. – Pan Mariusz prędko z tego szpitala nie wyjdzie.

Pierwsza w nocy, a ona odgrzewa sobie pierogi, na oko kupne, a nie od cioci Bożeny, bo aż lśni od jakiegoś tłuszczu, który ma im przydać czegoś w rodzaju gastronomicznej nieśmiertelności.

– Zjesz?

Odmawiam, znowu mam żołądek w supeł.

– Czy ty zauważyłaś, że w Świątkowicach mieszkają niemal same kobiety? – pytam. – Mężczyźni umierają albo wyjeżdżają. Zauważyłaś to?

Karolina wzrusza ramionami.

– Generalizujesz. Kobiety też wyjeżdżają. Spójrz na nas.

I wpycha w usta pieroga, jeszcze nie przeżuła, a już wpycha następnego, co jest wystarczająco wymowne. Nie chce o tym gadać. O wielu sprawach nie chce gadać. Na przykład o tym, dlaczego związała ze Świątkowic. A powód musiał być naprawdę mocny, bo dał jej determinację, by uciec ze wsi i zbudować wszystko od nowa. Dał jej siłę, by skończyć studia i nie wracać na wieś. By nie narzekać, że czasem mamy na kolację tylko bułkę z keczupem.

Karolina, otarłszy usta z tłuszczu po pierogach, wychyla kolejną szklaneczkę wódki. Ja też. Mam wrażenie, że coś zaraz powie, coś ważnego, zamieram w oczekiwaniu, ale ona ziewa, podnosi się z taboretu, bąka dobranoc i wychodzi z kuchni. Stukają drzwi jej pokoju.

*

Za oknem samochodu znowu zamierają, jakby ktoś zatrzymał klatkę filmu.

Już wychodziły krokusy, a tu nagle w sobotę rano spadło dziesięć centymetrów śniegu. Robi się białe, czyściutko, rower się ślizga po śniegu pokrywającym świątkowickie drogi.

Zatrzymuję rower pod domem. Śnieg pozbawił Świątkowice brzydoty, nasze obejście wygląda czysto i świeżo, jakby nigdy nie stało się tu nic złego. Hamuję z poślizgiem, zeskakuję, wydaję Niuškę. Mareczka nigdzie nie widać. Ukłucie niepokoju, które szybko tłumię myślą, że jakoś sobie radził, gdy mnie tu nie było, i musi sobie radzić, gdy mnie tu nie ma. Już szukam klucza pod donicą, gdy przez okno w kuchni widzę głowę w grajczarkach i serce mi się ściska. Mama podnosi rękę i macha do mnie.

– Tam w szpitalu z Danušką i tak ich dużo, uznałam więc, że bardziej się przydam tutaj. – Odchrząkuje i dodaje: – Chciałam cię zobaczyć, po prostu.

Mama wygląda marnie, jakby nie spała przez te całe pięć dni, gdy się nie widziałyśmy.

A potem herbata, śniadanie, krzątanina, która ma zapełnić ciszę między nami. Mama nabiera powietrza jak przed ważnym wyznaniem. Drzę. Ale niepotrzebnie.

– Dużo miałaś pracy w tym tygodniu? Zmęczona jesteś?

– W normie – odpowiadam.

I znowu cisza.

– Jak... Jak się czujesz? – wyduszam w końcu.

– Lepiej – mówi. – Noga już właściwie nie boli. W domu sobie radzę, z zakupami pomagają mi Sobótki.

– Bożena mówiła, że wykończyłaś się tym siedzeniem w szpitalu z Danusią.

– Trochę czasu tam faktycznie spędziłyśmy. Nie chciałyśmy zostawiać jej z nim sam na sam.

– Dlaczego?

– Mariusz wini ją o to zatrucie. Kiedy był słaby, leżał cicho, ale podleczyli go. Już może nawet trochę krzyczeć. Więc na nią krzyczy.

– A... czym się zatruł?

– Salmonellą przecież. Ale nie wiadomo, w czym była. Nie ma innych przypadków w okolicy. – I zaraz zmienia temat: – Wiesz, że wpadłam w tygodniu do Gabrysia?

– I jak było?

– Urósł. Wygląda prawie jak Sebastian.

Robi się smutno w kwestii tego „prawie”.

– Jedz, dlaczego nie jesz? Zmizerniałaś.

Ona też. Podnoszę kromkę do ust i znowu ją opuszczam.

– Myśli mnie męczą – mówię i czekam, aż zapyta jakie. Ale nie pyta. Więc będę mówić sama. – Kiedy poprzednio byłam w Warszawie, za każdym rogiem widziałam ojca. Ciągłe mi się wydawało, że mnie śledzi. Że łązi za mną.

– Boże, dziecko!

– Bałam się go strasznie. Bałam się z domu wychodzić, a przecież muszę, co chwila, bo praca i pies. Jak go zobaczyłam, to wiałam, odwracałam się na pięcie i wiałam, byle dalej, nie

chciałam go widzieć.

– Ale przecież on... – zaczyna mama i milknie.

– Co?

– No po co miałby tam za tobą jechać? Chodzić za tobą?

– No właśnie też tak pomyślałam. Że po co, więc to pewnie nie on. A że jeśli on, to nie ma prawa mnie prześladować po wszystkim, co mi... co nam zrobił. Że mam prawo być na niego wściekła, a nie się go ciągle bać. A on nie ma prawa do niczego. I wiesz co?

– Co?

– No i tym razem pokazałam mu, jaka jestem wściekła. Ruszyłam za nim, dogoniłam go, stuknęłam w plecy, wrzasnęłam. Mama zamiera.

– I co?

Oczy ma szeroko rozwarte, twarz trupio bladą, jakby właśnie zobaczyła ducha.

– Tyle że to nie był on... Rozumiesz? Odważyłam się wreszcie. A to nie był on... – Zaczynam się śmiać. – Całe moje życie w skrócie. Kiedy się wreszcie na coś odważę, okazuje się, że to była pomyłka.

Mama siada naprzeciwko mnie przy stole, bierze moje dłonie w swoje. Skórę ma szorstką, jakby już całkiem zapomniała używać kremu. Ja też ostatnio zapominam. Patrzymy na siebie.

– Nie gadaj bzdur – mówi ostro, zupełnie jakby zamieniła się w ciocię Bożenę. – Nie gadaj bzdur, naprawdę. Odważyłaś się spojrzeć mu w oczy. I odważysz się za każdym następnym razem, ktokolwiek to będzie. – Ręce jej drżą. – Już się go nie boisz, prawda?

Nie jestem pewna, czy pyta, czy zaklina rzeczywistość. Więc nie odpowiadam.

SYLWIA

Nie, nie jestem w stanie opowiedzieć mojej córce, jak to się wszystko odbyło. Chyba nawet nie powinnam. Chciałabym tylko

dać jej znać, że jest bezpieczna. Że od dziesięciu lat jest bezpieczna. Niech wreszcie przestanie oglądać się za siebie, przestanie spodziewać się go na każdym rogu ulicy. Może nawet spać we własnym łóżku, tutaj, w domu, jeśli uda jej się wygonić z głowy te obrzydliwe wspomnienia. Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby czuła się bezpiecznie.

Czasem mi się śni mąż Bożeny, skulony w płytkim grobie, paskudny, trochę żaloszny w tych plastikowych workach na śmieci.

A czasem śni mi się mój.

Często też śni mi się tamten wieczór, gdy Bożena wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do swojego domu. Kiedy otworzyliśmy drzwi, poczułam zapach jak po świniobiciu. Krew. I Domestos.

Mąż Bożeny pół siedział na krześle, pół leżał na stole.

– Jurek chory? – szepnęłam.

Bożena pokręciła głową.

Podeszłam do niego i wtedy zobaczyłam, że faktycznie nie jest chory. Że już nigdy na nic nie zachoruje.

– Ty to zrobiłaś? – pytam.

Ze stołu przestało już kapać, a ona nawet zdążyła wszystko umyć, ciało też otarła, na ile się dało. Plamy krwi zostały głównie na koszuli. Z pieca wystaje skrawek zakrwawionego fartucha. Szmata, jeszcze czerwonawa, suszy się na wypłukanej do czysta misce.

– Chyba tak – odpowiada Bożena.

– Jak to: chyba?

– Nic nie pamiętam. Naprawdę.

– Nożem?

– Nie wiem. Nóż umyłam.

Macha ręką w kierunku suszarki na naczynia.

– Co chcesz z tym zrobić? Dzieci nie mogą tego zobaczyć. Za trzy i pół godziny mają być z powrotem z wycieczki.

Kiwa głową.

– To... To był wypadek. Ja naprawdę nic nie pamiętam. Nie wiem, co robić.

Trzęsie się z zimna, więc podaję jej sweter.

– Należało mu się – stwierdzam. – Należało.

Dużo mu się należało, nie jestem jednak do końca pewna, czy powinna to być kara śmierci.

Nie mam pojęcia, co robić, więc dzwonię po Danuškę i Agnieszkę.

Pozostałe Sobótki o nic nie pytają, bo o co tu pytać, wszystko widoczne od razu. Danuška popłakuje, Agnieszka zaciska usta, kręci głową. W końcu postanawiają, że w tym wszystkim trzeba ratować Bożenę. I zabierają się do roboty. Bagażnik wyścieliły folią, dla pewności. Jurek zostaje obwiązany dwoma plastikowymi workami, jeden włożony od nóg, drugi od głowy, w pasie związane sznurkiem. Na to wszystko jeszcze wielka folia malarska, dla bezpieczeństwa. Nie jest łatwo, zeszywniał na siedząco, więc trudno go przenieść, dobrze, że mamy Agnieszkę ze sobą, ta siłaczka naprawdę daje radę. Rzeka za płytka, bagienko, gdzie zawsze topiło się stare żelazka i padlinę, za długo wciąga ofiary w głąb i ze dwa dni by potrwało, zanim mąż Bożeny zniknąłby świata z oczu. Więc zostaje polana z okopami. Świecąc sobie reflektorami samochodu, pogłębiamy fragment jednego z okopów, na ile się da, bo niżej już kłębią się korzenie drzew. W rezultacie dół jest dużo głębszy z jednej strony. Jurek nadal nie daje się rozprostować, zostaje więc taki siedzący, skulony, jak umarł. Dzięki temu dół nie musi być aż tak długi jak jego ciało, wystarczy, że będzie bardziej kwadratowy niż zwykły grób.

Gdyby Bożena w ostatniej chwili nie rozpruła worka u góry, żeby wydobyć jego głowę, nie wiadomo zresztą po co, może za dużo się w dzieciństwie nasłuchiwała o żywcem pogrzebanych, i gdyby nie chciała jeszcze dla porządku sprawdzić, czy Jurek na pewno nie żyje, pewnie pies by tej czaszki nie wykopał. Ale wtedy żadna nie zaprotestowała, w tamtym momencie rozprucie worka u góry wydawało się dziwnie logiczne. A potem wepchnęliśmy Jurka do dołu, uwalane błotem, a Bożena starannie ułożyła mu głowę w płytszym miejscu grobu jak na poduszce. Przywaliliśmy go mokrą ziemią, warstwa za warstwą, a potem uklepywałyśmy stopami. Poukładałyśmy na wierzchu

darń, wyciętą, gdy zaczynałyśmy pogłębiać dół. Na upartego nikt nie zauważył. Przywaliłyśmy gałęziami. Przysypałyśmy liśćmi. Garściami mokrych sosnowych igieł. Zacieraliśmy ślady. Byłyśmy wykończone, a serca waliły nam jak oszalałe.

Gdy dzieci wróciły z wycieczki, nie było łatwo, ale dałyśmy radę, każda z nas. Nawet Bożena. Przede wszystkim Bożena.

Następnego dnia przyjechałyśmy znowu, pewnie, że już ktoś znalazł Jurka. Ale ślady były ledwie widoczne, zielsko rosło błyskawicznie. Mżyło.

Dosypałyśmy gałęzi, dołożyłyśmy mchu.

Na każdy dzwonek telefonu wzdrygałam się, że to policja dzwoni. Bożena też na początku radziła sobie fatalnie, zawsze któraś z nas musiała u niej być. Dobrze, że Jurek nie miał już rodziców, ich byśmy nie przekonały, że nagle, bez pożegnania, wyjechał do Belgii, bo dostał jakąś pilną i dobrze płatną fuchę. Inni jednak jakoś w miarę lekko łyknęli tę wersję. Belgię wymyśliła Agnieszka. Bo nie jakieś głupie Niemcy czy Anglia, gdzie wszyscy jeżdżą, tylko Belgia, gdzie nie ma żadnych znajomych. A Jurek nikomu specjalnie nie brakowało, etatu nie miał, pola niedawno wydzierzał. Na sklepie wywiesiłyśmy tabliczkę, że chwilowo zamknięte. Tylko kumple z sali gier w Magnolii dopytywali, kiedy wróci, pewnie z nadzieją, że pożyczą parę groszy. Bożena zbywała ich, a oni nie dziwili się nawet specjalnie, że nie patrzy im wtedy w oczy.

Potem Bożena zaczęła stawiać Jurkowi lampki przy grobie, zawsze wtedy wracała z lasu jak skatowana.

– Zauważył ktoś – narzekały. – Wkopiesz nas wszystkie.

Przez jakiś czas się powstrzymywała. Ale potem znowu stawiała.

– Ale może to nie ja zrobiłam? – łudziła się. – Może ktoś wszedł i go załatwił? Ja przecież nic nie pamiętam.

Przytulałyśmy ją i odpowiadałyśmy, że ktokolwiek to zrobił, Jurkowi się należało. Przecież nawet gdybyśmy mówiły inaczej, życia byśmy mu nie wróciły.

Powoli Bożena nauczyła się spychać wyrzuty sumienia, powoli przestała powtarzać, że zaraz zgłosi się na policję, bo przecież jak

to tak, bez kary za taką straszną rzecz. Powoli mogliśmy przestać tłumaczyć, że najbardziej ukarałaby własne dzieci. Rzuciła się w pracę, przecież musiała ogarnąć sklep, dwoje dzieci, finanse, KRUS za oboje. Za męża też powinna płacić składki, tak wspólnie uznałyśmy, wtedy nikt nie będzie nic podejrzewał.

I tak Bożena popełniła zbrodnię doskonałą.

Tym doskonalszą, że przestałyśmy o tym rozmawiać. Żyłyśmy, jakby to się nigdy nie stało.

Czasem tylko śnił mi się jej mąż, taki skulony w grobie, paskudny, trochę żaloszny w tych plastikowych workach na śmieci.

A czasem śnił mi się mój.

ANIELA

Hamuję przed płotem, trochę w ostatniej chwili, więc wzbijam tabuny śniegu. Przez chwilę podziwiam zamieszanie, które wywołałam.

– Widzę, że nie zapominasz o mnie! – woła z domu pani Stańska.

Podejrzewa, że przyszedłam z czymś ważnym, ale nie ciśnie, pozwala mi rozsiąść się na kanapie, rozglądać, patrzeć na górę klasówek, w których sprawdzaniu przeszkodziłam, czekać na herbatę i herbatniki o nazwie – nomen omen – Szkolne. Mój ojciec też je lubił, po obiedzie zamaczał w herbacie i ciamkał. Tłumaczył mi, że po to są właśnie herbatniki: do zamaczania.

Po raz pierwszy w życiu zaczynam się zastanawiać, dlaczego pani Stańska nie wyszła za mąż. W Świątkowicach są wdowy, są kobiety porzucone, bywają nawet rozwódki, ale panien w tym wieku raczej nie ma, chyba że te najbardziej felerne. Pani Stańska nigdy nie wyglądała na felerną, przeciwnie – wyglądała na taką, która widzi cudze felery i zaraz je przebacza. Ale potem sobie przypominam, że pani Stańska nie była w Świątkowicach od zawsze, choć tak mogłoby się wydawać. Ona po prostu pewnego dnia pojawiła się w Świątkowicach, zamieszkała w domu za wsią

i zaczęła uczyć w szkole. Chyba nikt nie wiedział, co się z nią działo wcześniej. Prawdopodobnie mógł w jej życiu być jakiś mąż. Z plotek wiadomo było tylko, że przyjechała z Siedlec. Że pracowała w podstawówce, potem w gimnazjum. I że ma lat czterdzieści osiem, choć na tyle wtedy nie wyglądała. Ani na czterdzieści osiem, ani na dwadzieścia osiem, ani na pięćdziesiąt osiem. Na żaden wiek nie wyglądała, siwa, ale z młodą twarzą, długowłosa, uczesana w warkocz, szczupła, niemal bez biustu, zawsze ubrana na biało-czarno, w luźnych swetrach. Ludzie o niej gadali, ale w końcu przestali – uczyła dobrze, doglądała dzieci w ich domach, zmuszała do czytania i do nauki, choć wcale nie zmuszała do studiów.

– Chcesz być masarzem? Dobrze. Ale bądź dobrym masarzem. Niegłupim.

A po lekcjach wracała do domu, sadziła kwiaty i czytała. Naprawdę czytała. To wszystkich fascynowało, ale nikogo nie szokowało, nauczycielka przecież, niech czyta, jeśli nie ona, to kto? Do domu wpuszczała tylko uczniów, z resztą rozmawiała przy płocie. Nikt jej więc o żadne romanse nie podejrzewał. Do kościoła nie chodziła. Żydówka, uznali, i to załatwiło sprawę. Żydówka. Ale nasza, swojska.

Bo wszyscy inni przecież do kościoła chodzą, prawda?

Przełykam ślinę i wreszcie się odzywam:

– Czy nie ma pani wrażenia, że w Świątkowicach mężczyźni umierają częściej niż gdzie indziej?

– Kochana. – Pani Stańska uśmiecha się do mnie. – W Świątkowicach jak wszędzie umiera sto procent mężczyzn i tyle samo kobiet. Obawiam się, że to się w najbliższych latach nie zmieni.

Tak, jej logika zawsze była nieubłagana, ale chwilowo nie mam ochoty na przekomarzanki.

– Niech się pani nie śmieje, proszę. Mówię poważnie. Przeszłam się po cmentarzu i zauważyłam, że wielu mężczyzn ze Świątkowic zmarło przed czterdziestką. No, najdalej przed pięćdziesiątką. Kobiety dożywają siedemdziesiątki, osiemdziesiątki. Albo niech pani spojrzy po sąsiadach. Po

Sobótkach. Nie widzi pani tego? W innych wsiach dookoła, we wsiach w całej Polsce mieszkają głównie mężczyźni, często samotni, dlatego biorą udział w tych debilnych programach typu *Rolnik szuka żony*. Kobiety, gdy mogą, uciekają do miast, gdzie czeka je lepsze życie. A tu, w Świątkowicach, niech pani spojrzy, na ulicy, w kościele, po sklepach, w urzędzie, na stacji. Ilu mamy tych facetów? A ile kobiet?

– Może nasza wieś to po prostu dobre miejsce dla kobiet i gorsze dla mężczyzn.

Aż pry cham.

– Dobre dla kobiet?! Świetne, naprawdę. Niech pani spyta moją mamę. Albo ciocię Bożenę, jakie dobre. Ale ja mówię o mężczyznach. Jeśli nie umierają, to wyjeżdżają na zarobek i nie pokazują się więcej. Jakby się czegoś bali. Jak mój ojciec.

– Tak właśnie myślałam, że chodzi ci o ojca.

Pani Stańska zawsze rozumiała mnie najlepiej. Natomiast ja samej siebie za bardzo nie rozumiem. Mam tylko przeczucia, o których trudno mi rozmawiać z kimkolwiek. Może z nią najprędzej. Ona nie gorszy się na zapas, każdą myśl, każdą hipotezę obraca w głowie dziesięć razy, przygląda się jej, sprawdza, ale nigdy z jej ust nie padło: Jak możesz tak mówić! Jak możesz tak myśleć! Przy pani Stańskiej myśleć możesz wszystko. I rozmawiać o tym.

– Kiedy tu się sprowadziłam – odzywa się pani Stańska – słyszałam te opowieści. Że niegdyś chłopcy bali się żenić z dziewczynami ze Świątkowic, bo po ślubie szybko tu umierali. We wsiach dookoła mówili nawet o Świątkowicach Wdowinek. Ale to stare sprawy.

Stare i niestare. Bo na przykład mąż cioci Bożeny to wcale nie taka stara sprawa, sprzed kilkunastu lat zaledwie. Ale przecież nie tylko o niego mi chodzi.

Nie jestem jednak pewna, czy powinnam zaczynać rozmowę o pozostałych sobótkowych mężczyznach. O pierwszym mężu cioci Danuśki, który młodo zszedł na serce. O jej obecnym, który właśnie wylądował z zatruciem w szpitalu. O... o moim ojcu. Właściwie tylko mąż cioci Agnieszki mieszka w Świątkowicach

w nienaruszonym stanie.

– Ale przecież one wszystkie nie są stąd. Wszystkie przyjechały tu za mężami.

– One wszystkie?

– Sobótki. Dlatego się tak ze sobą zaprzyjaźniły, bo na początku były obce.

– A więc chodzi nie tylko o twojego ojca. Ale także i o twoje przybrane ciotki.

Kiwam głową twierdząco.

– I o ich mężów. Tylko niech pani nie mówi nikomu, że o tym opowiadam. Że się nad tym zastanawiam.

– Nie ma nic złego w tym, że się zastanawiasz. Naprawdę. Przeciwnie: kiedy cię uczyłam, uwielbiałam, że nad wszystkim się zastanawiałaś. I że ciągle pytałaś: Dlaczego? Po co? Skąd to się wzięło? No dobrze, kochana, co cię tak męczy?

Opowiadam o ojcu. O tym, jak go ciągle widziałam w Warszawie i jak nagle przestałam. Opowiadam o mężczyznach Sobótek. Jeśli chodzi o męża ciotki Bożeny, ograniczam się do tego, że wyjechał i nie dał znaku życia. Ani żonie, ani dzieciom.

– I jaki wniosek z tego wysnuwasz? Ja widzę, że te twoje Sobótki to silne kobiety, które dają sobie radę, czy to z mężami, czy bez nich. Może też dlatego przylgnęli do nich słabeusze, tak często bywa. Ty też będziesz musiała uważać, żeby się z kimś takim nie związać. Nie warto.

– Ma pani rację, one są silne. Na przykład moja mama wyrzuciła mojego ojca z domu. Tak mi niedawno powiedziała. Ale ostatnio nie jestem pewna, czy... Nie jestem pewna, czy nie pozbyła się go jakoś... Jakoś bardziej radykalnie.

Pani Stańska milczy. Wpatruję się w nią. Jej rumiana twarz pod białymi włosami wydaje się zastygła. Tak samo siedziałyśmy przedwczoraj z Karoliną. I wczoraj z mamą.

One wszystkie coś wiedzą. Wszystkie wiedzą to, czego ja się nie chcę domyślić.

Kiwam stopą, na której buja się kłapek, pożyczony z sieni pani Stańskiej, i z każdym kiwnięciem uświadamiam sobie, że rozwiązanie tej tajemnicy jest bardzo proste.

Tym razem to ja się zrywam, przepraszam, że właściwie muszę już lecieć i że nie chciałam zrobić zamieszania, i że się odezwę i mówię wszystkie te rzeczy, które się mówi, kiedy człowiek chce szybko od kogoś wyjść. Pani Stańska udaje, że dała się wciągnąć w ten kontredans, ale patrzy, patrzy na mnie z zadumą, która mnie przeraża.

PANI STAŃSKA

Podziwiam te kobiety. Gdybym opowiedziała o wszystkim, co robią, Andżelice, Anieli, jak każe teraz na siebie mówić, pewnie też by je podziwiała. Ale widać Sobótki miały jakiś powód, że przemilczały swoje sprawy przed tą zbuntowaną, inteligentną dziewczyną pół ze wsi, pół z miasta.

Nigdy nie aspirowałam, żeby mnie przyjęły do swojej grupy, do Sobótek, sama zresztą zawsze wolałam stać z boku. Ale je podziwiałam i podziwiam nadal. One wcale nie są tak bezbronne, jak mi się kiedyś wydawało. Zaszczute, jednak znalazły w sobie siłę, żeby chronić swoje dzieci.

Tamtego dnia, po wycieczce do Warszawy, po dzieci pani Bożeny nikt pod szkołę nie przyjechał. Coś się stało, pomyślałam. Wydzwaniałam, ale odpowiadała mi cisza. Musiało się coś stać, bo to zupełnie nie było w stylu tej kobiety. Zaniepokoiłam się. Zapakowałam więc Karolinę i Dawida do swojego samochodu i zawiozłam ich do domu.

Pani Bożena otworzyła nam drzwi. Wyglądała, jakby się właśnie obudziła, zaspana, lekko nieprzytomna, z innej bajki. Pomyślałam, że może pije. Dyskretnie podeszłam, obwąchałam ją, ale nie, żadnego alkoholu, tylko chlor. Faktycznie, dom aż lśnił czystością, w podłodze odbijało się światło.

Pani Bożena wreszcie zaczęła przeproszać, że nie przyjechała po dzieci. Przytuliła je, wypowiadając słowa usprawiedliwienia. Dziwne to wszystko było.

– Gdzie tata? – pytały dzieciaki.

– A, on? Wyjechał. Za pracą.

– Dokąd?

– Do... Do Belgii. Okazja się trafiła. Wyjechał.

Czułam się nieswojo w tym wszystkim, pani Bożena, zawsze taka kwoka, tygryś, jeśli chodziło o jej potomstwo, teraz o nim zapomniała. A ojciec zapomniał się z nimi pożegnać. Byłam coraz bardziej pewna, że pani Bożena nie mówi całej prawdy.

Dopiero gdy poszłam do łazienki, zrozumiałam. To znaczy zaczęło mi się wydawać, że rozumiem. Łazienka nie była aż tak czysta jak kuchnia. To znaczy brudna nie była, ale nie lśniła. Tu też jednak pachniało chlorem.

Otworzyłam szafkę pod umywalką. Wśród płynów i szamponów stała miska z wilgotną szmatą w środku. To ta szmata wydawała tak silną woń Domestosu. Kolor miała czerwony. Bożena przed chwilą sprzątała, nie spała. Sprzątała, zamiast pojechać po dzieci. Sprzątała i nie odbierała telefonu.

Przy umywalce, w kubku, stała męska maszynka i pianka do golenia. A przecież Dawid się jeszcze nie zaczął golić. To musiały być przybory jego ojca.

– Mąż pani wyjechał? Ktoś mógłby się zdziwić, że nie zabrał ze sobą swoich rzeczy – zagadałam Bożenę na osobności, w kuchni.

Zaczęła coś mętnie tłumaczyć, ale przerwałam.

– Ja wszystko rozumiem. – Spojrzałam jej w oczy. – Ja tak. Ale niech pani zadziała w ten sposób, żeby nikt inny nie miał powodu się dziwić.

I zrobiła, bo nikt się więcej nie dziwił, nawet dzieci przestały.

Dawid zaraz potem strasznie się rozbrykał, ale nauczyciele wiele mu przebaczyli, bo umiał być dowcipny. Karolina za to zamknęła się w sobie. Ale powoli wszystko wracało do normy. Z czasem zaczęli się lepiej uczyć, lekcje mieli co dzień poodrabiane, choć przecież głównie siedzieli z matką w tym sklepie hydraulicznym, nie w domu. Pani Bożena też zaczęła wyżej głowę nosić. Może i nie byłam do końca pewna, co się stało z tym gwałtownikiem, ich ojcem, ale cokolwiek się stało – cała rodzina miała się teraz lepiej.

Od zawsze, odkąd tu tylko przyjechałam z Siedlec, wiedziałam, że sielskość wsi to wymysł mieszczuchów. A zwłaszcza sielskość

tej wsi. Bo Sobótki, zdaje się, przy swoich decyzjach wspierały się wielowiekową tradycją wioski.

I dobrze. Lubię wiejskie tradycje. Mają swój sens.

MARECZEK

Moje imię ma dzisiaj kolor brudnej czerwonej małpki, którą bawiła się moja mamusia, gdy była mała. Ja też polubiłem tę małpkę.

Tatус dziś wrzucił ją do pieca, bo przecież stać nas jeszcze na nowe zabawki dla dziecka i nie musimy wyciągać tych ohydztw ze skrzyni na strychu. Potem musieliśmy wietrzyć kuchnię, małpka może i była nieduża, ale paląc się, sporo zmieniała w powietrzu. I we mnie w środku.

Więc stoję pod płotem i wyobrażam sobie, co by było, gdyby tatус zamiast małpki wrzucił do pieca mnie. Ale robi mi się niemiło i strasznie, a kiedy jest tak zimno na dworze, lepiej nie płakać.

Lepiej też nic sobie nie wyobrażać. Można przecież stać pod płotem i spokojnie czekać, co się stanie. Tutaj mniej się dzieje niż w domu, i dobrze. Może nawet pójdę do mamusi do sklepu, tylko najpierw sprawdzę, czy nie ma kierownika, bo on mówi, że sklep to nie miejsce dla dzieci. Na razie stoję sobie tutaj, a wszystko jest przykryte na biało. Taka cisza śniegowa, taty też z domu już nie słyszeć. Może wreszcie zasnął.

Dobrze by było. Sen to mała śmierć, powiedziała kiedyś pani Stańska. Potem bałem się iść spać, ale po jakimś czasie spałem jeszcze chętniej. I niech tatус też śpi, jak najwięcej. Wtedy jest cicho. Nawet jego chrapanie jest cichsze niż krzyki.

Chrapanie to takie szaro-czarne, chropowate słowo. Może innym nie wydaje się ładne, ale ja je lubię.

ANIELA

Przyjechałyśmy z Sobótkami do restauracji na herbatę, no i zobaczyć, jak się czuje Danuśka, która właśnie zjechała ze szpitala, bo ma tu robotę. Z bocznej salki już całkiem zniknęły czerwone, zakurzone kotary. Flippery przykryto pokrowcami. W powietrzu czuć nowe.

– Na Wielkanoc wynajęli nas na wesele – oznajmia Danuśka, która wygląda tak, jakby ktoś z jej elfiej twarzy wymazał większość zmarszczek i zostawił tylko te przy oczach, od słońca. – Poza tym odchudzam menu. Obejrzałam kilka odcinków Kuchennych rewolucji i zredukuję listę potraw do tych najczęściej zamawianych. Koszty będą mniejsze. Potrawy świeższe. Życie prostsze. Jedną zamrażarkę będzie można wyłączyć, więc oszczędzę na prądzie. Dodam nowe dania z produktów sezonowych.

Mówi dużo, głośno i szybko, nie pamiętam jej takiej.

– Na wesele będziemy ubierać krzesła w białe pokrowce z kokardami – tłumaczy. – Nie były wcale drogie, uszyła mi je taka jedna z Garwolina. Jednak na co dzień ludzie wolą bardziej kolorowo. Nawet na stypę. Właściwie zwłaszcza na stypę. Ale ja to rozumiem.

– Byłaś dziś w szpitalu? – przerywa jej Agnieszka.

Danuśka sztywnieje.

– Nie wiem, w co ręce włożyć, tyle pracy, chyba Mariusz jeden dzień wytrzyma beze mnie? Bardziej się stęskni.

– W czym ci pomóc? – dopytuje Bożena.

– Powiecie mi, które ciasto najlepiej mi się udało? Nie wiem, którego najwięcej napiec na to wesele na Wielkanoc.

Zupełnie jakby wzięła coś, co dodaje energii, ale nie wywołuje skutków ubocznych poza słowotokiem.

– Kiedy go mają wypuścić? – męczy bułą Agnieszka.

– Daj jej spokój z tym mężem i szpitalem – zarządza moja mama. – Niech dziewczyna odżyje wreszcie. Niech korzysta. A zrobiłaś to czerwone i zielone ciasto?

– Tamte już znacie, tu są nowe. I co?

Próbujemy. Ciasta są jeszcze bardziej wyszukane niż na stypie mojego brata. Tarta z kremem cytrynowym i bezą na wierzchu. Śmietanowiec z warstwami w czterech kolorach. Czekoladowy kruchy spód, masa z sera z białą czekoladą, pestki granatu na wierzchu. No, no, granat w Świątkowicach? Przyszło nowe.

– Rozszalałaś się, dziewczyno.

– Wszystkie pyszne. Wszystkie pyszne.

Danuśka rozkwita. Promienieje. Biegnie do drzwi powitać nowych gości. Jeden elemencik w jej życiu mniej, a ile zmian. Elemencik? Element, potężny, łysawy, głośny. Bez pana Mariusza wszystko idzie sprawniej, milej. Kolejny stuk drzwi, Danuśka znowu biegnie witać klienta. W progu stoi matka Marcuszka Bożka. Zgarbiona jak zawsze, ale ze spojrzenia jakaś dziwnie wojownicza.

– Ja do pani sąsiadki. – Patrzy na moją mamę. – Taką mam małą sprawę.

I podchodzi do stołu, i nachyla się nad moją mamę, a ta się odsuwa trochę od stołu, nie tak jednak daleko, by miały do mnie nie dotrzeć fragmenty ich rozmowy.

– Tak jakoś wyszło... – mówi Agata Bożek. – Tak sobie powiedziałam, że piętnaście złotych dziennie chcę dla Marcuszka, a wtedy pani Andżelika od razu mówi, że dobrze. Od razu się zgodziła.

A co, jeszcze jej mało? Zaciskam dłonie w pięści.

Wtedy tamta mnie zaskakuje.

– Pięć złotych za dzień pani da, żeby mojemu mężowi twarz zamknąć, wystarczy. Ja kiedyś... Ja tego pani nigdy nie zapomnę.

Mama ma piękną, spokojną twarz, kiwa głową, mówi, że oczywiście, że dobry pomysł. Agata Bożek też jakby się mniej garbi, jakby głowę wyżej trzyma. Ułożyły kawałek świata po swojemu.

A potem pani Bożkowa nachyla się dla odmiany nad cicią Danuśką i jej coś szepcze na ucho. Ta prowadzi ją do bocznej sali, tej, w której stoją przykryte flippery. Kobiety znikają nam z oczu. Ale nie na długo, bo w chwilę potem pani Agata przemyka w kierunku wyjścia, a Danuśka opiera się ciężko o ścianę, blada

jakaś. Mama zaraz do niej kuśtyka. Za nią ja.

– Coś się stało? – pytamy.

– Pytała, skąd wziąć salmonellę. Zapytałam, dlaczego miałabym wiedzieć. Że nie mam z tym nic wspólnego. Że z moim mężem to tragiczny przypadek. A ona na to: „Ja też będę tak mówić, przysięgam! Nie wydam pani!”. Odmawiam, a ta zła, bo nic jej nie powiedziałam, rozumiecie?! I taka zła poszła, bo nic jej nie poradziłam.

– Nie ma łatwo kobieta. Mogła jej ciocia powiedzieć – strzelam odruchowo.

– Co ty sobie w ogóle myślisz, dziewczyno?! Zwariowałaś?! – krzyczy Danuśka. – Czy wy wszystkie zwariowałyście?! Nie zrobiłam tego! Mariusz sam sobie zrobił, bo mówił, że ja źle gotuję, i w domu, i w knajpie. Wolał jadać po knajpach przy stacjach benzynowych albo nie wiadomo gdzie. Chociaż mu odradzałam. Chociaż mówiłam, żeby wracał do domu albo posiedział ze mną w Magnolii.

Sobótki popatrują w naszą stronę, już się podnoszą, już spieszą mediować. Trochę mi głupio. Mama patrzy na mnie karcąco. Danuśka wyrzeka:

– Nieraz myślałam, żeby mu coś podrzucić, w sensie do jedzenia. Nieraz. Żeby wreszcie w domu posiedział, ze mną. Ale to przecież tylko takie głupie myśli. Nigdy bym tego nie zrobiła! – I po chwili refleksji dodaje: – Naprawdę całe Świątkowice myślą, że otrułam Mariusza? To jest kara, to jest kara za tamte myśli.

Danuśka opiera czoło na łokciach i w tej niewygodnej do kręcenia głową pozycji jednak nią kręci.

– Ale przecież zawsze się godziliśmy. W dzień go nienawidzę, często nawet, ale w nocy mi zawsze przechodzi. On w łóżku umie, naprawdę...

Na szczęście zanim się dowiemy, co umie pan Mariusz w łóżku, znowu wchodzą goście. Tym razem to kelnerka jest przy nich pierwsza.

– Danuśka, nieważne, co ludzie gadają – mówi Bożena. – Ważne, co naprawdę zrobiłaś. Ważne, co on sobie przemyśli w tym szpitalu. Czego uda ci się dokonać tutaj. Nie przejmuj się głupim

gadaniem biednej Bożkowej.

– I co, że niby mojego pierwszego męża też zabiłam? – nakręca się Danka. – Że tak chodzę po świecie i truję facetów? Tak mówią? Tak mówią w tych debilnych Świątkowicach? Mam dosyć tej wiochy, rozumiecie? Dostyć tej pracy, w której walczę nie tylko z materia, ale i z moim starym. Przede wszystkim z nim, niech go szlag. I znowu to powiedziałam, przepraszam, wcale tak nie myślę. Mam dość tych prymitywów, którzy by tylko chcieli piwo w cenie sklepowego, żeby móc tu godzinami siedzieć i patrzeć kelnerce na cycki.

– Masz klientów, więc nie gadaj. I Świątkowice to również my. Więc nie gadaj. I daj nam herbaty. Bierz się w garść, kobieto. Bierz się w garść. Zawsze gadali i będą gadać. A ty rób swoje.

Danka prostuje się na krześle. Wiedzie wzrokiem po Sobótkach, po czym wstaje i rusza do restauracyjnej kuchni.

ANIELA

Sobota, więc Dawid zamyka w miarę wcześniej. Już czekam na niego przed sklepem. Jeśli jest zaskoczony, nie daje mi tego poznać. Wnoszę czteropak piwa do sklepu, w lekki odorek smarów i żelaza, dużo jednak lżejszy niż w czasach, gdy zasiadał tu jego ojciec.

– Mam nadzieję, że się nigdzie nie spieszysz.

– Zaraz do niego zadzwonię.

I coś szepcze z Mateuszem przez telefon z zaplecza.

Nie czuję się dobrze ze śledztwem, które prowadzę, bo to śledztwo, właśnie to sobie uświadomiłam. Andżelika ze Świątkowic prowadzi śledztwo, brzmi to jak tytuł idiotycznej komedii. Wiem jednak, że będę czuła się jeszcze gorzej, jeśli tego śledztwa nie poprowadzę. Mam dość aluzji, półsłówek, prowokacji, a zwłaszcza przemilczeń, chciałabym prawdy, takiej kawa na ławę, wtedy na pewno poczułabym się lepiej.

– Powiedzieć ci coś? Wiesz, dlaczego wtedy odeszłam z domu? – pytam Dawida. – Wtedy, dziesięć lat temu?

– Przecież wiem.

Jestem w szoku.

– A niby skąd?

– Od razu wiedziałem. Już wtedy. Zbił cię o raz za dużo. Twój ojciec. Pomyślałem wówczas, że akurat ty nie dasz sobie tego więcej robić. Zawsze cię za to podziwiałem. Odeszłaś. Zaczęłaś coś nowego. Nie oglądając się na to wszystko.

Dawid pokazuje „to wszystko” skąpane w zimnej poświacie latarni za oknem.

Jak bardzo nic nie rozumie.

Bił? O nie, nasz tatuś nas nie bił. Nie ściągał pasa, nie walił po tyłkach. Nie on. On się tylko denerwował. Czy się napił, czy nie, ale jeśli się napił, to bardziej. Krzyczał wtedy i pokazywał nam, gdzie nasze miejsce. Naprawdę pokazywał, bo nas tam prowadził. Zaciskał mi palce na ramieniu i prowadził do kuchni, że nie ugotowane. Albo na podwórko i kazał zamiatać. No cóż, byłam leniwa, wiem, zawsze wolałam czytać, niż zamiatać to głupie podwórko, które i tak zaraz potem robiło się brudne, czy gotować przez dwie godziny zupę, drugie i kompot, a cały ten obiad znikał potem w pięć minut przy stole. Natomiast Sebastian nienawidził rąbać drewna, choć tatuś zawsze uważał, że powinien, bo to męska sprawa. Więc nam się należało, żeby nas czasem pogonić do pracy. Ale potem, kiedyś, zobaczyłam, jak ojciec łapie za ramię mamusię i prowadzi ją do ich pokoju, znaczy do ich sypialni, siłą zmusza, żeby tam poszła, a potem zamyka za nimi drzwi. Jej się nie należało, na pewno nie.

– Wszyst-ko-jest-wpo-rząd-ku – powtarzam pod nosem, żeby przestać myśleć o tamtym. – Wszyst-ko-jest-wpo-rząd-ku. Moja głowa jest czystą tabliczką.

– Czy ty się właśnie modlisz? – pyta Dawid.

– Coś w rodzaju.

– Właśnie wtedy, kiedy cię pochwaliłem?

– Wpo-rząd-ku – mantruję, ale nie znika mi sprzed oczu obraz ojca z czerwoną twarzą, z prędkimi rękami. W niezapiętej piżamie. – Pamiętasz tamten ranek, kiedy mnie spotkałeś pod pocztą?

– Dzień twojego wyjazdu? Pewnie, że pamiętam.

Przeżykam ślinę. Kurde, to naprawdę nie jest łatwe.

– Nie powiedziałaś ci tego wtedy. Ale wyjechałam, bo właśnie tamtej nocy władował mi się do łóżka.

– Kto?

– Mój ojciec.

Dawid jest wstrząśnięty.

– Co?!

Takiego wrzasku nie powstydziliby się sam Piotrek Bożek.

– Obudziłam się, jak mi wsadził rękę między nogi.

Aż się wzdragam. Bo znowu to czuję. Nikt mi tam nigdy przedtem ręki nie wsadzał, więc to było strasznie dziwne. Tato, to ja, mówię. To ja, nie mamusia. Cicho, mówi tatuś i śmierdzi wódką. Cicho, kobieto. Natrętna ręka próbuje się dostać pod spodnie od pizamy. Zamieram, zaciskam uda. Po chwili odpycham tatusia. Ale on mnie łapie za ramię, ścisza jak zawsze, gdy wiedział lepiej, co powinnam zrobić. Ale zaraz puszcza, pewnie tylko na chwilę, czasu wystarcza mi jednak, by sturlać się z łóżka na podłogę. Łąduję miękko na dywaniku. Tatuś mówi, że bądź grzeczna, szuka mnie tymi prędkimi dłońmi, ale jestem niegrzeczna, uciekam z pokoju.

A potem pilnuję drzwi łazienki. Trzymam klamkę, muszę trzymać, bo drzwi otwierają się na zewnątrz. Ręce boją, ale boję się puścić. Siadam pod drzwiami i podpieram klamkę głową. Trzęsę się i chce mi się rzygać. Palce bieleją na klamce. Trzymam. Zimno w tyłek. Zimno w palce. We wszystko zimno.

Z zewnątrz dobiega grzmiący odgłos. Miarowy. Boję się, ale po chwili już wiem: słyszę chrapanie. To jego chrapanie, dobry znak. Nawet jeśli dobiega z mojego pokoju. Skoro tak, to mogę się na chwilę oddalić od drzwi i ściągnąć ręczniki z wieszaka. Owijam się w nie, pod tyłek podkładam dywanik łazienkowy i czuwam, czuwam pod drzwiami, z głową podtrzymującą klamkę, żeby tylko nie zdołał otworzyć. Myśli gonią z miejsca „To niemożliwe, to się nie stało” do miejsca „Jak on mógł mi to zrobić”; z miejsca „Tatuś wypił i mu się pomyliło” do miejsca „Wcale mu się nie pomyliło, przecież mówił do mnie «bądź grzeczna», w życiu by

tak do mamusi nie powiedział”.

W końcu jednak chyba usypiam, oparta o drzwi, bo budzi mnie ich drżenie. Ktoś puka. Rzucam się, podtrzymuję klamkę, nie wpuszczę!

– Andżelika? Co się dzieje? Otworzysz?

Mamusia. Zaczynam płakać, podnoszę się na klęczki, potem wstaję, ale z trudem, bo nogi zdrętwiały. Za oknem łazienki zaczyna robić się szaro, niedługo świt. Otwieram. Mamusia jest zaspana, poziewuje, ale zaraz przestaje, gdy widzi moje łzy. Przytula mnie. Jej włosy pachną Okrzejką. Wczoraj, jak co tydzień, miała nad rzeką zbiórkę Klubu Sobotniego.

– Co się stało? – denerwuje się.

Wciążam ją do łazienki, zamykam drzwi, coś opowiadam, choć nie umiem dobrać słów. Mamusia kręci głową.

– Niemożliwe. Co ty, dziecko, opowiadasz? Nie chcę tego nawet słuchać.

Mówię, że tatuś leży ciągle u mnie w łóżku, niech sama sprawdzi. Wychodzi. Nie ma jej dłuższą chwilę. Wraca. Każe mi iść do kuchni.

Wchodzę do kuchni i zaraz się cofam.

Za stołem siedzi tatuś wpatrzony w blat. Przed nim szklanka wody.

– Widzisz? – szepcze do mnie mamusia. – Bzdury opowiadasz. Cały czas siedział tutaj.

Ona też nie patrzy mi w oczy.

– Siadaj, zjesz śniadanie – wydaje polecenie i zaczyna się krzątać. I dodaje szeptem: – Nie opowiadaj mi już nigdy takich głupot. On nie jest taki.

Stoję i patrzę na nich. Tatuś gapi się w swoje dłonie, ciężko oparty o blat. Mamusia krząta się przy kuchni, robi więcej hałasu, niż potrzeba.

Nie, nie usiądę. Nie zjem. Odwracam się, idę do swojego pokoju. Biorę z góry szafy plecak, z którym jeździłam na szkolne wycieczki, zaczynam wrzucać co popadnie, trudno się skupić, tak bardzo śmierdzi tu tatusiem. Otwieram okno na oścież, wstrzymując oddech, ścielę swoje łóżko na gładko. Na wierzchu

kładę pluszaka, niech pilnuje. Wyjmuję z komódki szufladę, pod dnem mam przyklejone scotchem pieniądze, wszystkie banknoty, które udało mi się na różne sposoby zebrać, zaoszczędzić.

Plecak tak pękaty, że aż buja się na plecach. Przemykam do drzwi wejściowych, nie zachodząc do kuchni, nie wypowiadając ani słowa. Nie chcę go widzieć. Jej też nie. Wzruwam buty i zbiegam po schodkach. Zdradzili mnie oboje, nie wiem, które bardziej. Zaglądam jeszcze do Sebastiana, ciągle śpi, niedziela w końcu, całuję go w policzek, pachnie snem i coś mruczy.

Wtedy widzę mojego brata po raz ostatni.

Otacza mnie ciepłe ramię. To Dawid mnie przytula, mocno. Wtulam się w jego sweter, w jego zapachy, tu jest ciepło i bezpiecznie.

– Że też ja tego nie zauważyłem. Nie zrozumiałem – wyrzuca sobie. I krzyczy: – Co za chuj!

Drzę. Dawid jest trzecią osobą, której o tym mówię. Pierwszą była moja matka, drugą – jego matka. Lata temu.

– Nie mów nikomu – proszę.

– Ale przecież wiesz, że nie ciebie to plami. Tylko jego.

– Nie mów nikomu. Nawet Mateuszowi.

Całuje mnie w policzek. Odsuwam się trochę, patrzę na niego poważnie. Po coś to wszystko mu opowiedziałam. Po coś to wszystko jeszcze raz przesłałam.

– Kilka dni potem moja mama wyrzuciła go z domu. Tak teraz mówi. Że go wyrzuciła, żebym mogła wrócić. Ale mnie się wydaje... Nie, nie wydaje mi się. Ja jestem prawie pewna, że wcale go nie wyrzuciła.

To wszystko wypowiedziałam na jednym wydechu, więc trochę mi się w głowie kręci.

– Jak to?!

– Wydaje mi się, że zrobiła z nim to, co twoja mama z twoim ojcem. Mój ojciec nie żyje, prawda?

Powiedziałam to wreszcie.

Tak, ten wyraz skamieniałej twarzy widzę nie pierwszy raz. Najpierw Karolina, później moja mama i pani Stańska. Teraz Dawid. On też wie o moim ojcu.

– Porozmawiaj o tym ze swoją mamą, okej? – broni się Dawid.
– Powiedz mi tylko, gdzie on leży. Chciałabym wreszcie przestać widzieć go na każdym rogu. Dawid, proszę cię. Gdzie leży mój ojciec?

Dawid waha się jeszcze przez chwilę, ale nabiera powietrza i skacze na głęboką wodę:

– A tak jakoś niedaleko mojego.

Po chwili z Dawidem i Niuską jedziemy na nasz wspólny rodzinny cmentarz w środku lasu.

Okop nadal ziele pustką, ale zdaniem Dawida jeszcze nie nadeszło apogeum wiosennych porządków. Wtedy kości naszych ojców zakopane w płytkich grobach znowu zostaną przykryte śmieciami. Całe to bogactwo zostanie dla kolejnych pokoleń archeologów, tak, bo podobno dla nich najciekawsze są śmietniki, toalety i cmentarze właśnie, tak mówiła pani Stańska. Któryś więc wykopie szkielety naszych ojców i będzie się zastanawiał, dlaczego spoczywają pod dętkami, dziurawymi garnkami i przerdzewiałą na wylot wanną. Może na tej podstawie zrekonstruuje nawet jakieś miejscowe rytuały pogrzebowe i napisze na ten temat mądrą pracę naukową. Już mi go szkoda.

Dawid podaje mi zapalki i znicz. Sam wyciąga drugi. Stawiamy je obok siebie, światełka migoczą, a my z Dawidem stoimy wtuleni w siebie, ciepło od niego aż promienieje. Myślę o moim ojcu. Wreszcie mogę o nim myśleć. Czuję nawet odrobinę współczucia dla niego, co zauważam ze zdumieniem. Współczucie? Ależ tak. Żył tak chujowo, że wszyscy mieliśmy go dość, spójrzmy prawdzie w oczy. I śmierć miał pewnie równie chujową. I najchujowszy na świecie pogrzeb. Nikt też pewnie się nie zmartwił, że już nie żyje, przeciwnie. Wszyscy odczuli ulgę. Cała rodzina Julków, oznaczona błękitnymi siniakami na ramionach.

Dzięki mojej mamie nie muszę już się go obawiać.

– Mam nadzieję, że wreszcie zrozumiałeś, że zrobiłeś mi straszną krzywdę – mamrocze, tak jak jeszcze niedawno mamrotałam, że „moja głowa jest czystą tabliczką”.

Moja głowa nie jest, kurwa, żadną czystą tabliczką. Ale jakoś

dają sobie z tym radę.

Spojrzałam w oczy mojemu potworowi i zmusiłam, by się wycofał do okopu. Już się nie boję.

– Wygrałam – mamrocze nad tym zniczem. – Wygrałam.

– Co mówisz? – dziwi się Dawid.

– Że Karolina wie. O waszym ojcu.

– Wie?

– Tak, możecie przestać się wreszcie bawić w ciuciubabkę.

– Sebastian też wiedział.

– Sebastian? O waszym ojcu?

– Nie o naszym. O waszym. Pytałaś, dlaczego twój brat się dziwnie zachowywał. Dlaczego nie chciał z tobą gadać. Dlaczego się do ciebie nie odzywał. No więc dlatego właśnie.

– Ale...

– Wiedział, że matka chciała cię pomścić. I że cię pomściła. Zobaczył ją w stodole, twoją matkę. Z siekierą. Powiedział mi o tym. Na swoim weselu. Spił się w trupa i powiedział mi. Że twoja matka to morderczyni. I że to wszystko przez ciebie.

Z siekierą. Moja mama, która nigdy nie zabiła nawet kury.

Przeze mnie, myślę. Przeze mnie.

– Przeze mnie?! – krzyczę. – Jakie przeze mnie! Mój brat naprawdę myślał, że to ja zawiniłam? Może zbyt wyzywająco spałam? Za odważne dzinsy nosiłam? Za duże piersi mi urosły? Naprawdę przez tyle lat myślał, że to moja wina, że pijany ojciec wturlał mi się do łóżka i chciał mnie zgwałcić? – Sama też jeszcze niedawno tak czułam, ale dopiero w ustach Dawida słyszę, jak to absurdalnie brzmi. – Ty też tak myślisz?!

Kopię z całej siły te cholerne znicze. Przewracają się i gasną. Dobrze im tak.

– Nie. Nigdy tak nie myślałem.

To dobrze, bo ja zawsze tak myślałam.

– To nie była nasza wina, że nam robili krzywdę – oznajmia Dawid.

Moja wina, moja wina, moja wina. Ojciec stracił życie przeze mnie. Przez to, co stało się tamtej nocy. Przez to, co powiedziałam potem mamie. Gdybym nic nie mówiła, mama nie

musiałyby tego robić.

– I nie była to wina naszych matek. To była wyłącznie ich wina. Dlatego są tu pochowani. Dlatego nikt inny poza nami nie przyjdzie na ich groby.

Mój przyjaciel znowu zapala zapałkę, by podpalić znicze. Potem staje obok, pochyla głowę, żegna się znakiem krzyża i coś mamrocze. Pewnie „Wieczne odpoczywanie”.

Tak, nie myliłam się.

– A światłość wiekuista niechaj im świeci...

– Wieczne odpoczywanie... – zaczyna znowu. Zapomniałam, że należy to odmówić trzy razy. Wtedy ma większą moc. Albo coś.

Staję obok niego, też pochylam głowę. Nie, żadne „Wieczne odpoczywanie”. Ale też żadne „Zgnij w piekle” ani „Moja głowa jest czystą tabliczką”. Po prostu:

– Idź sobie ode mnie i daj mi żyć. Zostań tutaj. Nie łaż za mną – modlę się do mojego nieżyjącego ojca.

Oboje wreszcie kończymy mamrotać nasze zaklęcia. Dawid mnie przytula, przygarnia ramieniem do siebie. I tak się kiwamy w tym okopie.

– Odwróć się, dobrze? – proszę Dawida.

Po czym zdejmuję majtki, kucam i siusiam do okopu.

– Naprawdę to zrobiłaś? – Dawid patrzy na żółty dołek w śniegu.

Po czym odwraca się do mnie tyłem i robi to samo, celując w sam środek kamiennego kręgu.

kiedyś

Miałam pewnie z dziewięć lat, gdy pojechałam na grzybobranie z Sobótkami, ich mężami i ich dziećmi, tylko moi mamusia i tatuś zostali w domu, bo Sebastian dostał sraczki.

– Tylko nie mów „sraczka” przy ciciach, mówi się „biegunka” – ostrzega mamusia, więc na wszelki wypadek mówię po prostu, że mój braciszek jest chory.

Wtedy jeszcze były te piękne czasy, gdy można było zbierać grzyby dla siebie, a nie czyścić las z najmniejszych prawdziwków, by handlować nimi przy szosie czy wozić do punktu skupu, bo niektórzy sobie za te grzyby dach wymienili albo ganek dobudowali. Wtedy jednak grzybowe miejsca jeszcze nie stanowiły tak pilnie strzeżonej tajemnicy rodzinnej. Wysypujemy się więc z samochodów w lesie, który zarekomendowała ciocia Agnieszka, że tam to już na pewno i całymi stadami, nie tylko kurki, ale i prawdziwki, podgrzybki, czego tylko chcieć. Każdy bierze swój koszyczek i idziemy w teren. Mieliśmy się rozdzielić, ale za mną uparcie kroczy jedna z bliźniaczek cioci Agnieszki, ta z pieprzykiem pod okiem i wicherkiem nad czołem, czyli Moniczka, nie Weroniczka.

– Odbiłaś mi chłopaka – mówi nagle.

– Chłopaka?

– Odbiłaś mi Dawida.

Dawid, śniady Dawid z grzywą loków, które pod koniec lata spadają mu na oczy, według bliźniaczek wygląda prawie jak piosenkarz z jakiegoś boys bandu, nawet pokazywały mi plakaty z „Bravo”. My z Dawidem zamiast „Bravo” oglądamy wieczorami album pod tytułem Ewolucja, który jego siostra dostała na komunię, nie wiadomo od kogo, a ciocia Bożena odłożyła na strych, że niby jeszcze jesteśmy na to za mali.

Tym przyjemniej siedzieć na strychu co wieczór, czasem też

bierzemy ze sobą małego Sebastiana, z którym bardzo śmiesznie się ogląda ten album, bo boi się szkieletów, więc na widok takiego obrazka zasłania oczy i piszczy z przestachu. Czasem specjalnie otwieram książkę w tych miejscach i czekam na jego spojrzenie. Sebastian wtedy krzyczy i ucieka, mówi, że nie będzie się do mnie więcej odzywał, że jestem podła, podła. A ja go gonię i przytulam. Nikt inny nie ma prawa go straszyć, tylko ja. Bliźniaczki w tym samym czasie przechadzają się po drodze, żeby najgłośniej chichotać pod bramą Dawida, ale on nigdy nie wychodzi do nich, bo woli siedzieć na strychu ze mną i książką.

– Odbiłaś mi chłopaka – powtarza Moniczka.

Siedzimy na pniu powalonej sosny, szorstka kora wrzyna się w dłonie oparte obok pośladków. Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć na takie dorosłe zarzuty, wypowiadam więc uroczyste „tak”. Potem wstaję i prawie od razu znajduję pierwszego prawdziwka. Mam grzyba i chłopaka, wreszcie czuję się wspaniale.

Moniczka zostawia mnie zaraz, pochłonięta szukaniem, chce pewnie być taka dobra jak ja. A ja spaceruję sobie po lesie, ciemnym i suchym, pachnie żywicą. Myślę o tym, jak wczoraj nad Okrzejką Moniczka i Weroniczka pyszniły się swoimi kostiumami kąpielowymi, miały takie staniczki i majteczki z falbanką, niebieskie z różowym, piękne, a ja w samych majtkach, i to jeszcze mamusia kazała mi je zmieniać po każdej kąpeli, żebym się nie przeziębiła. Wybrałam najładniejsze, od biedy mogły uchodzić za plażowe, i już ich nie zmieniałam, a na górę próbowałam sobie zmajstrować przepaskę z apaszki, ale ciągle mi się zsuwała, bo na czym niby się miała trzymać. Zamiast więc kąpać się z nimi, siedziałam w zaroślach, przesypywałam stopą piach z muszelkami i obserwowałam robaki, takie obrzydliwe, że aż ładne, ślizgające się po brązowej wodzie. Muchy łążyły mi po nagranych plecach, chciałam nauczyć się poruszać jednym mięśniem, żeby umieć je spędzać jak koń, ale ciągle nie wychodziło. Co chwila kładłam się w wodzie, bo na mokrej skórze muchy nie siadały, i słuchałam z daleka, jak Dawid ochlapuje bliźniaczki w tych ich pięknych kostiumach

kąpielowych, a one piszczą.

Wczoraj więc nad rzeką wygrywała Monika, dzisiaj w lesie wygrywam ja. Szkoda, że po pierwszym, niespodziewanym grzybie nie umiem już nic znaleźć. Nawet Dawida, który pewnie układa właśnie czaszki z szyszek, takie duże, żeby było je widać z kosmosu. Albo leży na mchu i zre jagody, kto go tam wie. Łażę i łożę, co chwila macham przed sobą długim kijem, ma przerywać pajęczyny, zanim w nie wejdę, inaczej lepią się do twarzy, jakby ktoś posmarował je miodem. Myślę sobie o różnych rzeczach, a w mojej łubiance smutno kołacze się jeden borowik. Postanawiam więc wrócić do miejsca, gdzie go znalazłam, przecież grzyby rosną całymi rodzinami. Pamiętam, że obok leżał ten zwalony pień sosny, na którym siedziałyśmy z Moniczką, i szybko ten pień znajduję, ale grzybów obok wcale nie ma. Więc znajduję inny pień, z tym samym skutkiem. Zwalonych pni leży całkiem sporo, więc po chwili nie jestem już pewna, na którym gadałyśmy, ale obok żadnego z nich nie rośnie nawet marna kurka. Potem ciocia Agnieszka woła, że czas wracać do domu. Ma rację, w tym lesie w ogóle nie ma grzybów. Docieram do samochodów jako ostatnia i już z daleka widzę, że wszyscy mają pełne kosze. Nawet Dawid. Nie mam pojęcia, jakim cudem.

A oni zaczynają się ze mnie śmiać, Dawid też, i pytają, co ja właściwie w tym lesie robiłam. Potem wsiadamy do samochodu, a ja przez całą drogę usiłuję przekonać Moniczkę, żeby pożyczyła mi parę grzybów, co jej za różnica, i tak ma pełno. Za oknami migają sosny i piachy, a ja namawiam ją cichutko. Moniczka jednak zupełnie nie rozumie, o co mi chodzi.

– Ale po co ci? Nie chcę. Mamusia się ucieszyła, że tyle nazbierałam – odpowiada na cały głos, jakby nie zauważyła, że ja mówię szeptem. Nie, ona naprawdę nie daje się lubić.

Wreszcie ciocia Agnieszka wysadza mnie przed domem. Wlokę się, ciągnąc za sobą pustą łubiankę. W kieszeni kołacze się scyzoryk, który pożyczył mi tatuś do czyszczenia grzybów z ziemi. Wcale się nie przydał. Wrzucam go do łubianki, do towarzystwa grzybowi, i zaczynam płakać.

– No i jak tam grzybobranie? – pyta tatuś i zaczyna się

niepokoić. – Co się stało?!

Wyciągam przed siebie tragicznym ruchem łąbiankę z samotnym grzybem i czekam, aż i on się zacznie śmiać. Patrzy na mnie dłuższą chwilę, ale nawet się nie uśmiecha. W końcu bierze do ręki scyzoryk, bierze grzyb, przekrawa go na pół. Pokazuje mi.

– Prawdziwek, zdrowy. Tak trudno teraz znaleźć zdrowego grzyba, lato jest bardzo suche.

Już nie czuję się taką straszną frajerką.

I wchodzimy razem do domu.

teraz

Stoję tak, gapię się na te dołki wytopione w ziemi przez znicze i przez nasz mocz. Głupio mi trochę. Mogłam już ojcu odpuścić.

Nie, nie mogłam. Przecież pamiętam wszystko.

Mogłam, bo było złe, ale i dobrego trochę pamiętam.

– Niespodzianka – mówi Mateusz, którego motocykl zahamował właśnie przy polanie z okopami, prawie wpadając w poślizg na zamarzniętej kałuży. – Niespodzianka!

Gada dużo i szybko, że zaraz, że jedziemy, że zasłużyliśmy na kąpiel. Nie mam pojęcia, czy wie, o co chodzi, w każdym razie stara się rozładować napięcie.

Dawid prowadzi mnie do samochodu, wsiadamy, włącza ogrzewanie na maksa, co nie zmienia faktu, że się trzęsę. Zabawa z chłopcami w lodowatej wodzie to ostatnie, na co miałabym teraz ochotę. Ręce mi latają, zęby też.

– Nie zastanawiaj się, wchodzi! – krzyczą chłopcy.

Zastanawianie się wysie zaraz ze mnie ostatnie siły. Więc rzucam szatki, staję na butach i patrzę dookoła. Śnieg. Lód.

Wydawałoby się, że za drugim razem powinno być dużo łatwiej niż za pierwszym. Ale nie, tak samo zimno. Daję wbrew sobie krok do przodu, wsuwam się do wody, zanurzam aż do pasa. Potworność, mróz. I żeby mieć to już za sobą, zanurzam się po szyję. Wynurzam się od razu, wybiegam na brzeg i jest mi ciepło. W całym ciele buzują strumyczki ciepła, energii, jak bąbelki w mocno nasączonej dwutlenkiem węgla wodzie mineralnej. Niebo nagle zaczyna mi się wydawać bardzo niebieskie, śnieg bardzo biały, mróz całkiem ciepły, ojciec bardzo, bardzo daleki, i czasem zły, a czasem dobry, taki pomieszany. A chłopcy, moi chłopcy, moi prawie bracia, bardzo kochani.

Dawid podaje mi ręcznik, odwracają się, żebym zsunęła mokry kostium. Krew we mnie buzuje z nową energią. Już się nie trzęsę.

Podchodzę do Dawida i całuję go w policzek. A potem Mateusza,

dla symetrii.

Przytulają mnie obaj.

MARECZEK

Ano widzę, jak do domu zjeżdża dziwna Aniela sąsiadka i tych dwóch panów, jeden nauczyciel ze szkoły, przed którym mam ochotę się schować, a drugi pan Dawid z hydraulicznego. Pan Dawid się często śmieje i nigdy nie krzyczy, co jest miłe. Wiem jednak, że nie wolno mi go lubić, bo i on sobie pójdzie. Aniela podchodzi do mnie i pyta, czy napiłbym się czegoś ciepłego, bo właśnie miała robić herbatę. To co, przecież jej nie odmówię, żeby jej się przykro nie zrobiło. Panowie odjeżdżają, a my z Anielą wchodzimy do jej domu. Pachnie smażonym, pani Sylwia sąsiadka stoi przy talerzu ze stosem kotletów, w ręku ma łopatkę, będzie przewracać kolejne.

– Schab znalazłam w zamrażarce i postanowiłam posmażyć na zapas dla ciebie do Warszawy – tłumaczy i patrzy na córkę tak jakoś, jakby sprawdzała, co ona na to. Dziwne, prawda? A Aniela podchodzi do swojej mamy, wyjmuje jej z ręki łopatkę do przewracania i przytula ją mocno, mocno, aż i mnie robi się przyjemnie.

Tak sobie stoją, przytulone, aż wreszcie muszę krzyknąć.

Krzyczę, że kotlet się pali.

Krzyczą, że patelnię z gazu i że dobrze, że powiedziałem.

Smażone pachnie zupełnie inaczej niż u nas w domu. Lepiej jakoś czy co?

SYLWIA

Andżelika już wie. Zrozumiałam to od razu, gdy tylko weszła i na mnie spojrzała. Od razu się domyśliłam, że Dawid wszystko wypaplał, nie było mądrze mu cokolwiek zdradzać. Ale nieoczekiwanie czuję ulgę, że nie muszę już przed nią kłamać.

A ona zrobi z tą wiedzą, co chce, liczę się z tym.

Możliwe, że będzie jak z Sebastianem. Bo on chyba wtedy coś zauważył, choć nie mam pojęcia, jakim cudem. Ale zaraz potem zaczął się inaczej zachowywać. Zupełnie inaczej. Dziwnie. Kiedy powiedziałam mu, że ojciec wyjechał, kiwnął tylko głową i więcej o nim nie wspomniał. Na początku myślałam, że mu ulżyło. Ojciec przecież nieraz szydził z niego, dokuczał. Tak strasznie, że młody aż wykrzywił usta w podkówkę, ale nie płakał, wiedział, że wtedy byłoby jeszcze gorzej. To Andżelika się stawiała, buntowała w środku, widziałam po jej minie, nawet jeśli milczała. Sebastian nie, jemu zależało, żeby ojciec go docenił. Tyle że on nigdy tego nie zrobił.

Więc gdy jego ojciec zniknął, wcale nie wyglądało, jakby mój syn poczuł ulgę, raczej zamknął się w sobie. Tak jakby mnie unikał. Nie rozmawiał. Nie buntował się, co prawda, jak inne rozrabiaki w jego wieku, nie pyskował. Był grzeczny, układny i odległy. Nie miałam odwagi spytać, o co chodzi. A sam nie mówił.

– Nie masz kontaktu z Andżeliką? – zagadałam czasem.

– Nie.

I tyle. Przestał cokolwiek mówić niepytany, a pytany też obywatł się minimalną liczbą słów.

To od Bożeny się dowiedziałam, że moja córka miewa się dobrze i że na razie nie chce mieć z nami do czynienia. Łapałam się tego „na razie” jak koła ratunkowego. Mówiłam o tym Sebastianowi. Że ona na pewno wróci. Że Bożena ją skłoni, żeby odezwała się do mnie. Że zdradzi nam w końcu jej adres.

Syn wysłuchiwał tych moich nadziei, ale nie odpowiadał, tylko szedł do siebie. Bożena dalej milczała w sprawie, a Sebastian przy pierwszej możliwej okazji się wyprowadził. Mimo to starałam się dalej. Zapraszałam ich z Marleną na obiady, odwiedzałam, ale nie czułam, żebym była tam mile widziana. Wypchnął mnie ze swojego życia, Andżelikę też. Tylko ojca tam miał, w głowie, w sercu. W rękach, jeśli prawdą jest, że on też robił siniaki swojej żonie. Moja wina. Gdybym pozbyła się męża wcześniej, wtedy może udałoby mi się uratować dzieci przed tym

wszystkim. Dlaczego czekałam do momentu, kiedy tyle złego już się wydarzyło? Jak o tym myślę, od razu chcę biec do rzeki i zanurzać się w lodowatej wodzie.

Z Sebastianem nigdy nie rozmawiałam o całej tej historii. Może powinnam z Andżeliką. Ona jest inna, nie boi się niczego. Prawdy też nie.

Ale jak o tym opowiadać, kiedy nawet wspominać się tego nie chce? To są okropne obrazy, od razu czuję się słaba, bo taka strasznie winna. Winna i zła.

To było dzień czy dwa po ucieczce Andżeliki z domu. Nie umiałam się pozbierać, Sebastian ciągle pytał, czy się do nas wreszcie odezwała, mąż nie pytał wcale, chodził jakiś nabuzowany, zły, ale o córce nie mówił, więc nie potrafiłam odgonić myśli, że jednak jest coś na rzeczy. Że to, co mi Andżelika powiedziała o swoim ojcu, było prawdą. Że nie przez przypadek jej pościel pachniała jego potem i wódką. Nie potrafiłam przestać o tym myśleć, wrzuciłam powłoczki do pralki, ale dalej chodziłam jak nieprzytomna, młody marudził, ten się ciskał, ale ani słowa o córce, dlaczego wyjechała i dokąd, o nią wcale się nie zatroszczył, a to, że nie pytał dlaczego, szczególnie budziło we mnie przerażenie.

A tu jeszcze na dodatek ten cholerny kogut ciągle rzucał się na mnie, nawet z ganku do furtki przejść nie mogłam bez kija. To był nasz ostatni kogut ze stada, już wszystkie kury poszły pod nóż, tylko ten jeszcze biegał po podwórku i atakował każdego, kogo napotkał na swojej drodze. Szanował tylko mojego męża. Zaganiałam koguta kijem i miotłą do siatkowej zagrody przy kurniku, tam mógł sobie chodzić, grzebać, szukać robali, ale zamiast tego wolał rzucać się na siatkę. Mąż go lubił z tej zagrody wypuścić, bo po co zwierzę męczyć. Na psie mu tak nie zależało, jak na tym kogucie. Chciał mu nawet dokupić kilka kur, bo kiedy kogut mógł co jakiś czas którąś dosiąść, stawał się łagodniejszy. Zupełnie jak mój mąż.

Ale ja już nie chciałam więcej kur, tyle z nimi roboty, a w sklepie kupisz pierś na tacce i już możesz smażyć, albo korpusików kupisz i już jest rosół. Może dlatego kogut uwziął się głównie na

mnie. Dziobał w pięty tak boleśnie, że krwawiły. Ale dziobał też Sebastiana w tyłek, aż do siniaków. Skakał na Andżelikę, dziobał ją po nogach, bała się więc wychodzić z domu w czym innym niż w długich spodniach. Witek twierdził, że kogut nas atakuje, bo czuje słabość charakteru. I że to sygnał, że powinniśmy popracować nad sobą. Pouczał podziobanego Sebastiana:

– Bądź mężczyzną.

Krytykował podziobaną Andżelikę:

– Taka niewydarzona jak matka rośniesz.

A ze mnie się śmiał, że nawet z ptakiem nie umiem sobie poradzić. Lubił patrzeć, jak uciekam przed kogutem po podwórku. Śmiał się wtedy, że niby ze wsi, a głupiego koguta się boję. Lubił mi schować kij, który trzymałam w sieni, żeby odganiać koguta. Po to, żebym się wreszcie nauczyła radzić sobie.

Ale gdy Andżelika wyjechała z domu, pomyślałam, że już dość. Sprzedam cholernika, pomyślałam. Sprzedam podłego koguta, teraz, zaraz, gdy mąż wyszedł i nawet nie raczył powiedzieć dokąd. Zrobię to szybko, zdążę. Jak Witek wróci, ucieszy się z pieniędzy, więc będzie mniej wrzeszczał. A poza tym niech wrzeszczy, ale przynajmniej koguta się pozbędę. I z tą myślą zadzwoniłam po Bożenę, żeby pomogła mi skrepować tego durnego ptaka i zawieźć na targ.

Kogut rzucił się na nią od razu, gdy weszła za furtkę.

Po dłuższej szamotaninie udało się nam zarzucić na niego worek i związać go. Takiego już miałyśmy wlec na targ. Ale choć obwiązałam mu nogi, szarpał się jak wściekły, walił dziobem przez materiał. Próbowaliśmy wrzucić go w worku do bagażnika, ale walczył, straszliwie walczył, cały złożony z dzioba i pazurów.

Bożena wreszcie odpuściła.

– Naprawdę myślisz, że go sprzedasz? Chyba przedtem musiałybyś mu podać narkozę.

Nic nie myślę, po prostu mam dość. Chwytam grubsze polano z tych ułożonych pod dachem szopki, i walę w durnego ptaka, walę tam, gdzie wydaje mi się, że wystaje jego łeb. Walę w niego jak oszalała, a Bożena patrzy na mnie z przerażeniem.

Wreszcie worek przestaje się ruszać.

– Martwego też raczej nie sprzedasz. Powiedzą, że padlina. Chyba że mu zaraz łeb obetniemy.

Więc taszczy my worek do stodoły. Bezwładny też jest całkiem ciężki, jak na koguta oczywiście. Zdejmujemy worek, kładziemy drania na pieńku, idę do kąta po siekiere. A wtedy on jak nie drgnie, jak nie wstanie, jak nie ruszy na nas. Bożena nie traci czasu, od razu na nim siada, przyciska pośladkami. Ale on dalej rzuca głową, żeby jej dosięgnąć. Nie myśląc wiele, zachodzę go z boku i walę cholerne ptaszysko obuchem siekiery w łeb. Znowu wiotczeje. Bożena wstaje, przesuwamy koguta tak, żeby szyja leżała na pieńku. Bożena już ma brać ode mnie siekiere, gdy skrzypią wrota stodoły.

– Co wy tu robicie?! – Mój mąż wtacza się do stodoły. Wielki, pijany. Zły. – Zabroniłem ci zabijać mojego koguta!

I już wysuwa tę swoją wielką rękę, żeby chwycić mnie za ramię, skąd jeszcze nie zniknęły siniaki. Ale ja, popatrzawszy mu w przekrwione oczy, odsuwam się przed tą dłonią, przenoszę wzrok na koguta i walę z całej siły siekiere w szyję przeklętego ptaka. Pierwszy raz zabijam ptaka, pierwszy, ale skuteczny, bo łeb odpada, krew tryska, a mój mąż ryczy i rzuca się na swoją nieposłuszną żonę.

Znowu się cofam, już stoję prawie pod sąsiekiem. Jest niemal pusty, więc mam miejsce, żeby zamachnąć się siekiere. Na własnego męża.

Szyja ptaka na pieńku wypuszcza z siebie krew coraz słabszymi spazmami. Obok mojej stopy, na ziemi, kogucia głowa ponuro łypie mętniejącym ślepiem. Półotwarty dziób już nie wydaje się groźny. Patrzę na swoje dłonie. W prawej nadal trzymam siekiere z zakrwawionym ostrzem.

Nie mogę uwierzyć.

– No to mamy powtórkę – mówi Bożena, dziwnie jakoś spokojna. Ja też jestem spokojniejsza, bo nikt chwilowo nie krzyczy.

Czy ja już mówiłam, że nienawidzę krzyku? I nienawidzę, jak ktoś mnie ściska za ramię?

Mój mąż też leży na ziemi. Ma krew na głowie.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że ja to zrobiłam. Ja, siekierą, pod sąsiekiem. W co jeszcze trudniej uwierzyć niż w koguta. Zwłaszcza że mój mąż leży spokojnie i cicho.

Ale po chwili słyszę bulgotanie, krztuszenie się. Żyje. Mój mąż na szczęście żyje. Jest sporo wyższy ode mnie, więc trudniej wziąć zamach. Zresztą może w ostatniej chwili się zawahałam i uderzenie było słabsze. Tydzień w szpitalu i po krzyku. A potem wróci i się ze mną policzy. Za koguta. Za nieposłuszeństwo. A przede wszystkim za siekierę w głowę.

Patrzemy na siebie z Bożeną.

Odkładam tę cholerną siekierę. Podchodzę do mojego męża, który coraz bardziej zdecydowanie wraca do życia. Oczy ma zamknięte, usta otwarte, ciężko oddycha.

– Co ty zrobiłaś mojej córce?! Co zrobiłaś Andżelice?!

Ze świstem nabiera powietrza w płuca i jęczy, maca dookoła tymi wielkimi łapami masarza.

– Co zrobiłaś Andżelice, że od nas uciekła?!

Wyciąga ręce do mnie, zaciska palce, jakby znowu chciał mnie złapać za ramiona i zaprowadzić tam, gdzie moje miejsce.

Uchyłam się. Dłonie opadają.

Patrzę na niego i wiem, że nie chcę już go więcej widzieć.

Więc siadam mu na twarzy. Z całej siły.

Bożena zamiera przy kałuży krwi.

Dużym, mięsistym jak opona tyłkiem siadam na twarzy mojego męża, a on usiłuje mnie zepchnąć z siebie wielkimi łapami. Nie mają jednak w sobie mocy, bo pozostają twardo na swoim miejscu. Trwam. Nie czuję go, dzieli nas spódnica. Aż ręce mojego męża wreszcie przestają się ruszać. Nie szkodzi, siedzę niewzruszona jeszcze długo potem. W końcu opadam na kolana przy jego głowie.

Mój Witek nie wygląda dobrze.

Patrzę mu w oczy, które zachodzą mgłą, i czekam, aż się znowu poruszy, zabulgotcze. Ale nie robi tego. Jego wielkie dłonie leżą grzbietami do ziemi, zupełnie bezradne. Ciągle nie mogę uwierzyć, że jednak okazałam się silniejsza niż on.

– Będziemy musiały go zakopać – mówi Bożena.

I dzwoni po Sobótki.

Wtedy zaczynam się trząść, tak mocno, że nie jestem w stanie ani pakować go w worki, ani utrzymać łopaty, mogę tylko siedzieć obok nich na mchu i zastanawiać się, jak mogłam; w jaki sposób cofnąć czas.

Nie, nie chcę tego wszystkiego opowiadać mojej córce. Nie chcę, żeby miała ten obraz przed oczami. Wystarczy, że ja go mam. Ciągle. Codziennie.

ANIELA

Odrywam się od matki. Przytuliłam się do niej po raz pierwszy od dziesięciu lat i mimo kłębowiska emocji w środku przyniosło mi to trochę ulgi.

Ale i tak jestem zmęczona, jestem tak strasznie zmęczona, że nie potrafię udawać, że nic się nie stało, w tej chwili nie umiem usiąść w kuchni z nią i Mareczkiem, zajadać kotlety i dowcipkować. Nie, nie dam rady.

– Muszę się położyć, przepraszam.

Mijam kolejne drzwi, aż wchodzę do jej sypialni, osuwam się na wznak na jej łóżko, w jej poduchy ułożone w stos, by łatwiej było trwać na siedząco. Pachną nią – trochę lakierem do włosów, trochę człowiekiem. Zamykam oczy, podrzemuję, śnię. No dobrze, trudno to nazwać snem, czuję raczej, jakbym zapadła w śniegową zaspę, nie jestem w stanie poruszyć ręką ani nogą, przez głowę przelatuje mi film z życia, trochę rwany. Ojciec ściskający matkę za przedramiona, wpychający ją do sypialni. Bożena z zakrwawionym kurzem zewłokiem w ręku. Moja mama z pochyloną głową i zbuntowaną, ukrytą przed ojcem twarzą. I Sobótki. Na drodze. Przy stole. W samochodzie. Nad rzeką. W lesie.

Zastanawiam się, jak to zrobiła. W jaki sposób. Zastanawiam się, czy ojciec wiedział za co. Czy żałował tego, co mi zrobił. Czy zdążył pożałować.

Bożena musiała wiedzieć przez cały czas. A mama musiała wiedzieć o Bożenie. Na pewno sobie pomagały. Sobótki wcale nie są ani takie bezradne, ani tak szlachetne, jak mi się wydawało. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż przez lata myślałam. Ciocia Bożena krwawo obroniła swoje dzieci. Moja mama obroniła swoje. Może nawet potulna Danusia, która lubi godzić się w łóżku, zdyscyplinowała swojego męża za pomocą bakterii salmonelli, wszystko jedno przy jakiej wersji oficjalnej obstaje i ile razy powtórzy, żeby zło dobrem zwyciężać. Wszystkie te Sobótki, które czesały mokre włosy w sobotnie noce, są morderczyniami. Może poza Agnieszką, która – nie mam już co do tego wątpliwości – jednak pomagała im grzebać tych nieszczęsnych mężów.

To nie jest moja wina, szepczę sobie pod nosem. To nie moja wina, to nie mój grzech. To nie moje zabójstwa, nie moje tajemnice, nie moje sprawy. Nic nie rozumiem z tego wszystkiego, poza tym, że to nie moje sprawy i odczepcie się ode mnie. Zapadam w te poduszki, coraz głębiej, leżę w rozpadlinie, już prawie nie widać sufitu, marzę, żeby teraz, właśnie teraz, nastąpił koniec świata. Wstrzymuję nawet oddech w oczekiwaniu.

Ale jaki koniec świata, gdy z kuchni słyszę jej śmiech, zduszony może i krótki, ale jednak. Mama już się pozbierała po tym wszystkim, nawet po śmierci Sebastiana. Ja chyba nieprędko. Mama jest silna. Ja chyba nie bardzo. Ale mam plan: wyjeżdżam i zapominam. Już raz mi się udało. Teraz uda mi się jeszcze lepiej. Bo przecież będę mogła zdjąć firanki i zacząć podchodzić do okna. Przeszanę oglądać się za siebie na ulicach i w autobusie. A jeśli kiedykolwiek jeszcze zobaczę cię swojego ojca za zakrętem, będę wiedziała, że mi się tylko wydaje.

Jestem wolna od ojca.

Tęsknię tylko za bratem, tak strasznie. Moim pogubionym, poharatanym braciszkiem.

SYLWIA

Stałyśmy z Bożeną nad kogutem, nad zakrwawioną siekierą i nad moim mężem, który jeszcze niedawno na mnie krzyczał, a teraz właściwie nie był już nawet człowiekiem. Stałyśmy nad nim i zbierałyśmy siły, żeby coś z tym zrobić, zanim ze szkoły wróci Sebastian. Powinnam się rozpłakać, tak wtedy pomyślałam. Nie żyje mój mąż, powinnam płakać. Ale oczy miałam suche, a serce schowane gdzieś głęboko, za murem. Płacz, pomyślałam. Stała się straszna rzecz. To ty ją zrobiłaś. Płacz, Sylwia, płacz.

Ale od tamtego momentu nie zapłakałam ani razu. Dziesięć lat, rozumiecie? Dziesięć lat bez ani jednej łzy.

Miewałam koszmary. Napady dreszczy w nocy, nawet kiedy już wymieniłam łóżko na nowe. Ale ani razu nie zapłakałam.

Przestałam patrzeć na siebie w lustrze. Osoba, którą tam widziałam, wydawała mi się jednocześnie znana na wylot, do znudzenia, i zupełnie obca. Groźna.

ANIELA

Mam zamiar wygrzebać się z okopu w poduszkach. Ale nie jest to łatwe, gramolę się bezskutecznie, spadają na mnie te durne pisemka, krzyżówki, które mama bez przerwy rozwiązuje w łóżku, sypią się z góry, z poduszki, jak śmieci w okopie na ciało mojego ojca, po co jej to w takich ilościach.

Odpycham krzyżówki, łącznie z tą ostatnią, otwartą. I wtedy widzę, jaka jest dziwna. W normalnych krzyżówkach wpisuje się słowa takie jak Aaron, kajak i Andromeda. Pandora, pantera, Tatry i harce. W tej natomiast widzę słowa zupełnie niekrzyżówkowe. Poziomo: cierpienie. Pionowo: wina. Poziomo: tęsknota. Pionowo: powrót. Poziomo: ból. Patrzę na inne trzyliterowe słowa. Wszystkie wyglądają tak samo: BÓL. BÓL. I znowu BÓL, drukowanym pismem mojej mamy. Kartkuję pisemko, ale wszystkie krzyżówki wyglądają podobnie. Poziomo:

potworność. Poziomo: wspomnienia. Poziomo: dlaczego. Zaglądam do innych pisemek z krzyżówkami, leżą w stosie na szafce przy łóżku.

Przemoc. Kąpiel. Włosy. Dzieci. Mężowie. Picie. Wrzaski. Bicie. Śmierć. Las.

I kolejna: Niepokój. Córka. Sumienie. Prawda. Ból.

Tak, i ja go czuję.

Odwracam się na brzuch i podnoszę z mojego okopu do siadu. Krzyżówki zsuwają się z poduszek. Układam je w stosik, ale przykrywam „cierpienie poziomo” okładką, na której zamieszczono zdjęcie jakiejś małomiasteczkowej seksbomby.

Mama wyrzuciła ich wspólne łóżko. Na wsi nic się nie wyrzuca, ale zrobiła to.

Wstaję. Idę do kuchni, z której słychać bohaterskie śmieszki mojej mamy i Mareczka. Patrzą na mnie, gdy wchodzę.

Moja mama. Nie obroniła mnie przed ojcem, ale go ukarała. Najwyższym wymiarem kary. Moja biedna, bezradna mama, dla której zostałam na wsi, żeby się nią opiekować, gdy złamała nogę. Moja mama, która do zabijania koguta zawsze wzywała sąsiada. Ukrywała przede mną prawdę, bo chciała mnie uchronić przed burzą, która się we mnie teraz przetacza. Ukarła go za mnie i milczała. Rozpuszczała plotki, że wyjechał. Wytrzymała odium otaczające porzuconą kobietę.

Cierpienie poziomo, córka pionowo.

Podchodzę do mamy, biorę ją w ramiona, aż kula z hukiem uderza o podłogę.

– A wy się ciągle przytulacie – podsumowuje Mareczek. – Aż przyjemnie popatrzeć.

Uwielbiam tego gnojka. Taki dzielny siedzi za stołem, zajadając kotlet, dopychając kartoflami, mały, kurde, rycerz, poszkodowany w wojnach dorosłych o niewiadomoco odpryskami z cudzego nietrzymania gniewu w ryzach, występującego z natężeniem w Świątkowicach naszych kochanych.

– Nie patrz – mówię. – Chodź do nas.

– E tam – odpowiada Mareczek, po czym ostrożnie zbliża się do

naszej dwójki.

I nagle widzę, że mama ma łzy w oczach, i zaraz, że płacze, łzy lecą ciurkiem, ociera je grzbietem dłoni, ale płacze dalej, łka. Młody przypada do naszych brzuchów, a my obie wyciągamy po jednym ramieniu i przygarniamy go mocno.

PANI STAŃSKA

Tak jak Aniela – dojrzewam do tej prawdy, ale nie chcę jej przyjąć. Potraktowałam tamtą sprawę z Bożeną jako wyjątkową. Nie wnikałam. Miałam poszlaki, nie miałam pewności, jak w kiepskim kryminale. Ale potem pojawiła się druga sprawa i wtedy już byłam pewna, że ci dwaj panowie na pewno ze Świątkowic nie wyjechali.

Ale nie drażyłam, szanowałam wieś, która stała się moja. Nikomu nie powiedziałam, co odkryłam. Co gorsza, sama nie pomogłam tym dzieciom, kiedy miałam okazję. A przecież czasem widywałam siniaki. Pytałam ich w szkole, ale unikali tematu. Albo zbyt gorąco zaprzeczali.

– Mój tatuś nigdy by mnie nie uderzył, w życiu!

A potem nasuwali rękawy sweterków na posiniaczone ręce.

Szanowałam, że się nie żalą, że są lojalni wobec rodziny. Co ja mogę, myślałam, co ja mogę. A ten drań z policji tylko się z tego śmiał. Tak, sypiałam z seksownym posterunkowym. Starłam się z nim za dużo nie rozmawiać, bo mnie wkurzał, głównie tym gadaniem, że za bardzo się przejmuję, że jedno z drugim dostanie czasem w skórę. Że zawsze tak było, jest i będzie, że jego tak wychowano, ojciec łał pasem, a on wyszedł na ludzi. Że ta cała Niebieska Linia to bzdura, a interwencje policji w domach są żenujące i niewłaściwe. I że on nienawidzi tych rozhisteryzowanych bab, które donoszą na swoich mężów tylko dlatego, że nie potrafią się z nimi dogadać. Przy moim posterunkowym zrozumiałam wreszcie, dlaczego nie mówi się w Świątkowicach o mężach, którzy biją. Jeśli biją, to zaraz ludzie powiedzą, że baba go sprowokowała, że gdyby go krócej

trzymała, gdyby nie pozwalała, gdyby się spisywała, toby nie bił. Albo ewentualnie, skoro bije, to matka go szacunku do kobiet nie nauczyła. Tak czy siak – wszystko wina baby, jeśli nie żony, to matki. Właśnie dlatego wołałam, żeby posterunkowy mnie przeleciał w ciszy. Ale ciągle gadał, więc potem w ogóle wyrzuciłam go z łóżka.

Już chyba mówiłam, że mimo tylu lat spędzonych tutaj, nadal jestem obca. Kobiety, w przeważającej większości matki lub babki moich uczniów albo moich byłych uczniów, usztywniają się przy mnie i udają lepsze, elegantsze niż są, niektóre nawet mówią do mnie „pani magister”, nie wiem, która zapoczątkowała tę idiotyczną tradycję. Wszystkiego więc zawsze musiałam dowiadywać się od mężczyzn. Sypiałam też, niestety, z ojcem Anieli, Witkiem Julków. Wysoki, prawie przystojny, brutal. Lubił duże kobiety. I mnie. Bo zawsze byłam chętna. Też gadał, ale o czym innym. A nawet czasem mnie słuchał. Nie, nie marzył, żeby odejść od żony. Wierzył w rodzinę. Oni wszyscy wierzyli. Mówił, że pozwala mi na wiele, bo nie jestem jego żoną. I że dlatego nie jestem niczyją żoną, bo jestem jaka jestem. Z tym ostatnim miał rację.

To chyba właśnie Witek opowiedział mi, że Świątkowice niegdyś nazywano Wdowinkiem, bo podejrzanie wielu mężów młodo tu umierało. Nigdy niczego nie wykryto, nigdy niczego nie dowiedziono, ale była tradycja, żeby na żony brać dziewczyny z daleka, nie miejscowe, co podobno gwarantowało mężom bezpieczeństwo. Miejscowym dziewczętom dużo trudniej było się ochajtnąć, na ogół więc wyjeżdżały do Garwolina, do Dęblina, do Warszawy, do Niemiec.

Witek wpadał do mnie często, bardzo często, po pracy. A potem nagle, z dnia na dzień zniknął, nie tylko z mojego łóżka, ale ze wsi w ogóle, bez pożegnania. I już nigdy do mnie ani słowa. To była poważniejsza poszlaka niż golarka i pędzel do golenia pozostawione w łazience u Bożeny po wyjeździe Jurka. Zrozumiałam wtedy, że i Witek się doigrał, dosięgła go klątwa Wdowinka. Tak wierzył w rodzinę, a jednak i jemu się nie udało. Ironia losu.

Myślałam długo, co z tym robić, w końcu wymyśliłam. Tamci mężczyźni i tak już pewnie nie żyli, ale zostały kobiety i przede wszystkim dzieci, dzieci do wychowania. Teraz powinno się myśleć o nich, przede wszystkim o nich.

Pomyślałam wtedy, że muszę się zająć tymi dziećmi. Bardziej. Mocniej. Muszę ocalić tego uroczego Dawida, zawsze przestraszonego Sebastiana, te wszystkie maluchy dorastające w młodszych klasach przed podobnym losem.

I przecież częściowo mi się udało, prawda?

MARECZEK

U pani Sylwii wesoło, więc wcale nie chce mi się wychodzić i stać pod płótem. Zastanawiam się nawet, czy nie powiedzieć Anieli marnotrawnej, kto palił znicze na polanie z okopami, niech wie.

Ano nie wiem, czy mówić.

Kto palił te znicze? Jej brat, Sebastian, którego lubiłem. Dlatego nigdy go o to nie pytałem, widziałem, że nie chce, żeby go ktoś zauważył. Na polanę jeździł ukradkiem, o takich godzinach, kiedy na przykład wszyscy w domu jedzą obiad. Ale ja o takich godzinach czasem wracałem ze szkoły okrężną drogą, dlatego raz z daleka zauważyłem światełko, zimą o tej porze już wcale nie jest tak jasno.

Widziałem, jak Sebastian zapala świeczkę, stawia ją, spuszcza głowę, stoi, a potem idzie do samochodu. I pomyślałem, że to głupio zapalać świeczkę, a potem sobie iść, że to bez żadnego sensu. Podszedłem, obejrzałem tę świeczkę i zrozumiałem, że takie same stoją na cmentarzu. I już zupełnie przestałem rozumieć, dlaczego ta musi się palić w lesie i to obok śmieci. Podniosłem złotą nakrywkę i zdmuchnąłem płomień.

Może przez to tak lubiłem Sebastiana. Że miał swoje tajemnice, jak ja. On zapalał, ja zdmuchiwałem.

Ano nie wiem, czy powiem o tym Anieli marnotrawnej, taka jest dziś uśmiechnięta.

ANIELA

Przed moim wyjazdem chcemy przy niedzieli wpaść jeszcze na cmentarz, do Sebastiana. Mama tym razem nie wkłada kozaków na słupku, ku ogólnej uldze. Kuśtyka o jednej kuli, całkiem nawet sprawnie. Mareczek wlecze się z nami, czyta głośno nazwiska na grobach.

– Matek? Znam. Kuraś? Znam. Wilczak? Znam. Bożek?

Tak, tu pochowano jego dziadka. Mareczek zatrzymuje się nad grobem i prosi o znicz. Zapala go mało wprawnie, zapaliki gasną jedna po drugiej na wietrze, ale odrzuca moją pomoc. Po szóstej zapałce i syczeniu nad oparzonymi palcami wreszcie mu się udaje. Stawia znicz dziadkowi na grobie, pochyla się nad lastryko i coś mamrocze. Potem pyta:

– A po co się pali te świeczki? Czy wtedy zmarli zobaczą drugie światełko w tunelu i wrócą do nas?

– A ty co z tym tunelem?

– W telewizji mówili. Zmarli widzą taki tunel, nie wiedziałaś? Czarny, ze światłem na końcu. A kiedy my zapalamy im drugie światełko, wtedy trochę nie wiedzą, co robić. Niektórzy może nawet wracają. Chciałbym, żeby mój dziadzius wrócił.

Mama coś zaczyna młodemu tłumaczyć, a ja idę dalej, do Sebastiana. Po drodze widzę, że moja koleżanka od palenia w piecu pampersami, Zuzanka, też kiwa się nad jakimś grobem. Wózek przed nią, mąż i dzieci u boku, rodzice i babcia za plecami, upozowani jak na rodzinnym zdjęciu. W grobie pewnie dziadek. Ciekawe, jaki wpływ na jego zdrowie miały palone w ich piecu pampersy. Macham do Zuzanki, ona odmachuje, reszta rodziny patrzy z zainteresowaniem. Wszystkich znam z widzenia, dziadka pewnie też znałam, choć zapomniałam, gdzie te twarze toną w pamięci. Zapominam, więc jest dla mnie nadzieja. Skłaniam głowę w geście powitania, nie chce mi się podchodzić, uczestniczyć w tych wszystkich:

„A co w Warszawie?”.

„A nigdzie nielecko”.

„A dzień dobry”.

„A do widzenia”.

Nie lubię takich rozmów, zwłaszcza teraz. Podchodzę do grobu Sebastiana, nagle czuję jego śmierć tak realnie, jakby wydarzyła się na moich oczach. Kwiaty dogorywają pod warstwą śniegu, który litościwie przykrył grób, kamieniarz jeszcze nie zdążył położyć płyty. Pod grubą warstwą ziemi leży mój brat.

Mama wsparta na Mareczku już stoi obok mnie, obie płaczymy i wcale nie przestajemy, gdy do grobu dochodzi również moja bratowa z malutkim Gabrysiem w wózek i jej matka. Mój ojciec nigdy się takiej pielgrzymki na swój grób nie doczeka.

– Lepiej nie płakać na mrozie – stwierdza Marlena, wycierając sobie czerwone oczy. – Lepiej nie.

Mały Gabryś się budzi i zaczyna pokrzykiwać, policzki ma rumiane, buzię okrągłą, a oczka bystre. Mój brat też miał bystre oczka, gdy był malutki. Potem w sumie też.

– Tęsknię za Sebastianem – wyznaje Marlena.

– Naprawdę?

– Już się docieraliśmy. Mój synek miałby tatę. Ja nie miałam. I Gabryś nie będzie miał. To naprawdę trudne.

Posiadanie taty też bywa trudne, myślę.

Moja mama ociera oczy. Podaję jej kolejną chusteczkę.

– Chodź, wyrzucimy te zeschnięte kwiaty – proponuje Marlena.

Zostawiamy Gabrysia i Mareczka przy naszych matkach, a same, z naręczami suchych wiechci, idziemy do cmentarnego śmietnika.

– Zła jestem na siebie, że pokazałam ci te siniaki – oznajmia moja bratowa.

– Ciągłe o tym myślę. Że Sebastian zrobił się w końcu taki jak mój ojciec.

– Nie, nie zrobił się. – Marlena przystaje między grobami, płyty ułożone są tak ciasno, że ledwo mieszczą nam się stopy, i to bokiem. – To znaczy chciał być taki jak jego tatuś, bo go podziwiał. Ale tych jego szarów, tak o nich mówił, się bał. I kiedy sam wpadł w taki szal, bo Gabryś w nocy płakał, to się

przestraszył. Znacząco mi tak powiedział.

– Przeprosił?

– Tak. I powiedział, że on tak nie chce. Że nie zrobi mi tego więcej.

– I nie zrobił?

Marlena rusza dalej, zatrzymuje się dopiero przy kontenerze. Doganiam ją.

– Zrobił ci to znowu niedługo przed śmiercią, widziałam przecież siniaki.

– Nie chciał. Wiem, że nie chciał. Wiem, że nigdy by nie skrzywdził Gabrysia. On nie był taki – zapewnia moja bratowa.

Ja też chciałabym w to wierzyć.

Matki przy grobie wspólnie bujają wózek z Gabrysiem, każda jedną ręką.

– Komu ja teraz powiem, że Gabryś się tak pięknie uśmiecha gołymi dżiastami? – zastanawia się Marlena.

– Mnie możesz. Swojej mamie. Andżelice – proponuje moja mama.

– Anieli, nie Andżelice – prostuje z dołu Mareczek grubym głosem.

Mama tłumaczy uśmiech.

– Anieli, niech wam będzie. Słodki jest ten twój dzieciaczek, Marlena. Słodki. Wykapany Sebastian, kiedy był taki, o, malutki.

– Naprawdę? – cieszy się Marlena i przez chwilę zapanowuje krzepiący, żeby nie powiedzieć kliwy nastrój spod znaku „nie wszystkim umrę”.

– A ty pewnie zaraz wracasz do Warszawy? – pyta Marlena.

– Praca, sama rozumiesz.

– Kiedy następnym razem wpadniesz?

Znowu robi się mniej kliwie, bo nie mam pojęcia.

– Może przedtem wy do mnie wpadniecie?

Ktoś podchodzi do mnie, czuję ciepłą rączkę, która trąca mnie w bok.

– Wpadnijcie. I to koniecznie z Mareczkiem.

Ciepła rączka zamiera, uspokaja się. Klepię ją. Kurde, młody znowu nie założył rękawiczek. Ja też.

Wtedy Gabryś otwiera oczy, rozgląda się i zaczyna coś gulgotać. Nie umiem się powstrzymać. Pochylam się nad wózkiem i wyłuskuję małego ze śpiworka, podnoszę, przytulam. A ten się zaśmiewa i z tej radości obficie ślini mi czarny płaszcz. Ja też się do niego śmieję. Strasznie jest fajny. I już moja, nasza w tym głowa, żeby taki fajny został w przeszłości.

Nie będę mu opowiadała bajek o złych ojcach, którzy ponieśli karę. Będę mu opowiadała o dobrych tatusiach, którzy chodzą na spacerzy ze swoimi dziećmi. O takich, którzy pocieszają po nieudanym grzybobraniu. Gabryś też przecież może taki kiedyś być. Pokażę mu wszystko. W Świątkowicach i w Warszawie. Pokażę mu mocarną kobietę, trzecią po prawej od wejścia do Pałacu Kultury, tę, na którą patrzyłam, gdy mnie zdejmowała tęsknota za mamą. Pokażę mu sobótkowe miejsce kąpielowe i tajną trasę do niego. Pokażę mu pokój jego taty i opowiem, jakim kiedyś był fajnym chłopakiem. Tulę go jeszcze mocniej, a on się zaśmiewa. Śmiech na cmentarzu brzmi jak wyzwanie. Dobrze brzmi.

W poniedziałek rano otwieram oczy, patrzę na spękany sufit. W kuchni cisza. Oddałam dzisiejsze poranne sprzątaniam koleżance, bo chciałam jeszcze chwilę побыć z mamą, opowiedzieć jej, czego się bał Sebastian i że nie było z nim tak źle, jak by się mogło wydawać. Że był dobrym człowiekiem, tylko się pogubił. Miałam to wszystko zrelacjonować jej jeszcze wczoraj, ale po cmentarzu wpadła do nas Marlena z matką i Gabrysiem, a do wieczora siedział młody Bożek i nijak się nie dał wyprosić.

Ósma na zegarze, w domu zimno, wstaję więc, żeby napalić. Po drodze zaglądam do mamy. Ze zdumieniem zauważam, że jej łóżko jest puste, starannie zasłane. Krzyżówki leżą obok w schludnym stosiku. Pachnie jej lakierem do włosów.

Ciekawe, dokąd poszła, skoro się tak wyfiołkowała?

Jej samochód stoi na podwórku. Pewnie poszła do którejś z Sobótek. O kulach? Rozpalam w piecu i dzwonię do mamy. Nie odpowiada. Zaczynam się martwić. Może się gorzej poczuła? Może zabrali ją do szpitala, kiedy spałam jak zabita? Miotam się bez sensu, łązę, dzwonię do cioci Bożeny, ale ona też nie odbiera.

Więc zaraz przekręcą do Dawida. Mówi, że wyszedł rano z domu, pojechał do hurtowni po zaopatrzenie i nic nie wie.

Wracam do sypialni mamy i wreszcie widzę. Na stosie krzyżówek leży gęsto zapisana kartka. Pismo mamy. Z daleka widzę, że zaczyna się „Kochana córko!”. Żołądek podchodzi mi do gardła ze strachu. Stoję, gapię się na list, ale nie sięgam po niego. A przecież kiedyś będę musiała to zrobić.

Niuśka zaczyna szczekać. Mama! Wróciła! Wybiegam na ganek. To jednak nie ona. Przed bramą zaparkował Dawid, który właśnie idzie do mnie przez podwórko. Milczy i wygląda jakoś dziwnie. Staje w końcu przede mną. Oczy ma czerwone. Wyciąga przed siebie zapisaną kartkę.

– Wróciłem do domu i znalazłem to.

– Gdzie one są?

– Na komendzie w Garwolinie. Pojechały razem.

– Po co?

Ale przecież wiem po co.

– Jedźmy tam, odkręćmy to. – Biegnę do furtki. Dopiero po chwili sobie uświadamiam, że po pierwsze, Dawid nie ruszył się z ganku, po drugie, jestem jeszcze w piżamie, a po trzecie, nasze mamy zrobiły, co uważały za stosowne. Jak zawsze.

Wracam na schodki, Dawid otula mnie swoją kurtką, siadamy obok siebie. Czytam, co napisała ciocia Bożena. Moja mama napisała prawie to samo, jakby się umówiły.

Piszą, że jesteśmy już dojrzały. Więc one są spokojne, że poradzimy sobie w życiu. „Dawid, wytłumacz to wszystko Karolinie, pokaż jej ten list”. I jeszcze: „Ani słowa o udziale innych Sobótek w tym wszystkim. Nie zdradźcie się, dzieci, dobrze? One tylko pomagały nam kopać groby, nic więcej. Całą winę za śmierć waszych ojców bierzemy na siebie. I damy sobie radę, nie martwcie się o nas. To musiało się tak skończyć”.

– Odczekały, ile trzeba, i poszły odpokutować – stwierdza Dawid.

Może dlatego wczoraj wieczorem mama wyglądała na tak szczęśliwą. Przytulała Marcyczka, jak kiedyś Sebastiana, kołysała w ramionach Gabrysia. Popatrywała na mnie z ciepłym

uśmiechem.

– Gdzie masz ręczniki? – pyta Dawid wyjątkowo mało zgrywnym głosem. Biorę dwa, narzucam dres i jedziemy na Sobótkowe miejsce.

Boksujemy powietrze dla rozgrzewki, kopujemy przestrzeń, a potem wbiegamy obok siebie do wody. Zanurzamy się raz, drugi, trzeci. Wyskakujemy na brzeg, nadzy jak Adam i Ewa.

– Wszystko się jakoś ułoży – zapewnia Dawid.

Akurat.

Przywiązuję Niuskę do jakiegoś pieńka,
szarpie się trochę, bo wolalaby jeszcze
pokopać, a sama podważam kość szczęki
patykiem, bo zakopana jest w ziemi
prawie cała. Nie idzie mi. Odgarniam
błoto, ale pod cienką warstwą ziemia
jest jednak ciągle sztywna od mrozu.
Próbuję nawet wyrwać krzaczek
czarnej jagody, choć wyrywanie roślin
to chamstwo, prawie takie jak ścinanie
małych drzew (ścinanie starych drzew
to jeszcze większe chamstwo), ale ten
daje się jedynie podważyć z jednej strony.
Mógłby ktoś spytać, czego tak szukam.
Nie wiem, widzę tylko, że te zęby,
ta szczeka, nie do końca wyglądają
na świńskie. Wyglądają trochę, jakby
spadły z pirackiej flagi.

A piraci, jako żywo, nigdy nie malowali
świńskich czaszek na sztandarach.

fragment książki



Fot. Monika Noz

ANNA FRYCZKOWSKA

Napisała dziewięć powieści, nagrodzona została za nie kilkoma nagrodami literackimi, między innymi Różą Gali za *Sześć kobiet w śniegu (nie licząc sukii)* czy Grand Prix na Festiwalu Literatury Kobiet za powieść *Starsza pani wnika* (wydaną również w USA).

Pracowała jako tłumaczka, reporterka, scenarzystka seriali telewizyjnych. Właśnie kończy kolejne studia, tym razem genderowo na Uniwersytecie Warszawskim. Mieszka na warszawskim Żoliborzu.

Jej poprzednie powieści to m.in. *Żony jednego męża*, *Kobieta bez twarzy*, i ostatnia, znakomicie przyjęta, *Równonoc*.

Aniela, po dziesięciu latach nieobecności, wraca do rodzinnego miasteczka na pogrzeb dorosłego brata. Wpadła tu tylko na chwilę, ale pechowy zbieg okoliczności sprawia, że będzie musiała zostać na dłużej i stawić czoła demonom przeszłości i własnej rodzinie.

Co się stało, że Aniela opuściła rodziców?
Skąd ta dwudziestoosmiolatka ma w sobie tyle gniewu?
Dlaczego przez dziesięć lat nie kontaktowała się z rodziną
i udawała, że jest znikąd?


Z jakiego powodu większość kobiet w jej rodzinnym miasteczku
obywa się bez mężów? Jaką tajemnicę skrywa trzymający się
od lat razem klub kobiet, do którego należy matka Anieli,
zwany Sobótkami? Dlaczego dziesięcioletni syn sąsiadów,
Mareczek, wiecznie stoi pod płotem? I do kogo należy czaszka,
którą pies wykopał w lesie?

Narracja prowadzona jest przez kilka osób w różnych planach
czasowych. Mówią Aniela i jej matka, dziesięcioletni Mareczek
i miejscowa nauczycielka. Z tego wielogłosu rekonstruujemy
prerażającą tajemnicę miejsca.

**Opowieść nie tylko o przemocy domowej, lecz także
o relacji matki i córki. O rodzinnych tajemnicach.
O kobietach doprowadzonych do ostateczności.
O dojrzewaniu i przebaczeniu rodzicom.**



patron media

 lubimyczytać.pl

www.wydawnictwozobol.pl
Wydawnictwo Zobol

proj. okładki PANCIARIEWICZ ART DESIGN®
fot. Magdalena Rusocka / TreviTon Images